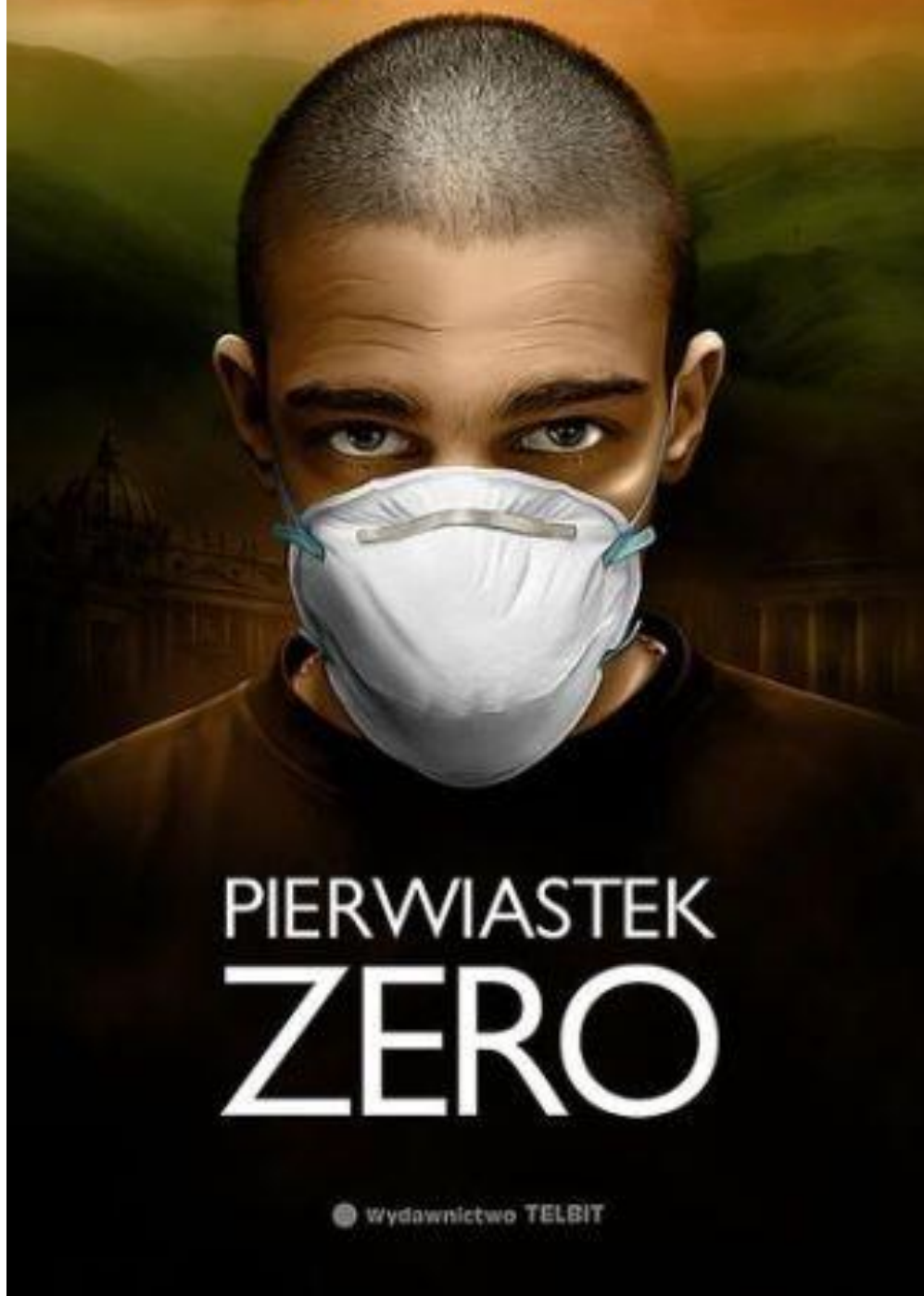


Ewa Barańska



PIERWIASTEK
ZERO

● Wydawnictwo TELBIT

Ewa Barańska

PIERWIASTEK ZERO

A stylized, handwritten-style signature or logo consisting of three interconnected, flowing characters that resemble 'MKS'.

Krysi Faskowskiej, której przyjaźń to najpewniejsza rzecz w moim życiu

ROZDZIAŁ I

- W dzisiejszych czasach potrzebujemy cudów pilnie jak nigdy dotąd. Współczesna nauka coraz dotkliwiej odbiera religii prymat w kształtowaniu wizji świata. Czas, gdy najważniejszym medium publicznym była ambona, bezpowrotnie minął. Prawdę mówiąc nasze cuda coraz częściej przegrywają z trickami, jakie bez żadnej aury tajemniczości potrafi średnio sprawny technik komputerowy. Czyż obraz, który na prośbę ciężko chorej świętej Klary pojawił się na ścianie, przedstawiający mszę odprawianą przez biskupa w odległym kościele, byłby dzisiaj uznany za cud? To, co było niepojęte w XIII wieku, dzisiaj nie zadziwi nawet ośmiolatka. Obawiam się, że szybkimi krokami nadchodzi czas, gdy ani Lourdes, ani Fatima nie wystarczą. Na szczęście Bóg w swojej niezmierzonej łaskawości wysłuchał naszych próśb i zesłał nam człowieka, w którego tchnął cząstkę swojej nieskończonej mądrości.

Wielki Mistrz przerwał i spojrzał kolejno w oczy swoim dwóm zastępcom. Siedzieli nieruchomo z dłońmi splecionymi w modlitewnym geście. Milczeli w oczekiwaniu na dalszy ciąg, ale gdy milczenie przedłużało się ponad wszelką miarę, Drugi Zastępca Mistrza uznał, że Wielki Mistrz oczekuje pytań.

- Czy mamy rozumieć, że jest to mądrość, która pomoże nam w kwestii cudów?

- Tak. Możemy mieć coś racjonalnie niewytłumaczalnego, coś, co oszołomi uczonych, a najbardziej zatwardziały ateiści rzuci na kolana.

- Zaiste, to ożywiłoby zasychające coraz niebezpieczniej źródła zasilające watykańską kasę - wtrącił Pierwszy Zastępca.

- I przecięłoby odwieczne spory, która religia jest prawdziwie chrystusowa. Wróciłyby na łono Kościoła wszystkie rozproszone przez dwa tysiąclecia owce, ale czy możemy liczyć na cud tej miary, Wielki Mistrzu? - Drugi Zastępca pochylił się lekko do przodu i wtedy w świetle lichtarza błysnęło jego lewe oko. Prawe, zaciągnięte bielmem, sprawiało wrażenie martwego.

Siedzieli we trzech w najgłębszym lochu Watykanu nieużywanym od stu siedemdziesięciu pięciu lat. Grube na dwa metry mury bez okien i ciężkie, spiżowe drzwi sprawiały, że nie dochodziły tu najlżejsze odgłosy zewnętrznego świata. Było to ukryte za tajnym przejściem najstarszej części watykańskiego archiwum najtajniejsze z tajnych miejsc na świecie. Nawet kardynałowie nie podejrzewali jego istnienia. Tu, w masywnych

skrzyniach przechowywano materiały, w oczekiwaniu na dalszy ciąg, ale gdy milczenie przedłużało się ponad wszelką miarę, Drugi Zastępca Mistrza uznał, że Wielki Mistrz oczekuje pytań.

- Czy mamy rozumieć, że jest to mądrość, która pomoże nam w kwestii cudów?

- Tak. Możemy mieć coś racjonalnie niewytłumaczalnego, coś, co oszołomi uczonych, a najbardziej zatwardziały ateistów rzuci na kolana.

- Zaiste, to ożywiłoby zasychające coraz niebezpieczniej źródła zasilające watykańską kasę - wtrącił Pierwszy Zastępca.

- I przecięłoby odwieczne spory, która religia jest prawdziwie chrystusowa. Wróciłyby na łono Kościoła wszystkie rozproszone przez dwa tysiąclecia owce, ale czy możemy liczyć na cud tej miary, Wielki Mistrzu? - Drugi Zastępca pochylił się lekko do przodu i wtedy w świetle lichtarza błysnęło jego lewe oko. Prawe, zaciągnięte bielmem, sprawiało wrażenie martwego.

Siedzieli we trzech w najgłębszym lochu Watykanu nieużywanym od stu siedemdziesięciu pięciu lat. Grube na dwa metry mury bez okien i ciężkie, spiżowe drzwi sprawiały, że nie dochodziły tu najłżejsze odgłosy zewnętrznego świata. Było to ukryte za tajnym przejściem najstarszej części watykańskiego archiwum najtajniejsze z tajnych miejsc na świecie. Nawet kardynałowie nie podejrzewali jego istnienia. Tu, w masywnych skrzyniach przechowywano materiały, których ludzkość nigdy nie pozna, tu omawiano sprawy o których żadne inne uszy nigdy nie usłyszą. Tu spotykano się niezwykle rzadko, bo tylko w nadzwyczaj wyjątkowych przypadkach i tylko na wezwanie Wielkiego Mistrza, nieuważanego nawet na co dzień za szarą eminencję przy papieżu.

- Niczego nie dostaje się łatwo, zwłaszcza cudów. Mamy człowieka, który patrząc na Układ Okresowy Pierwiastków Mendelejewa dostrzegł coś, czego ani sam twórca Układu, ani nikt po nim nie dojrzał. Jest tym bardziej dziwne, że Mendelejew przewidział w swojej Tablicy miejsca dla nieznanych wówczas pierwiastków. Pierwiastki te z czasem odkryto, Tablicę uzupełniono i sprawę uznano za zamkniętą. Pomijam tu rzecz jasna sztuczne atomy, które tylko zaśmiejają ten piękny i przejrzysty zbiór z boskiego nadania. Tymczasem nasz geniusz zauważył, że Układ Okresowy błędnie zaczyna się od pierwiastka o masie atomowej jeden. Od wodoru. A powinien zaczynać się od zera, jak każdy inny układ. Szczęśliwie złożyło się, że wziąłem pod opiekę tego młodego człowieka, zdobyłem jego zaufanie i skłoniłem, aby wszystkimi pomysłami dzielił się najpierw ze mną. Chociaż początkowo jego hipoteza wydała się niedorzeczna, jednak w trakcie dalszej dyskusji uznałem, że warta jest zainteresowania.

- Kolejna pozycja w Tablicy Mendelejewa nie rzuci żadnego niedowiarka na kolana, a już na pewno nie zapełni pustawych kościołów w Paryżu czy Londynie. - Pierwszy Zastępca rozplótł pobożnie złożone palce, żeby zdecydowanym gestem dłoni podkreślić swoje słowa.;

- Mylisz się, bracie, ten nowy pierwiastek pozwala ostatecznie zrozumieć, dlaczego niektóre pierwiastki tworzą związki ożywione. Zrozumieć i je tworzyć. Świadomie.

- Chcesz w ten sposób powiedzieć, że i nasza dusza jest kwestią chemii? - Pierwszy Zastępca aż uniósł się na swoim krześle. - Ależ to woda na młyn właśnie ateistów.

- Minie sto lat albo jeszcze więcej, zanim uczeni świeccy dokonają po raz drugi tego samego odkrycia, a przez ten czas... - Wielki Mistrz wzniosł do góry swoje piękne, białe dłonie i znacząco zawiesił głos. - Bracia, nadeszła pora, aby mojego geniusza przenieść do laboratorium Kongregacji Nauki i strzec jak żrenicy oka, bo może się zdarzyć, że trzecia tajemnica fatimska stanie się faktem.

ROZDZIAŁ II

Alfred miał wrażenie, że wyrosły mu u ramion skrzydła i zaraz wyfrunie przez otwarte okno, by wznieść się ku słońcu błyszczącemu na wiosennym niebie. Jego wielkie marzenie przyoblekało się w realny kształt spełnienia. Otrzymał właśnie propozycję dalszego prowadzenia badań nad tezą, którą dopiero co ukształtował z samych tylko przypuszczeń. Więc stanie w szeregu noblistów. Zapisze się złotymi głoskami na kartach historii nauki i już zawsze, za sto lat, za dwieście, za tysiąc, we wszystkich podręcznikach, encyklopediach i słownikach będzie figurował jako odkrywca pierwiastka zero. Liczył, że może nawet na jego cześć nazwą go alfredynem! Musiało się udać. W końcu Einstein do teorii względności też doszedł drogą dedukcji.

- Badania chce sfinansować pewna firma farmaceutyczna. Zakładają, że pańskie odkrycie pozwoli produkować leki nowej generacji. Jest oczywiste, że w takich przypadkach sponsor zastrzega sobie prawo wyłączności do efektów pańskiej pracy przez pięćdziesiąt lat. - Profesor Benet splótł palce swoich pięknych białych dłoni i odchyliwszy się w fotelu, z jowialnym uśmiechem dobrotliwego staruszka oczekiwał reakcji swojego podwładnego.

Alfred poczuł niepokój. Miał naturę mało praktycznego naukowca, jednak od czasu, gdy jednym, bezmyślnie złożonym podpisem pozbawił się oszczędności życia, wszelkie prawne czynności wprawiały go w popłoch.

- Rozumiem, firma musi odzyskać poniesione koszty a co ja z tego będę miał?

- Wybitne jednostki z zasady odpowiednio się docenia i wynagradza...

- Nie tylko pieniądze mam na myśli.

- Oczywiście, będzie pan mógł ogłosić swoje odkrycie, nikt nie zakwestionuje, a już broń Boże nie odbierze panu palmy pierwszeństwa. Może nawet dostanie pan Nobla... Prawdę mówiąc byłaby to nagroda w pełni zasłużona. Poza tym Nobel podniósłby prestiż firmy finansującej badania i przyniósłby więcej korzyści niż wszystkie głupawe reklamy razem wzięte.

Alfreda zmieszała przenikliwość profesora. Zastanawiał się, czy trafność jego uwagi była przypadkowa, czy też on sam nieopatrznie odsłonił najtajniejsze zakątki swojej duszy

- Brzmi rozsądnie - powiedział, byleby coś powiedzieć.

- Poza tym może pan negocjować wszystko, co panu tylko przyjdzie do głowy. Prawdopodobnie druga strona również obwaruje umowę wieloma zastrzeżeniami. Biznes jest biznesem - profesor zaśmiał się głośno, jakby to, co powiedział, było świetnym dowcipem.

Dopiero teraz przyszło Alfredowi do głowy, że należałoby profesorowi podziękować. W instytucie pracował dopiero dwa lata i poza profesorem nikt nie docenił jego osiągnięć.

- Dziękuję za wyróżnienie, profesorze.

- Drobiazg. Dał się pan poznać jako obiecujący naukowiec, więc postanowiłem zaufać pańskiej intuicji. Reszta jest tylko konsekwencją splotu tych dwóch okoliczności.

Profesor położył płasko dłonie na blacie biurka i pochyliwszy się lekko w stronę Alfreda, czekał na jego reakcję. Kiedy milczenie przedłużało się ponad miarę, nie zmieniając pozycji rzucił:

- Rozumiem, że...

- Ach tak, oczywiście. Zgadzam się. Pod warunkiem, że firma nie będzie stawiać zbyt ostrych wymagań. A nawiasem mówiąc, jaka to firma?

- Corporation Medikament Laboratories.

- Nie znam. Nigdy nawet nie natrafiłem na tę nazwę.

- Zgadza się. Produkcja leków jest najbardziej dynamicznie rozwijającą się gałęzią produkcji na świecie. Każdy nowy lek oznacza nie tylko miliardowe zyski, ale również miliardowe nakłady na badania. Jest zatem oczywiste, że zanim produkt zostanie wdrożony do stosowania, jest łakomym kąskiem dla konkurencji. Z tego powodu poważne firmy pod niepozorną przykrywką tworzą małe, lecz doskonale wyposażone i jeszcze lepiej strzeżone laboratoria.

- Logiczne.

- Zatem oficjalnie zatrudni pana Corporation Medikament Laboratories w jednej ze swoich filii, prawdopodobnie gdzieś poza Francją. Czy będzie panu żal opuścić Paryż? Jest pan tu z kimś związany?

- Czy stanę przed dylematem wyboru? - Alfred pomyślał o Annie, przez chwilę rozważał, czy warto dla niej poświęcić karierę naukową, lecz odpowiedź była trudna.

- Przepraszam. Zadałem niestosowne pytanie. Istnieje przecież prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że młody, zdrowy mężczyzna ma jakąś bliską osobę i być może zechce ją zabrać ze sobą. Prawda?

Alfred uśmiechnął się aprobująco, ale nie kontynuował tematu. Musiał najpierw zapytać Annę, czy zechce dla niego opuścić Francję.

- W takim razie możemy przystąpić do finalizowania sprawy. Umówię pana z przedstawicielem nowego pracodawcy Tymczasem gratuluję i życzę powodzenia. - Profesor wstał z fotela i wyciągnął piękną białą dłoń, którą Alfred pochwyił i uściśnął z radością. Obaj wyglądali na ludzi szczęśliwych.

Mimo wielkiej ochoty, na razie nie podzielił się nowiną ani z Anną, ani ze swoim przyjacielem Paulem. Gdzieś z tyłu głowy kołatała obawa, że oboje wespół odwidną go od przyjęcia tej propozycji. Zawsze im ulegał. Teraz stawka była zbyt wysoka, żeby wystawiać się na pokusy. Postanowił działać metodą faktów dokonanych.

* * *

Nazajutrz z samego rana na prywatny numer Alfreda zadzwoniła sekretarka dyrektora Corporation Medikament Laboratories, Jakuba Pasteura i umówiła na rozmowę w siedzibie firmy. Godzina? Jaka będzie mu odpowiadać. Może być jedenasta? Świetnie. Gdzie przysłać samochód?

Alfred czuł się zażenowany okazywaną mu atencją. Podał adres instytutu. Wolał na wszelki wypadek zataić, że mieszka w lichej dzielnicy, żeby nie obniżyć poziomu negocjacji. Włożył swój najlepszy, popielaty garnitur i jasnoniebieską koszulę, jednak zrezygnował z krawata. W końcu był uczonym, nie biznesmenem.

Biuro korporacji mieściło się w przeszklonym biurowcu w dzielnicy biznesowej La Defense. Uprzejmy nad wyraz kierowca służył mu za przewodnika. Wjechali windą na siódme piętro, przeszli długim korytarzem i zatrzymali się, jak wynikało z tabliczki informacyjnej, przed sekretariatem dyrektora Jakuba Pasteura.

- To tutaj, pan dyrektor oczekuje pana - kierowca z lokajskim ukłonem otworzył drzwi.

Sekretarka, surowa brunetka w kostiumie przypominającym służbowy uniform stewardessy, bez śladów kobiecej kokieterii, podniosła się gwałtownie na jego widok.

- Dzień dobry. Pan Alfred Mortus? Proszę... Proszę uprzejmie. - Wprowadziła go do obszernego gabinetu.

Wszystko tu świadczyło o wysokim prestiżu firmy. Białoniebieskie ściany zdobiły dyplomy i fotografie, na których jedni panowie o wyglądzie profesorów wręczali dyplomy i złote statuetki panom o wyglądzie dyrektorów, najpewniej Medicament Laboratories. Wygodne, markowe meble lśniły lustrzanym blaskiem, na stoliku przy bocznej ścianie leżały foldery z ofertami, w oświetlonej od środka gablocie stały rzędy książek, annałów oraz albumów poświęconych firmie.

Dyrektor wyglądał jak wzorzec wszystkich dyrektorów skazanych na sukces. Postawny, o ascetycznej twarzy i wysokim czole. Jego ciemny garnitur sprawiał wrażenie, jakby rano opuścił pracownię drogiego krawca. Całości dopełniała nieskazitelnie biała koszula z granatowofioletowym krawatem. Jednak najbardziej zaintrygowały Alfreda jego precyzyjnie ułożone włosy z przedziałkiem jakby wytyczonym laserem. Istny manekin, gdyby

nie zimne, stalowe oczy o spojrzeniu tak ostrym i skupionym na rozmówcy, że zdawały się przenikać go na wskroś i wydierać najtajniejsze myśli ukryte w zakamarkach podświadomości. Siedział za mahoniowym biurkiem z marmurowym blatem. Za nim, przez panoramiczne okno, roztaczał się cudowny widok na Paryż.

Po grzecznościowej wymianie zdań zasiedli w fotelach przy bocznym stoliku przeznaczonym dla gości, którzy w najmniejszym stopniu nie powinni się czuć jak petenci.

- Po rozmowie z profesorem Benetem rozumiem, że jest pan zdecydowany pracować dla naszego przedsiębiorstwa. Zatem przygotowaliśmy projekt umowy, który możemy negocjować w każdym punkcie. Muszę przy tym zaznaczyć, że jestem ekonomistą i zagadnienia z zakresu chemii są mi zupełnie obce.

- Dla mnie zaś, jako chemika, ekonomia jest czarną magią - Alfred próbował zażartować, jednak dyrektor Pasteur nie zdradzał nawet śladowego poczucia humoru.

- Ma pan prawo skorzystać z porady swojego prawnika. To zrozumiałe. - Na jego ustach wykwitł jakiś nieokreślony, nikły uśmiech, który niespodziewanie wywołał u Alreda błysk intuicji, że coś tu jest nie tak.

- Rozważę pańską propozycję i dam znać o ostatecznej decyzji - powiedział asekurancko i wstał. Musiał natychmiast wyjść, gdyż irracjonalny niepokój był zbyt słaby wobec przemożnej chęci złożenia podpisu.

Kiedy godzinę później, leżąc na swojej ulubionej kanapie, wgryzał się paragraf po paragrafie w proponowaną umowę, nie znajdował niczego podejrzanego. Wręcz przeciwnie. Dostrzegał więcej, niżby śmiał marzyć. Oferowano mu i laboratorium, i fachową pomoc, i nieograniczony niczym zakres badań, a co najważniejsze - godziwą płacę. Nawet klauzula o prawie do jego wynalazku, jak i zobowiązaniu do tajemnicy, była formalnie ogólnikowa. Żadnych prawnych obwarowań, żadnego straszenia konsekwencjami, ot, po prostu dżentelmeńskie porozumienie. Tak wysoce dżentelmeńskie, że nawet nie wspomniano słowem, co będzie w przypadku, gdy jego teoria okaże się niewypałem, a przecież taka możliwość istniała. „Dlaczego? Mają podstawy, by wierzyć w sukces, czy też nieudane eksperymenty wliczają w koszty ryzyka?” - Próbował znaleźć odpowiedź, jednak po godzinie doszedł do wniosku, że słuszne jest i jedno, i drugie. Po pierwsze, polecał go profesor Benet, autorytet naukowy, którego słowo stanowiło gwarancję; po drugie - bez ryzykownych prób nie byłoby postępu.

„To przez nią” - westchnął skonfundowany własną podejrzliwością i mimo woli przywołał białoczarny obraz Ireny. Biały był krótkim bajkowym czasem oczarowania i cietrzewich uniesień, kiedy tokował jak głupiec, by w miłosnym zamroczeniu jednym

podpisem pograżyć się w bezdenną czerń. Gdy oprzytomniał, po Irenie pozostał jedynie do spłacenia dług wysoki jak Himalaje.

„Do cholery, nie każda uprzejmość to kamuflaż oszustwa. Jestem przewrażliwiony” - stwierdził i jeszcze raz przeczytał tekst. Dla kurażu zaokrąglił w górę proponowane wynagrodzenie i tak na wszelki wypadek dopisał punkt, że może sobie zatrudnić jednego pracownika według własnej woli. Miał na myśli Annę.

Dyrektor Pasteur bez mrugnięcia okiem zaaprobował jego poprawki. Jeszcze tego samego dnia dokumenty zostały podpisane i wyznaczony dość bliski termin wyjazdu. Już za tydzień.

- Pan jest Polakiem?

- Tak. Pochodzę z Gdańska.

- Świetnie się składa, wróci pan do ojczyzny. Niestety, tysiąc kilometrów od rodzinnego miasta, jednak cóż to jest za odległość w dzisiejszych czasach, prawda?

- Czyli gdzie konkretnie będę pracował?

- W górach, na południu. Handlowa ostrożność sprawia, że nazwy tej miejscowości nie wymieniamy w żadnych dokumentach. Ja zaś, nawet gdybym chciał, nie potrafię jej poprawnie powtórzyć, gdyż brzmieniem przypomina zepsute radio. Na szczęście nazwę firmy wypowiadam bez kłopotu, to Firma Farmaceutyczna „Folicum”. Na rzeszowskim lotnisku będzie na pana czekał nasz pracownik. Jest oczywiste, że zajmiemy się pańskim bagażem. Dostarczymy go na miejsce, proszę się tylko spakować.

Przy pożegnaniu Pasteur przytrzymał dłoń Alfreda w swojej dłoni.

- Jak pan myśli, ile osób może wiedzieć o pańskiej teorii oprócz profesora Beneta?

- Kilka, może kilkanaście. Ale w szczególności próbowałem wtajemniczyć tylko najbliższych współpracowników. Przyznaję, słuchali bez zainteresowania, a za moimi plecami znacząco pukali się w czoło.

- To dobrze, przynajmniej żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy na własną rękę pójść pana tropem, chociaż wszystko jest możliwe.

- Są dziedziny, które można rozwijać, pogłębiać lub uściślać, lecz są i takie, gdzie trzeba wytyczyć zupełnie nowy kierunek. Uczeni wolą podążać utartymi ścieżkami, dlatego epokowe odkrycia mają początek w jednej głowie.

- Słuszne spostrzeżenie. Z tym większą przyjemnością będziemy pana wspierać.

ROZDZIAŁ III

Alfred w drodze powrotnej wstąpił do instytutu. Chciał jeszcze raz podziękować profesorowi Benetowi i porozmawiać z Anną i Pauliem. Teraz, jako człowiek potencjalnie majątny, z szeroko otwartą bramą do kariery naukowej, nabrał pewności siebie. Profesor wyjechał na jakieś sympozjum, zaś Anna siedziała w pracowni chemicznej przy spektrometrze.

- Zaspaleś? - odwróciła się do niego na obrotowym fotelu.

- Dostałem propozycję nowej pracy poza Francją. Właśnie podpisałem umowę.

Anna wróciła do przerwanych badań.

- Z kim?

- Z międzynarodową firmą farmaceutyczną.

- Czyżby koniec pracy badawczej? Wolisz ulepszać pigułki przeczyszczające czy jakieś syropy na kaszel?

- Nie, Anno. Będę mógł pracować nad swoją hipotezą.

- Tą dziwną mrzonką o pierwiastku zero? - parsknęła śmiechem.

- Tak. Właśnie tak. Gdybyś chciała pracować razem ze mną...

- Pracowałabym, gdybym widziała w tym jakiś sens. Nie, Alfredzie, mam swoje plany naukowe, nie porzucę ich dla czegoś, w co nie wierzę.

Alfred odczuł boleśnie fakt, że nie wspomniała ani jednym słowem o uczuciu, nie wyraziła cienia żalu z powodu rozstania, nie próbowała odwieść go od tej decyzji. Odwoływanie się do jej uczuć było zatem bezcelowe.

- Anno, posłuchaj i zastanów się nad tym, co ci powiem. Moja hipoteza nie jest żadną mrzonką. Zero jest początkiem każdego układu, granicą pomiędzy wartościami dodatnimi i ujemnymi. Czasem zastępowane jest pojęciem „punkt krytyczny”, ale tylko po to, aby dla szczególnych przypadków nie tworzyć odrębnej skali wartości. Zero jest nieusuwalnym elementem otaczającej nas rzeczywistości, matematycznym znakiem opisującym wszechświat tak samo, jak pozostałe symbole. Nie sposób pominąć zera w żadnym szeregu od minus do plus nieskończoności. Tymczasem Układ Okresowy szeregujący pierwiastki chemiczne zaczyna się od jedyńki. To dziwne, że dotychczas nikt nie zwrócił na ten nonsens uwagi.

- Początek Układu jest kwestią umowną. Mógł go oznaczyć na przykład literą „A”.

- Zaczę więc inaczej. Mendelejew, znalazłszy regułę rządzącą naturą pierwiastków, przy układaniu swojej Tablicy przewidział miejsce dla pierwiastków jeszcze nieodkrytych.

Zapomniał o tym z liczbą atomową zero lub bliską zera. Zero w tym przypadku nie oznacza zwykłego „nic”. To nie miejsce na pustkę. Pierwiastek ten posiada właściwości, których dotychczas nikt nie badał, a których można się domyślać, założywszy, że geniusz Mendelejewa nie zawiódł, jedynie za wcześnie osiadł na laurach. Spróbuję tego dowieść.

- Jak?

- Jeżeli założyć, że przy jakichś określonych parametrach materia wyłania się z energii jak lód z wody gdzieś na granicy tych dwóch stanów skupienia musi istnieć coś pośredniego między materią a energią.

- Nie wierzę, żebyś nie słyszał o kwarkach i gluonach¹.

- Słyszałem, jednakże nie wyczerpują one problemu.

¹ Gluony - cząstki przenoszące oddziaływanie silne.

- Wątpię, jednak jeśli nawet masz rację, jaki z tego pożytek?

- Może to będzie most łączący materię ożywioną z nieożywioną...

- Bzdura.

-...albo zmieni obraz kosmosu. Pomyśl, proste, nieskomplikowane formy w każdej dziedzinie są najpowszechniejsze, dlatego uważa się, że najwięcej we wszechświecie jest wodoru. Gdyby jednak udowodnić istnienie pierwiastka zero, on przejąłby palmę pierwszeństwa.

- Powinieneś zająć się fantastyką. Jako pisarz science fiction zarobiłbyś kupę forsy.

- Tam, gdzie jadę, mogłabyś kontynuować swoje badania.

- A konkretnie?

- Do Polski.

- Jeśli jest to Warszawa, ewentualnie Kraków, mogę rozważyć propozycję.

- Niestety. - Alfred przez chwilę zastanawiał się, czy zmieniałby zdanie, gdyby jej powiedział o pieniądzach. - Myślałem, że ze mną mogłabyś być wszędzie.

- Będziemy korespondować. Gdy stwierdzę, że tęsknię nie do wytrzymania, przyjadę. A na razie, aż do twojego wyjazdu, będę do ciebie przychodzić codziennie i zostawać na noc.

Anna taka już była. Nigdy nie paliła za sobą mostów. Alfred czuł, że ta miłosa przygoda właśnie wygasa, lecz gdzieś w głębi jego serca wciąż tliła się cicha nadzieja na zmianę jej decyzji. Pozostała mu tylko wiara, że gdy za jakiś czas wróci bogaty i opromieniony sławą odkrywcy, bez trudu ją odzyska.

Po wyjściu od Anny wstąpił do Paula. Jego badaniami nad sitami molekularnymi mocno zainteresowany był przemysł, więc Paul oczekiwał, że będzie to miało zbawienny wpływ na jego sytuację materialną.

- Cześć, jak leci? - Alfreda doleciał głos, potem zza kolumny destylacyjnej wyłonił się jego przyjaciel.

- Cześć. Niespodziewanie dostałem doskonałą propozycję pracy. Jest firma, którą zainteresowała moja hipoteza na temat pierwiastka zero.

- Życzę ci, stary, jak najlepiej, ale ja bym takiej firmie nie ufał.

- Dlaczego?

- Bo twojej hipotezy nie można w żaden sposób przerobić na forszę. Ktoś, kto chce robić interesy na mrzonkach, ma nierówno pod sufitem.

- Albo jest wizjonerem.

- Oby tak było. Kto cię chce zatrudnić?

- Pewna firma farmaceutyczna.

- Przemysł to dobrze. Jeszcze na ten temat pogadamy Pójdziemy dziś na piwo?

Przez dwa następne dni Alfred porządkował notatki. Przeglądał sterty zapisków, jedne odrzucał, inne staranie wpinał do teczek. Uporawszy się z papierami, usiadł do laptopa. Wszystkie porozrzucane po wielu plikach informacje przeniósł na dyskietkę, a twardy dysk wyczyścił. Teraz jego wiedza nie była już tylko dziwactwem świra. Miała cenę. Wysoką.

Następnie przyszła kolej na książki i publikacje. Był koneserem zadrukowanego papieru. Krój czcionki, wytłuszczenia, własne podkreślenia, uwagi na marginesach, szata graficzna, zapach farby drukarskiej świeżo wydanych dzieł i szacowne ecru wydawniczych staroci - wprawiało w zachwyty jego oczy i serce. Zajął trzy skrzynie.

Na koniec zostawił sprawy, które wręcz napawały go wstrętem - formalności. Dopiero gdy je wszystkie pozalutował, poczuł, że porzuca Paryż, porzuca Annę, a koniec ich romansu jest końcem na miarę ich uczuć - niezbyt bolesnym.

Dwa dni przed odlotem ludzie od Jakuba Pasteura przyszli po bagaż.

ROZDZIAŁ IV

W samolocie niespodziewanie dopadły Alfreda wątpliwości. „Jeżeli moja hipoteza jest błędna, niczego nie osiągnę, narażę się na drwiny środowiska i niepotrzebnie stracę Annę” - zamknął oczy i po raz tysięczny próbował wyobrazić sobie matematyczny model energii. Ewolucja, kształtując zdolności poznawcze homo sapiens, nie przewidziała potrzeby wyposażenia jego wyobraźni w umiejętność schodzenia do prawiecznych podstaw budowy wszechświata. Do przeżycia wystarczyło wyobrażanie sobie niewidzialnego, ukrytego w ciemnościach lasu.

„Jest niemożliwe, aby malejąca gęstość materii zaczynała się na hipotetycznym ununocium², a kończyła na wodorze. Krzywa idzie w dół i zawisa nad osią rzędnych jak suchy badył. A co pod krzywą? Nic? Bez sensu. Przyroda, po pierwsze, nie znosi pustki, po drugie - musi dążyć do zera, gdyż wątpliwe jest, aby w akcie tworzenia został założony inny limes³ niż zero” - przekonywał się, szukając jednocześnie jakichkolwiek luk w swoim rozumowaniu.

Warszawa nie zachwyca pasażerów przylatujących z Paryża, lecz Alfred czuł niemęską, rozpierającą serce radość tułacza powracającego po latach do domu. Padał ciepły wiosenny deszcz, powietrze było czyste i pachniało niedzielą świeżością. Zaraz po odprawie przesiadł się do samolotu odlatującego do Rzeszowa i już po dwóch godzinach wylądował na lotnisku w Jasionce.

²Ununocium - pierwiastek o masie atomowej 118; jego odkrycie ogłosili w 1999 r. badacze z Lawrence Berkeley National Laboratory.

³Limes (łac.) - w matematyce: granica.

W sali przylotów podszedł do Alfreda postawny, lekko łysiejący mężczyzna koło czterdziestki, w szarym garniturze i granatowej koszuli. Towarzyszył mu młody blondyn w dżinsowym wdzianku, o szerokiej szczęce, byczym karku i zębach tak masywnych, jakby stworzonych do zgniatania gazrurek.

- Pan Alfred Mortus, prawda? Janusz Noskowski. Jestem kierownikiem produkcji Firmy Farmaceutycznej „Folicum” - przedstawił się. - A to Adaś Klepacz, nasz kierowca.

Uścisnęli sobie dłonie i ruszyli ku wyjściu. Alfreda zdziwiło, że przyjechali po niego terenowym łazikiem z napędem na cztery koła.

Jechali cały czas na południe. Kierownik okazał się człowiekiem nad wyraz małomównym. Po grzecznościowej wymianie kilku truizmów zapadł w drzemkę, zaś Adaś

całą uwagę skupił na prowadzeniu samochodu. Alfred przez boczną szybę obserwował umykające krajobrazy.

- Jak się nazywa ta miejscowość, do której jedziemy? - spytał kierowcę.

- Moczarzysko. We wschodniej części Bieszczadów.

„Moczarzysko w Bieszczadach - rzeczywiście, nagromadzenie szeleszczących spółgłosek mogło Francuzowi przywieść na myśl brzmienie zepsutego radia” - pomyślał Alfred, a głośno powiedział:

- Nigdy nie słyszałem o Moczarzysku.

- Bo to był teren zakazany Przez wiele lat ta nazwa nie występowała na żadnej cywilnej mapie i wątpię, czy obecnie wprowadzono jakąś korektę.

- Dlaczego?

- Kiedyś ściemniano, że powodem są wysokie wymagania ścisłej ochrony ostoi zwierzyny w ramach Parku Narodowego, no i granica z Sowietami o rzut beretem. Ale miejscowi wiedzieli, że tak naprawdę mieścił się tam supertajny ośrodek wojskowy Układu Warszawskiego i tereny łowieckie dla dostojników z najwyższej półki. Panie, te łowiska nadzorowało samo Biuro Ochrony Rządu. Sam słyszałem, jak pewien waśniak, gdy sobie golnął, opowiadał, że jednego tylko roku ustrzelił niedźwiedzia, dwa dziki, cztery jelenie, dwóch kłusowników i trzech ciekawskich. Słowo, nie żartuję. Do ludzi intruzów w tym rejonie strzelano jak do kaczek poza okresem ochronnym. Po wyprowadzeniu Ruskich przez Wałęsę, obiekty wykupiła firma farmaceutyczna. Firma to jeszcze nie miejscowość, więc kartografowie nie zwracają sobie nią głowy.

Alfred przyznał w duchu, że takie odludzie jest odpowiednim miejscem, by ukryć się przed konkurencją. Wtem poczuł niechęć na myśl, że przyjdzie mu mieszkać na pustkowiu z dala od cywilizacji.

- Były tam radzieckie koszary?

- Koszary są dla szeregowej hołoty W Moczarzysku bywała wyłącznie wojskowa śmietanka. Taki standard, że na ten ośrodek zęby sobie ostrzyła firma turystyczna. Z lotu ptaka rzeczywiście sprawia to wrażenie jakiegoś sanatorium.

- Może to było sanatorium?

- Panie, ten blichtr na wierzchu to pic na wodę. Sam się pan przekona, gdy zobaczy te bunkry, te instalacje, te wszystkie niewidoczne z powierzchni ziemi tunele. Jeden czort wie, co oni tam kombinowali. A kombinowali na murbeton.

- Najważniejsze, że teraz obiekt dobrze służy ludzkości - wtrącił kierowca, nie otwierając oczu. - Nie ma Ruskich, nie ma problemu.

Wtręt kierownika niczym topór na długi czas uciął dyskusję. Alfred w milczeniu podziwiał umykające za oknami krajobrazy Deszcz ustał, chmury jak barany rozpierzchły się po niebie, niskie słońce zaświeciło ostro w szyby.

- Niech się pan kimnie. Szef zawsze w podróży odsypia zarwane noce - poradził mu Adaś, zakładając ciemne okulary

Ledwie Alfred oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy niczym bumerang powrócił temat struktury energii. „Intuicja podpowiada mi, że energia, podobnie jak materia, jest wielorodna. Gdyby udało się stworzyć Układ Okresowy Energii, można by wreszcie zacząć na dobre ją ujarzmić i wykorzystywać tak skutecznie jak pierwiastki”.

Spojrzał w okno, mijali właśnie Lesko. W miarę płaski dotąd teren zaczął się fałdować, po lewej i prawej stronie wyrastały coraz wyżej góry o nierównych grzbietach. Uroda krajobrazu zapierała w piersi dech i Alfred poczuł nagły napływ euforii, że pieniądze i sławę będzie mógł zdobywać w pięknym otoczeniu.

Miejsce, do którego zmierzali przypomina na mapie wyrostek robaczkowy To najbardziej na południowy wschód wysunięta część Polski zwana Bieszczadzkiem Workiem. Tutaj, niejako w cieniu najwyższych szczytów, w ciasnej, długiej kotlinie utworzonej przez widlaste, bezimienne rozgałęzienia masywu Pasma Granicznego, leżało Moczarzysko. Jakkolwiek całe Bieszczady pokrywa bujna roślinność, a osobliwe zawłaszczanie górnego regła przez regiel dolny nadaje im charakteru dzikości, otoczenie Moczarzyska zdawało się być pierwotnie dziewicze. Zbocza, aż po wysokie połoniny, porastało starodrzewie, nieprzebyte gąszcz przecinały jary wyłobione przez rzeki i strumienie, gdzieś tam swoje źródło miał wielki, niepokorny San. Potokowi płynącemu kamienistym dnem kotliny daleko było do królewskośći Sanu, ale jego nurt nigdy nie zanikał, a katarobowo czysta woda nadawała się do użytku bez uzdatniania.

Do kotliny wiodła jedyna droga odchodząca od Wielkiej Obwodnicy jako leśny, wyboisty dukt, dziurami i wybojami zniechęcający do szukania tamtędy przejazdu. Dla opornych dodatkowo stał znak „zakaz ruchu”, a trzydzieści metrów dalej - tablica ostrzegawcza z wielkim napisem: „Wstęp zabroniony”. Dopiero za najbliższym zakrętem droga stawała się gładka jak stół.

- To wymysł Ruskich. Taki psychologiczny kamuflaż - wyjaśnił Adaś. - Nikt nie będzie ryzykował połamania resorów. No i zjazd z głównej jest, po pierwsze, na ostrym łuku, po drugie - przy podwójnej ciągłej. Kierownictwo zabroniło wjeżdżania tu osobowymi samochodami, żeby komuś nie przyszło do głowy sprawdzać, dokąd te samochody jeżdżą. Dobrze, nie?

Jechali teraz żywym wąwozem zieleni, która pośpiesznie wchłaniała zapadającą ciemność. Już wkrótce poza fragmentem drogi i poboczy oświetlanych reflektorami samochodu, wszystko inne było nieprzeniknioną czernią.

* * *

Moczarysko wyłoniło się zza kolejnego zakrętu, gdy Alfred zaczął już wątpić, czy kiedykolwiek dotrą do celu. Najpierw zatrzymali się przy szlabanie z nieuzbrojonym strażnikiem, następnie zajechali na plac przed niski, dwuskrzydłowy budynek dyrekcji. Mimo późnej pory wszystkie okna były oświetlone, a dyrektor osobiście czekał na nowego pracownika w swoim standardowo urządzonym gabinecie w lewej części skrzydła. Był to mężczyzna około sześćdziesiątki, całkowicie siwy ale o zdrowej, czerstwej twarzy i po żołniersku prostej sylwetce.

- Miło mi pana powitać. Augustyn Pijar. - Uścisk jego dłoni był mocny a spojrzenie twarde i badawcze. - Pana bagaż dotąd nie dotarł, ale mieszkanie już czeka. Trzeci dom z lewej. Siódemka. Trafi pan czy podprowadzić?

- Z pewnością trafię.

- Będzie pan mieszkał z profesorem Jareką Zarębą i doktorem habilitowanym Piotrem Jakowem. Jaków jest Rosjaninem, ale doskonale mówi po polsku. Oczywiście, każdy z panów ma samodzielne mieszkanie, wspólny jest tylko korytarz. W kuchni, która mieści się po prawej stronie od wejścia, dostanie pan kolację. Od razu poinformuję, że mamy tu doskonałą stołówkę, w której można wykupić abonament na posiłki. Chyba że woli pan sam pichcić?

- O nie, broń Boże.

- Jasne, lepiej nie wchodzić w domenę niewiast. Formalności pozałatwiamy jutro.

Alfred zjadł jajecznicę z trzech jajek i, według wskazówek dyrektora, udał się pod swój nowy adres. Nie skąpiono tu sobie przestrzeni. Ulica była szeroka i dobrze oświetlona, domy stały dość daleko od siebie, każdy otaczał starannie przystrzyżony trawnik. Gdzieniedzie dostrzegł nawet ogródki skalne i oczka wodne.

Odnalazł numer siódmy. Jedyne okna na piętrze były ciemne. Wtem w drzwiach wejściowych stanął chudy jak szczapa i kudłaty jak tapir mężczyzna w sfatygowanym dresie.

- Dobry wieczór, pan jest pewnie ten nowy? - zawołał z wyraźnym kresowym akcentem. - Nazywam się Piotr Jaków.

- Alfred Mortus.

- Pomóc w czymś?

- Dziękuję, marzę tylko o spaniu.

- Podobnie jak Jarema, ale on z powodu kaca. Zabarykadował się w swoim pokoju i chrapie jak cały tartak.

- Rozumiem - powiedział Alfred, chociaż nie rozumiał i wcale go to nie obchodziło.

Jego nowe mieszkanie składało się z dwóch pokoi, małej kuchni i łazienki. Na dobrą sprawę nie odczuł braku swoich bagaży Tapczan był już posłany do spania, w łazience wisiały czyste ręczniki, na półkach stały kosmetyki i inne niezbędne męskie akcesoria. Szczęśliwym trafem takie same, jakich dotąd używał. Wziął szybki prysznic i później spał jak suseł.

ROZDZIAŁ V

Dobra passa trwała. Gdy nazajutrz Alfred wypoczęty i odświeżony zawitał u dyrektora, ten przyjął go niczym niecierpliwie oczekiwanego gościa. Sekretarka, pani Brygida Lass, nijaka, podstarzała kobieta w czarnej sukience z białym żabotem, podała kawę i wycofała się bezszelestnie, zamykając za sobą starannie drzwi.

- Pan Jakub Pasteur polecił mi otoczyć pana szczególnie troskliwą opieką i zaopatrzyć pańską pracownię we wszystko, co uzna pan za stosowne. Jednym słowem, pańskie badania otrzymały status priorytetowych. Mamy doskonale wyposażone laboratorium chemiczne, ale jak się zdołałem zorientować, badania mocno wykroczą poza standardowe metody Prawda?

- Rzeczywiście.

- Nasza biblioteka posiada katalogi wszystkich światowych producentów aparatury laboratoryjnej. Jeżeli to nie starczy, składowy zapotrzebowanie ekstra. Żaden problem. Zamawialiśmy już wiele urządzeń według indywidualnych projektów, kilka zostało nawet opatentowanych. Zatem proszę nie hamować swoich nowatorskich zapędów. Uznajemy zasadę, że każdy pomysł jest dobry bo każdy przybliży do celu. Nawet ten błędny gdyż wyklucza opcję, której nie należy kontynuować.

- No tak - przyznał Alfred.

Nie dowierzał własnym uszom. Od zawsze czuł nad sobą bat przymusu oszczędzania. W rodzinnym domu z nieśmiertelnym dylematem: czy kupić dzieciom buty na zimę czy wymienić lodówkę, w chronicznie niedofinansowanej szkole średniej, a nawet w paryskim instytucie, gdzie do najcenniejszych cnót zaliczała się cnota oszczędności. Tutaj - hulaj dusza... Wydawaj, urzeczywistniaj swoje fantastyczne pomysły, choćby te najdurniejsze, bo nawet błąd jest pożądanym szlabanem ustawianym na ścieżce prowadzącej na manowce.

Tymczasem dyrektor ciągnął dalej:

- Jestem ekonomistą, dbam jedynie, żeby wszystko chodziło jak w dobrze naoliwionym mechanizmie, zatem proszę się zwracać do mnie wyłącznie w sprawach nienaukowych. Problemy naukowe dotyczą tylko was, uczonych.

Dyrektor osobiście oprowadził Alfreda po ośrodku. Bez pośpiechu obeszlą osiedle. Teraz, w świetle pogodnego dnia, Alfred mógł w pełni docenić soczystą urodę tego miejsca. Panorama zaczynała się zielenią gór bliższych, by przejść w mglisty błękit gór dalszych i zlewającą się z lazurem nieba barwą gór najdalszych. Na ich tle pomnikowe świerki tworzyły jakby pas ochronny dla Moczarzyska. Powietrze - niewyobrażalnie czyste, rześkie,

przesycone zapachem świerkowych igieł i leśnych ziół, wyłoczone słońcem, wypełnione cykaniem niewidzialnych owadów i śpiewem nieznanych ptaków - już samo w sobie zasługiwało na zachwyty, może nawet poemat, a już na pewno na chwilę kontemplacji po miejskich mieszkankach tlenu z wyziewami cywilizacji.

- Krajobraz i nieskażone środowisko to walor, za który w każdym innym miejscu na świecie trzeba by słono płacić. Gdyby ośrodek wykupiła firma turystyczna, natychmiast, niczym stonka, najechaliby tu wszelkiej maści turyści i za parę lat wszystko dookoła znikłoby pod kupą puszek po piwie, foliowych worków, papierów i wszelkiego śmiecia, jakie zostawia po sobie człowiek. Ten przepiękny las zostałby poprzecinany asfaltowymi ścieżkami, hałas wypłoszyłby zwierzynę, a samochody zatruły powietrze.

- Słyszałem, że jest to teren Parku Narodowego.

- A dokładniej: ściśle przylegający do Parku. Jest co prawda chroniony ale musi pan wiedzieć, że czwartym, najskuteczniejszym żywiołem jest pieniądz. Jego siłę nie oprze się nic, szczególnie rzecz tak abstrakcyjna jak ustawa o tym czy owym. Na szczęście przebiliśmy ofertą wszystkich konkurentów Założyciel naszej firmy był człowiekiem nie tylko z wielkimi pieniędzmi, ale również z ideałami. Miał manię na punkcie ekologii. Uważał, że jesteśmy częścią przyrody i musimy to zrozumieć, jeżeli nie chcemy, aby przyroda potraktowała nas jak wrzód na tyłku. Firma wykupiła ten ośrodek, ale zasadnicza produkcja leków, oczywiście wyłącznie na bazie surowców naturalnych, odbywa się gdzieś indziej.

Tutaj prowadzone są tylko prace badawcze. Podobne ośrodki posiadamy w Amazonii, Australii i południowej Afryce.

- A jak się nazywa założyciel firmy?

- Harry Jeferson. Zmarł w 1925 roku. Firmę w spadku przejęli jego dwaj synowie, Filip i Frank. Filip zmarł bezpotomnie, natomiast Frank ma syna Dawida i córkę Ewę. Teraz to oni z wielkim powodzeniem zarządzają przedsięwzięciem, wypełniając, rzecz jasna, testament swojego wielkiego dziadka. Jesteśmy zobowiązani nie tylko chronić naturę, ale i przeznaczamy spore fundusze na rzecz ochrony Bieszczadzkiego Parku. Jeżeli pobędzie pan tu dłużej, pozna pan prawdziwe bogactwo puszczy wschodniokarpackiej. A jest to najprawdziwsza puszcza, która jakimś dziwnym trafem ocalała z cywilizacyjnej rzezi. Bo człowiek, proszę pana, Bieszczady traktował jak róg obfitości, skąd można tylko brać i brać. Nudzę pana?

- Ależ skąd. Przyznaję panu rację. Też tak myślę - powiedział, próbując jednocześnie odgadnąć, co jego teza o pierwiastku zero ma wspólnego z testamentem Harrego Jefersona. A musiała coś mieć, skoro znalazła się w centrum zainteresowania.

- Generalnie rzecz biorąc, proszę pana, komuna przez swoje ciągoty do utajniania wszystkiego, co tylko możliwe, wyświadczyła Moczarzysku przysługę. Chociaż wydrążyli w skałach kilka tuneli prowadzących w nieznane i wybudowali bunkry przeciwiatomowe, to przyrodę jako element maskujący pozostawili w nienaruszonym stanie. O, widzi pan tę budkę pomiędzy głazami?

- Widzę.

- To jedna z czerpni powietrza dla schronu. Te schrony są ogromne. Zaledwie niewielką ich część wykorzystujemy na magazyny. Chce je pan teraz obejrzeć?

- Wolałbym innym razem.

- Jasne, tunele jak tunele, paskudne, zimne i szare. Ale domy zbudowane są porządnie, ciesielka najwyższej klasy piękne łączenie belek. I niech pan zwróci uwagę, że dachy kryte są gontem. Najprawdziwszym gontem z łupanego i naturalnie suszonego drzewa. Taki dach może przetrwać i sto lat. To nie to samo, panie, co te wszystkie współczesne technologie. Przedwczoraj jeszcze na drzewie śpiewały ptaki, dzisiaj już z tego drzewa zrobione są drzwi.

- Wypaczone, nawiasem mówiąc.

Wszystkie domy miały wysokie, kamienne podmurówki i charakterystyczne, spadziste dachy z przyczółkami. Alfred nawet bez uwag dyrektora odczuwał płynący z podświadomości podziw dla dzieła rąk ludzkich, w którym mistrzowskie wykonanie współgra z funkcjonalnością, a proporcje złotego podziału narzucają zmysłom poczucie ładu i harmonii. Domy biegły po obu stronach rwącego potoku, przez który przerzucono dwa drewniane mostki.

W głębi kotliny, wśród wysokich jodeł, stały ustawione w kształt litery „c” trzy pawilony. W środkowym, który Alfred miał już okazję poznać od środka, mieściła się dyrekcja, biblioteka ośrodka, kuchnia, stołówka i mała kaplica, w dwóch bocznych, jednopiętrowych - laboratoria. Za pawilonami, po drugiej stronie zadrzewionego pasa, leżało rozległe, dziczejące lądowisko dla helikopterów.

Stali właśnie w wysokiej trawie, wśród strzelistej wierzbówki kipszycy tojadu, płożącej się nisko borówki, jałowca, młodej olszynki i kostrzewy, śmiało obejmujących na powrót w posiadanie splantowaną niegdyś polanę.

- Proszę spojrzeć tam, między te choinki. Widzi pan zieloną siatkę?

- Widzę.

- Tędy nie można iść na żadną wycieczkę. Całe Moczarzysko jest ogrodzone. Ogrodzenie i szlaban przy wjeździe dostaliśmy w spadku po wojsku i zachowaliśmy na

wypadek, gdyby ktoś nieopatrznie zabłądził tutaj. Nie mamy nic do ukrycia, lecz lepiej siedzieć cicho.

- Rozumiem.

- Mieszkańcy Moczarzyska mogą poruszać się po całym terenie bez ograniczeń. Należy tylko przestrzegać jednej zasady obowiązującej w górach: zgłaszać cel wycieczki, żeby w razie nieszczęścia ułatwić organizację pomocy

- Wiem, w czasach studenckich uprawiałem turystykę górską.

- Proszę też uważać na węże. Jest ich tutaj zatrzęsienie. Żmije, zaskrońce, miedzianki, węże Eskulapa...

- Czyli raj nie do końca jest rajem.

- Błąd logiczny, wąż był starszym mieszkańcem raju niż Adam i Ewa. Ale cóż, nie ma róży bez kolców. Co teraz panu pokazać, budynek dyrekcji czy pracownie?

- Pracownie.

Ruszyli w kierunku pawilonu wschodniego, według tabliczki informacyjnej mieszczącego pracownie biologiczne. Na parterze znajdowało się przestronne, wyłożone zielonymi płytkami pomieszczenie ze zwierzętami doświadczalnymi. Pomimo sterylnej czystości, powietrze przenikał przykry, bliżej nieokreślony zapach. Między klatkami z osowiałymi królikami, szczurami, małpkami oraz świnkami morskimi stał wysoki staruszek w grafitowym drelichu i przyciemnionych okularach i wodą ze szlauchu zmywał podłogę.

- To dozorca zwierząt, pan Franciszek Janeczko. Jest głuchy i niewidomy na jedno oko, ale za to spostrzegawczy. Potrafi doskonale czytać z ruchu warg. - Dyrektor dotknął ramienia staruszka. Ten odwrócił się gwałtownie. - To jest nasz nowy pracownik, doktor Alfred Mortus.

Pan Janeczko skinieniem głowy dał znać, że zrozumiał i powrócił do przerwanej czynności.

Na piętrze znajdowały się wręcz zapchane wysoko specjalistyczną aparaturą pracownie: mikrobiologii, biologii i hydrobiologii. Tutaj dyrektor poznał Alfreda z profesorem Borysem Akermanem, jego asystentką Alicją Fiszbach oraz laborantką - Joanną Fosch.

- Pan profesor Akerman pracuje nad sposobami regeneracji cząstek DNA - poinformował niezbyt dokładnie dyrektor, ale uczony i tak skrzywił się, jakby ktoś wydarł mu z ucha włos.

Profesor był postawnym mężczyzną około sześćdziesiątki, o nieco nalanych rysach i bardzo krótko ściętych siwych włosach. W jego twarzy dominował pokaźny, mięsisty nos, od

którego biegły dwie głębokie zmarszczki w kierunku kącików wąskich ust. Asystentka wyglądała jak nieco młodsza siostra profesora. Siwe włosy zwijała w staroświecki koczek na czubku głowy. Laborantka była, owszem, młoda, ale płaska jak deska i zupełnie pozbawiona wdzięku. Czarne włosy obcięte na pazia okalały szarą twarz o kanciastych rysach, których nie łagodziły nawet intensywnie niebieskie oczy. Alfredowi przypomniał się paryski Instytut pełen pięknych kobiet na każdym poziomie naukowym - szczególnie młodych doktorantek, takich jak jego Anna, oraz dziewcząt bez ambicji naukowych, zatrudnionych na licznych pomocniczych stanowiskach. Tutaj spotykał same kaszaloty

Już na korytarzu, tuż za drzwiami wpadł na nich z impetem wysoki szatyn o ziemistej cerze i odstających uszach, w rozciągniętym swetrze i rogowych, ciężkich okularach, których soczewki wyglądały jak denka butelek.

- O, przepraszam, dyrektorze. Miło mi poznać nowego kolegę. Jan Skalski, mikrobiolog.

W pierwszym odruchu Alfred chciał spytać, jak on z takim wzrokiem korzysta z mikroskopu, podstawowego narzędzia pracy w tym zawodzie, ale w porę ugryzł się w język. Wymienił swoje imię, nazwisko i profesję, po czym uściśnął wyciągniętą w swoim kierunku dłoń.

Następnie przeszli do zachodniego pawilonu, według tabliczki - laboratorium chemicznego. Tu dla odmiany cały parter zajmowały piece muflowe, suszarki, wirówki, wytrząsarki... Na cementowych stołach wzdłuż ścian stały eksykatory, palniki, łaźnie wodne i piaskowe oraz kilka rodzajów wag aptekarskich.

Na piętrze, w pomieszczeniu z napisem „Pracownia analityczna”, przy digestoriach pracowało dwóch młodych laborantów: Piotr Zarębny i Artur Knap. Pierwszy był wysokim jasnym blondynem o regularnych rysach, drugi nieco niższym brunetem o kręconych, gęstych włosach i chłopcęco okrągłej twarzy. Obaj nie przekroczyli jeszcze trzydziestu lat.

- Ostatnio nie realizowaliśmy żadnych programów z zakresu chemii, więc zatrudnienie na tym odcinku ograniczyliśmy do minimum. Zwiększymy je w razie potrzeby - pośpieszył z wyjaśnieniem dyrektor. - Ma pan do dyspozycji cały obiekt. Proszę.

Alfred wchodził do kolejnych pracowni jak Ali Baba do baśniowego sezamu, oszołomiony nagromadzonym tu bogactwem naukowego dobra: mikroskop elektronowy, kalorymetr skaningowy, polarymetr, spektrometr, rentgenogram, neutronograf... Z wrażenia zaniemówił. Dostał wszystko, czego potrzebował, aby rozpocząć badania. Brakowało mu tylko odpowiedniej wagi. Jej konstrukcję obmyślił już dawno, wykonał nawet kilka w miarę dokładnych szkiców, a teraz wiedział, że będzie ją miał.

Przeznaczono dla niego również gabinet z oddzielną toaletą, kabiną prysznicową i lodówką. Umeblowanie stanowiło biurko z komputerem, drukarką, telefonem i faksem, regał z pustymi na razie segregatorami oraz szafa pancerna.

- Jaką wizytówkę życzy pan sobie na drzwi?

- Wszystko jedno. Jak najprostszą.

- Na początek będzie panu pomagał doktor Jakub Prot, też chemik. Chyba że zechce pan dobrać sobie zespół według własnego uznania. Ale to naprawdę niezwykle zdolny naukowiec. Panie Jakubie!

Do pokoju wtoczył się na wózku inwalidzkim młody człowiek. Prawdę mówiąc, młoda była tylko jego głowa. Ta młoda i modelowo piękna głowa osadzona była na ciele stulatka, jakby zamarłego w konwulsjach agonii. Ręce, pomarszczone i przygięte w krogulczym przykurczu, nadgarstkami popychały koła wózka. Patykowato chude nogi spoczywały bezwładnie na podpórkach.

- Tak, miło mi pana poznać - Alfred odruchowo wyciągnął dłoń, lecz doktor Prot zdawał się jej nie zauważać.

- Przygotowałem pracownię na pańskie przybycie, lecz bez zakresu przyszłych badań, nie bardzo wiedziałem, na czym się skupić.

- Widziałem. Jestem pełen podziwu.

- Więc życzę owocnej pracy i jeszcze w kwestii formalnej, obiady wydają już od trzynastej - dyrektor pożegnał się uśmiechem i wyszedł.

Alfred usiadł w fotelu za biurkiem. Po raz pierwszy w życiu poczuł się jak prawdziwy szef. Miał nawet przed sobą podwładnego, który patrzył na niego wyczekująco.

- A wracając do sprawy laboratorium urządzone jest doskonale, lecz ja będę potrzebował dokładniejszej wagi i o innej konstrukcji niż te, które tu są. Powinna być zrobiona według mojego projektu. To specjalna waga - dorzucił, widząc w pięknych oczach doktora Prota przykry zawód.

- Rozumiem.

- Panie doktorze, czy zna się pan na rysunku technicznym? - Zanim przebrzmiało ostatnie słowo, zrozumiał, że strzelił gafę. Tak powykręcanyimi palcami nie sposób utrzymać nawet ołówka.

- Dość dobrze - odpowiedział tamten bez cienia zażenowania.

- Chodzi o projekt specjalnej wagi. Szkice mam w bagażach, gdy tylko nadejdą, natychmiast weźmiemy się do roboty. Tymczasem trzeba by w pomieszczeniu, w którym

stanie waga założyć klimatyzację z dokładnym monitoringiem temperatury i wilgotności. Szczególnie wilgotności.

- Z tym nie będzie problemu. Mamy już taką instalację w magazynie z odczytnikami higroskopijnymi. Teraz magazyn stoi pusty, a instalacja jest wyłączona. Możemy go adaptować na pokój wagowy. Pokażę panu.

Magazyn o powierzchni dwudziestu ośmiu metrów kwadratowych mieścił się na parterze od strony północnej. Okratowane okno przesłaniała granatowa roleta. Przy jednej ze ścian stały przeszklone szafy pełne zakurzonych pudełek, pod sufitem biegła wiązka różnorodnych przewodów, a wszystko to oświetlała słaba jarzeniówka.

- Cała maszyna mieści się tam, za tą ścianą. Zatem wagę najlepiej byłoby zamontować tu - Kuba wskazał na regały.

- Doskonale.

- Zajmę się tym.

ROZDZIAŁ VI

Bagaż nadeszły jeszcze tego samego dnia. Kiedy Alfred wrócił do domu, zastał już pod drzwiami wszystkie paczki. Wniósł je do mieszkania, rozpakował tę z notatkami, położył się na łóżku i zatopił w czytaniu. Bez reszty pochłonęły go rozważania nad masą energii. Wychodził z założenia, że skoro teoria względności Einsteina jest odwracalna, energii można, a nawet należy, przypisać masę. Dowodem są czarne dziury, których ogromna grawitacja stanowi pułapkę dla światła. „Przestudiować teorię Hawkinga⁴” - zrobił stosowną notatkę na marginesie i przeszedł do rozważań nad materią ożywioną. „Jesteśmy dziećmi gwiazd. Kosmos ukształtował nas z tego, co miał pod ręką, czyli z wodoru, tlenu, węgla... Żyjemy, bo w jakiś niezwykle sposób energia weszła w reakcję z materią. Czy byłoby to możliwe bez pierwiastka zero? Nie, nie mogę się mylić.”.

Następnego dnia w swoim gabinecie pochylony nad szkicami tłumaczył doktorowi Protowi:

„Stephen Hawking (ur. 1942) - brytyjski astrofizyk, kosmolog, fizyk teoretyk. Tu Alfred ma na uwadze jego teorię o promieniowaniu czarnych dziur.

- Waga jest w zasadzie prosta. Chcę, aby była wykonana ze stopu irydu i platyny miała maksymalny rozstaw ramion osadzonych na ostro wyszlifowanym diamentowym klinie. I, ważne, na szalkach muszą się mieścić pojemniki ze szkła kwarcowego, zamykane hermetycznie.

- Duże?

- Jak największe. Chcę ważyć ciężkie próbki z dokładnością do jednej miliardowej grama.

- Wow, nanogram⁵!

- No i waga ma być oddzielona od reszty pomieszczenia szklaną ścianą. Ma mieć superdokładny mechanizm zerujący i dodatkowo konika z platyny, jak w zwykłej wadze analitycznej.

- Proponuję użyć stopu irydu z osmem i zmienić nieco konstrukcję ramion oraz szalek, żeby do minimum zmniejszyć ciężar własny ruchomych części. Mogę wykonać rysunek i zwymiarować.

- Świetnie. - Doktor Prot z taką łatwością zrozumiał jego intencje, że Alfreda ogarnęło zwątpienie, czy jego waga jest rzeczywiście wyjątkowa. Uśmiechem zamaskował zaskoczenie. - Skoro będziemy pracować razem, przejdźmy na „ty”. Dobrze?

- Oczywiście. Przyjaciele mówią mi po prostu Kuba.

- Alfred. Miałem dostać imię po wielkim Einsteinie, ale staruszek tak się ubzdryngolił, że zamiast „Albert” wybełkotał w urzędzie stanu cywilnego „Alfred”. Mama chciała mnie nazwać Olgierdem, ale ksiądz niedosłyszał i ochrzcił mnie: Oskar. Tak więc jestem Alfredem Oskarem. Bruderszaft wypijemy przy okazji.

5 Nanogram - jedna miliardowa część grama.

Uśmiechami zastąpili uściski dłoni.

- Tak czasami bywa. Zabieram się do roboty. - Kuba popchnął swój wózek w kierunku drzwi, w których akurat stanął profesor Borys Akerman.

- Wpadłem, żeby zapytać, czy potrzebuje pan pomocy biologa.

- Na razie dziękuję.

- Nawiasem mówiąc szukamy czwartego do brydza. Gra pan?

- Gram, ale słabo.

- Jest zatem sposobność, żeby się podciągnąć. Ma pan dzisiaj wieczorem czas?

- Mam, chętnie zagram - powiedział Alfred zadowolony z okazji, żeby wejść w tutejsze środowisko.

- Gramy tradycyjnie u mnie. O dwudziestej. Mieszkam pod trzynastką.

* * *

Mieszkanie profesora Borysa Akermana urządzone było antykami w stylu Ludwika XIV Jasne obicia mebli, złożone ramy doskonałych reprodukcji sielskich obrazów Watteau, Lancereta i Lorraina oraz kryształowy żyrandol wyraźnie klóciły się z rozwieszoną na jednej ze ścian brunatną skórą niedźwiedzia ze spreparowaną głową. Zapewne było to myśliwskie trofeum tak cenne, że aż godne estetycznej dysharmonii.

Oprócz gospodarza Alfred zastał dyrektora Pijara, swojego sąsiada, Jakowa i Skalskiego.

- Losujemy Jak zwykle, najstarsza gra z najmłodszą - od razu przystąpił do rzeczy profesor Akerman. Położył na stole eleganckie pudełko z lakierowanego, różanego drewna, ozdobione dyskretnym logo firmy Piatnik, wyjął z niego talię kart i rozłożył na stole.

Partnerem Alfreda został jego sąsiad, Piotr Jaków. W czasie gdy dyrektor Pijar tasował karty, profesor Akerman wyszedł do kuchni i po chwili wniósł na tacy butelkę burgunda i cztery lampki.

- Muszę uzupełnić barek, została mi ostatnia butelka wina. Szkoda, bo to doskonały rocznik - mówił, napelniając szkło. - Pan, panie Alfredzie, przebywając długi czas we Francji zapewne rozsmakował się w tamtejszych trunkach, prawda?

- Owszem.

- Francja... - przez chwilę w zamyśleniu spoglądał na kryształowy żyrandol. - Na emeryturze zamieszkam w Paryżu. Codziennie będę zwiedzał jedno muzeum. Kto zaczyna licytację?

- Pan, profesorze.

- No to... - wprawnie rozłożył karty w równy wachlarz. -...Proste bez atu.

- Jedziemy trefłówką? - spytał Jaków nie patrząc na Alfreda.

- Może być.

- Dwa kier...

Grali do północy Mimo kilku błędów popełnionych przez Alfreda przy licytowaniu i w wistach, przy mistrzostwie Piotra Jakowa udało im się wygrać trzy robry na cztery

Kiedy opuszczali dom pod trzynastką, Alfred był zadowolony z dobrze spędzonego czasu. Noc była piękna, gwiazdzista i wysoka. Księżyc w pełni zdawał się płynąć tuż nad turniami. Czarne na tle jaśniejszego nieba góry promieniowały delikatną, błękitną poświatą, powietrze pachniało lasem, mgłą i sianem. Od czasu do czasu pobrzmiwały pohukiwania puchacza, krótkie, ostre miauknięcia żbika albo przeciągłe wycie nawołujących się wilków. Alfred jeszcze po powrocie do swojego mieszkania długo stał w otwartym oknie.

ROZDZIAŁ VII

Projekt wagi, który rozwinął przed Alfredem Kuba, wprowadził go w zachwyt. To, co wyrażał dotąd w postaci krzywawych kresek szkicu, zweryfikowane precyzyjnymi obliczeniami, zwymiarowane i rozrysowane zgodnie ze sztuką kreślarską przeobraziło się w piękną konstrukcję. Piękniejszą niż był w stanie sobie wyobrazić.

- Rozpiętość ramion wynosi trzy metry i sześćdziesiąt centymetrów. Ramiona tworzą płaskowniki cztery na dwa milimetry. Wzmacnia go ten skopiowany z wiszących mostów ukośny podciąg grubości zaledwie pół milimetra. Dobre, nie?

- Rzeczywiście.

- Szalki zaplanowałem wymienne. Można stosować albo tradycyjne, w kształcie talerza, albo jako samą obręcz podtrzymującą kwarcowy pojemnik. No i strzałka wskazówki. Siedemdziesięciocentymetrowy złoty pręt. W podstawę wbudowana będzie laserowa poziomica. Pozostałe rozwiązania podobne jak w najnowszych wagach analitycznych. Będzie, szefie?

- Będzie. Jednak obejrzyć to jeszcze spokojnie.

- Proszę, tutaj są szczegółowe wyliczenia. Masz dla mnie jeszcze jakieś zlecenie?

- Na razie nie.

Kuba znikł za drzwiami, zaś Alfred zaczął przeglądać projekt. Fakt, waga była piękna, strzelista jak gotycka katedra. Im dłużej jej się przyglądał, tym bardziej narastało w nim uczucie podziwu dla tego paralityka na wózku, który stworzył arcydzieło stokroć lepsze niż pierwowzór z jego szkiców. „Zdolna bestia” - przyznał z niechęcią. „Muszę na niego uważać”. Zwinął rulony i wyjął z drukarki czystą kartkę, by rozrysować szklane pojemniki. Tu sprawa była prosta - kwarcowa kula z ukośnym, dość szerokim wlotem ze szlifem i dobrze dopasowanym korkiem.

Po dwóch godzinach wezwał do siebie Kubę.

- Zamawiamy Mam z tym iść do dyrektora Pijara czy sam się tym zajmiesz?

- Sam się zajmę.- Spojrzał na kartkę. - Ile tych naczyń?

- Dziesięć - rzucił bez namysłu.

- Załatwione, szefie.

Kuba z rysunkami na kolanach wyjechał z gabinetu, a Alfred z niechęcią włączył komputer. Jak dotąd miał w nim zaledwie jeden plik ze związkami chemicznymi ze ścieków z

jakiegoś zakładu farmaceutycznego należącego do firmy. Przez chwilę bezmyślnie wpatrywał się w ekran, potem przeniósł wzrok na zegarek. Dochodziła trzynasta, mógł już zjeść obiad.

Stołówka była prawie pusta. Dojrzał z daleka Piotra Jakowa siedzącego samotnie przy stoliku i postanowił się dosiąść. Piotr wyglądał na zadowolonego z powodu niespodziewanego towarzystwa.

- Zamów sobie bażanta w sosie curry z ryżem ugotowanym na sypko i mizerią. Rarytas. Do tego kompot z jabłek.

Podeszła kelnerka i Alfred złożył zamówienie.

- Często tu tak wykwintnie karmią?

- Jasne. Skupują dziczyznę od myśliwych i produkty bezpośrednio od rolników. Czysta ekologia.

- A bażantów nie obowiązuje przypadkiem teraz okres ochronny?

- Może i obowiązuje, te są pewnie hodowlane. Albo upolowane w czasie łownym i przechowane w zamrażarce.

Kelnerka postawiła przed Alfredem talerz z daniem. Alfred zabrał się za jedzenie. Po dłuższej chwili spostrzegł, że Piotr, zamiast jeść, ogląda z zainteresowaniem ogryziony fragment bażanciej piersi.

- Co tak patrzysz jak sroka w gnat?

- Zawsze mnie intrygowały krzywizny trudne do opisaną funkcją. Spójrz - pociągnął palcem po grzbiecie mostka.

- Dla mnie to parabola przechodząca gładko w wycinek okręgu.

- Gładko w wycinek okręgu może przechodzić tylko klotoida. Ale to nie jest klotoida. Nazwałbym ją krzywą funkcjonalną zmienną. Doceń termin mojego autorstwa. x.

- Jakoś dotąd nie zapytałem cię o specjalizację.

- Z wykształcenia jestem matematykiem, w wolnym czasie zabawiam się informatyką.

- Żartujesz. Tutaj? Czyżbyś przekonał zarząd firmy, że jesteś w stanie wymyślić wzór, który sprawi, że chorzy zaczną szturmować apteki?...

- A żebyś wiedział.

- Uważam, że najlepiej sprzedają się leki skuteczne.

- Bzdura. Gdyby tak było, ludzie unikaliby hochsztaplerów; jedliby szpinak i nie palili papierosów.

- No nie! Serio pracujesz nad wzorem na efektywność sprzedaży medykamentów? - Alfred parsknął śmiechem.

- Pozory i utarte stereotypy zaciemniają ci istotę sprawy, lecz skoro tutaj trafiłeś, masz umysł analityczny

- Owszem, jednakże na własnej działce. Jestem chemikiem.

- Więc załapiesz. Posłuchaj, to właśnie niedostrzegalne, chaotyczne drobiazgi powodują brak zdarzeń identycznych, jednak w tych nieregularnych zdarzeniach istnieje porządek. Zwijają się one spiralnie wokół konkretnych wartości zwanych atraktami. Zamiast wysłać setki ankietów, żeby zbierali opinię konsumentów albo wydawać miliardy na promocje, lepiej jest...

- Zastosować ten szablon?

- Oczywiście. Prawa chaosu oraz wiedzę o tak zwanej złożoności wykorzystuje się już do prognoz giełdowych, przewidywania pogody, zachowań społeczeństw, gier hazardowych, a nawet trendów w modzie. Zwie się to z angielska complexity Zresztą, to mój kolega po fachu odkrył zjawisko wrażliwości zachowania układów nieliniowych na małe zmiany warunków początkowych i nazwał je anegdotycznie efektem motyla⁶.

- Subtelne jak trzepot motyli skrzydeł czynniki mogą powodować katastrofalne skutki tysiące kilometrów dalej. Jakoś tak.

- Dobrze pamiętasz. Czytałeś może The Tipping Point Malcolma Gladwella?

- Nie czytałem.

- Przeczytaj. Mocna rzecz. Doskonale uzupełnia teorię Farmera⁷, że z jakiegoś powodu wszechświat posiada skłonność do samoorganizacji.

- Słuchając cię dochodzę do wniosku, że Stwórca stworzył Wszechświat według jakiegoś superwzoru...

- Zgoda. Każde zdarzenie we Wszechświecie jest funkcją tego, jak powiedziałeś, superwzoru. Rozszyfrowywanie go jest wydzieraniem Bogu tajemnicy. Gdy wydrzemy ją całą, matematyka nie będzie już królową, lecz Bogiem nauk.

- Czyli Chaos nie jest Chaosem?

- Przyznaję rację Einsteinowi, Bóg nie gra w kości.

- Podobno gra w karty Znaczone.

⁶Mowa o Edwardzie Nortonie Lorenzie - amerykańskim matematyku i meteorologu.

⁷Dayne Farmer - fizyk amerykański, twórca teorii chaosu.

- Nie musi. Lepsza jest kosmicznie skomplikowana funkcja, w której każdy wynik jest możliwy, przy niewzruszonych założeniach. Rozumiesz? My, drobinki, mikroskopijne cząsteczki składowe tej superfunkcji, swoimi małymi rozumkami nie jesteśmy w stanie ze

swojego grajdołka objąć tego, co Bóg obejmuje jednym rzutem oka. Ja na razie postawiłem tezę, że wszystko jest pochodną jakiegoś nieustannie działającego się równania.

- Czyli matematyczny model demona Laplace'a⁸.

- Niedokładnie. Laplace chciał z rozkładu wszystkich sił we wszechświecie odtworzyć przeszłość i przewidzieć przyszłość. Kompletna bzdura. Ja poszukuję wzoru opisującego mechanizmy działające na wszystkich poziomach. - Odłożył pierś, która natchnęła go do rozmyślań nad istotą chaosu i przystąpił do obgryzania udka. Być może bażancie golenie nie są tak inspirujące jak mostki, bo po przydługim milczeniu rzucił przyziemnie: - Mięso bez kości traci połowę smaku. Ciekawe dlaczego?

⁸ Pierre Simon de Laplace (1749-1827) - francuski matematyk, astronom i fizyk, jeden z twórców teorii prawdopodobieństwa.

- Pewnie odzywa się jakiś atawizm. Nasz prapraprzodek wolał upolować kościstego mamuta niż bezkostną dżdżownicę.

- Jasne. Trafiłeś w sedno.

Alfred w miarę wynurzeń Piotra nabierał przekonania, że oto napotkał bratnią duszę. Piotr, podobnie jak i on, próbował uporządkować nieznaną sferę sposobem, którym prędzej niż na uznanie można sobie zasłużyć na miano świra. Przez chwilę zastanawiał się, czy owe complexity miałyby zastosowanie w jego badaniach nad pierwiastkiem zero, ale doszedł do wniosku, że nie. On musiał jedynie empirycznie udowodnić jego istnienie.

- A Jarema ciągle w dołku - Piotr niespodziewanie zmienił temat. - Ot, durak. Niby mądry, a durak.

- W swoim rozumowaniu pomijasz fakty. Newton uważany był za dziwaka, Van Gogh nie odróżniał rzeczywistości od swoich wizji, Nash⁹ miał zdiagnozowaną schizofrenię. Wymieniać dalej?

- Prościej jest zacytować Twaina, że człowiek ze swoimi pomysłami jest wariatem, dopóki nie odniesie sukcesu. Idę popracować. Jakby ktoś o mnie pytał, dziś mam biuro pod najwyższą brzozą na końcu lądowiska.

- Poważnie?

- Jasne. Wspomniany przez ciebie świr Newton wysnuł wnioski dotyczące całego Wszechświata leżąc sobie w cieniu jabłoni i patrząc na spadające jabłko. To dobry przykład dla mnie. Spróbuję tego samego pod brzozą. My, Rosjanie, mamy słabość do brzóz. No, bywaj - Piotr odsunął talerze i wyszedł. Chwilę później Alfred widział przez szerokie okno, jak brodząc w wysokiej trawie, znika pomiędzy drzewami.

9 John Forbes Nash Jr (ur. 1928) - matematyk i ekonomista, twórca teorii gier, laureat Nagrody Nobla (1994). Cierpi na schizofrenię paranoidalną. Historia jego życia została zekranizowana w filmie Piękny umysł.

Nagle poczuł potrzebę porozmawiania z Anną. Zaczęła kiełkować w nim nadzieja, że uda się ją namówić na przyjazd. Spróbował zadzwonić, ale przez cały czas zgłaszała się tylko poczta głosowa.

* * *

Bezczynność oczekiwania na wagę Alfred wypełniał studiowaniem literatury Długie godziny spędzał w bibliotece lub surfował w Internecie, jednakże z mizernym skutkiem dla wiedzy, jaką już posiadał. Waga, stół pod wagę i digestorium producent przywiózł po miesiącu. Jeszcze przez dwa dni trwał montaż, którym niczym generał na polu bitwy dowodził Kuba ze swojego wózka.

Waga zajęła całą północną ścianę pracowni. Była nie tylko piękna, lecz posiadała czułość strusiego puchu. Bez osłony jej złota i cienka niczym promień lasera wskazówka wahała się to w lewo, to w prawo pod wpływem niewyczuwalnego ruchu powietrza. Kvarcowe naczynia w innych warunkach mogłyby uchodzić za szkło artystyczne.

- Doskonale wiem, że chcesz realizować badania według własnego pomysłu, wiem, że nikt nie zdradza szczegółów swoich naukowych planów, ale odpowiedz mi na pytanie: dlaczego taka waga? - spytał Kuba, gdy zostali już sami.

- Bo te kvarcowe naczynia będą pełniły rolę swoistych hospicjów dla zwierząt. A ja będę obserwować zachodzące procesy i rejestrować wahnięcia wagi.

- Chcesz powtórzyć doświadczenie Duncana Macdougalla¹⁰? Na podstawie ubytku masy zwłok okrzyknięto wtedy, że dusza waży 21 gramów, jednakże przyszłe lata i rozwój medycyny obaliły tę hipotezę.

- Niesłusznie, ubytek występuje, tylko MacDougall ważył źle. Nie uwzględnił procesów chemicznych, które wytwarzają związki lotne. Ja uwzględnię.

- Chcesz jeszcze raz zważyć duszę?

- Metaforycznie można tak powiedzieć.

ROZDZIAŁ VIII

Alfreda ogarnęło łaskotliwe podniecenie, że oto przyszła pora, aby udowodnić światu, że pierwiastek zero istnieje nie tylko w jego wyobraźni. Wierzył, że gdy dzięki tej wadze zrobi pierwszy krok, przyjdzie czas na następne, że znajdzie sposób, żeby go laboratoryjnie oznaczać, tak jak się oznacza żelazo, potas czy siarkę. Na razie postanowił odpowiedzieć sobie na zadane jeszcze w dzieciństwie pytanie: czy ściśnięta sprężyna waży więcej? Za przedmiot doświadczeń wybrał kawałek miedzianego drutu. Skręcał go pojedynczo, podwójnie, potrójnie, rozciągał, zwijał w motek... Za każdym razem ciężar był minimalnie różny

Następnego dnia przystąpił do właściwych badań. Poleciał laborantom wyprażyć kwarcowe naczynia do stałej wagi, sam zaś udał się do Akermana po jakieś doświadczalne zwierzątko. Akerman swoim zwyczajem przywitał go szerokim gestem.

10 Duncan MacDougall - amerykański lekarz, który w 1907 r. ważąc ludzi bezpośrednio przed śmiercią i tuż po niej ustalił, że ubytek masy zwłok wynosi 21 gramów.

* * *

- Cieszę się, że wpadłeś. Mam akurat wolną godzinę. Siadaj. Pewnie napijesz się kawy

W gabinecie biologa również dało się zauważyć jego zamięłowanie do miękkich linii stylu Ludwika XIV Lekkie biurko z inkrustowanym blatem i trzy fotele obite wzorzystą materią sąsiadowały ze współczesną, przeszkloną szafą z książkami. Na ścianie wisiała sporych rozmiarów reprodukcja kanonu proporcji Leonarda da Vinci, na blacie biurka stał telefon i otwarty laptop Za seledynową siatką rozpiętą w otwartym oknie rozciągał się widok na najwyższe partie gór. Do gabinetu weszła Joanna Fosch, niosąc na tacy dwie filiżanki kawy Alfred nie mógł się zdecydować, czy podziwiać domyślność laborantki, czy ubolewać nad własną gapowatością. Nie zauważył, aby Akerman wydawał jej jakieś polecenie. A ściślej mówiąc, w ogóle nie odnotował jej obecności w polu widzenia.

- Nie wpadłem tak całkiem bezinteresownie. Potrzebuję do swoich badań zdychającego szczura, królika lub coś innego tej wielkości.

- Do badań chemicznych?

- Tak.

- A konkretnie?

- Interesują mnie pewne reakcje destrukcyjne. Moim zdaniem najprościej je badać w organizmach jeszcze nie całkiem obumarłych - skłamał na poczekaniu.

- Więc szczur ma być świeżo martwy czy jeszcze żywy?

- Jeszcze żywy, ale powiedzmy... nieprzytomny. - Myśl, że musiałby zadawać stworzeniu cierpienie, przyprawiała go o mdłości.

Jako dziesięcioletni chłopiec obejrzał naukowy film, w którym jakiś sadystyczny uczony sprawdzał, jak długo może pływać szczur zanim utonie. Pływał całą dobę, a kiedy całkowicie opadł z sił, uczony podsunął mu deskę. I gdy to biedne stworzenie od czubka nosa do końca ogona drżało ze zmęczenia, gdy jeszcze wstrząsały nim drgawki od skurczów śmiertelnie wyeksploatowanych mięśni, lecz głowa już oswoiła się z myślą, że będzie żył, został oderwany od deski i wrzucony z powrotem do wody. Szczur znów zaczął walczyć ze śmiercią, wierząc w kolejny akt miłosierdzia tej wszechmocnej, dwunożnej istoty stojącej nad akwariem. Cud się nie powtórzył. Po dwóch dobach utonął, aby dać uczonemu sadyście możliwość napisania wielce naukowego spostrzeżenia: nadzieja dodaje sił.

- Przestań wreszcie buczyć - zganił go wówczas ojciec, któremu łkając i smarkając opowiedział, co zrobiono biednemu szczurkowi. - Przecież to tylko bezmyślny gryzoń.

Potem żałował tej niemęskiej szczerości. Ojcu marzył się syn tak twardy jak on sam, tymczasem miał mazgaja, który ronił łzy nad zdechłym szczurem. Alfred wtedy zrozumiał, że rozpatrywanie cierpienia jedynie w kontekście inteligencji ofiary jest fundamentem bezrozumnej znieczulicy, która pozwala czynić sobie ziemię poddaną. Tę przykrą sytuację odreagowywał przez rok, wyobrażając sobie przed snem, że topi uczonego oprawcę pomniejszonego do wielkości szczura.

- Dam szczurowi śmiertelną dawkę środka nasennego. Będzie zdychał jakieś pół godziny Starczy?

- O tak. A przy sposobności przyznam, że potrzebuję mądrej dyskusji z biologiem na temat życia.

- O problemach egzystencjalnych najlepiej porozmawiać z księdzem. Ciekawy z niego filozof.

- Nie chodzi o aspekt filozoficzny, chodzi o biologię umierania.

- A, to co innego.

- Jak według biologów wygląda fizykochemiczna strona śmierci?

- W odniesieniu do człowieka śmierć w czysto medycznym znaczeniu to ustanie czynności mózgu, samodzielnej czynności krążenia i oddychania. Samą śmierć dzieli się na kliniczną i biologiczną, i pewnie ta biologiczna cię interesuje? - Alfred skinął głową. - Otóż śmierć biologiczna polega na nieodwracalnym zaniku procesów przemiany materii we

wszystkich komórkach ustroju. Proces ten rozwija się z różną prędkością w różnych tkankach, w zależności od ich wrażliwości na niedotlenienie.

- Nie chodzi mi o medyczną definicję martwicy. Chcę wiedzieć, jak te procesy zachodzą w pojedynczej komórce. Dlaczego komórka w mięśniu wieprza w chlewiku jest żywa, a ta sama komórka w tym samym mięśniu, ale w formie kotleta, nawet surowego, jest martwa? Jej skład chemiczny jest dokładnie taki sam.

- Nie słuchałeś mnie dokładnie. Tu nie chodzi o skład. Jeśli nawet liczba molekuł w takiej komórce pozostanie stała, lecz ustały procesy w niej zachodzące, jest ona martwa. Komórka to taki minipieczek, żyje, kiedy się w nim pali, a więc dostarcza paliwa i tlenu do podtrzymywania ognia. Braknie jednego czynnika, ogień gaśnie, piecyk stygnie, komórka obumiera. Nie da się już go więcej rozgrzać.

- Dlaczego?

- Co - dlaczego?

- Dlaczego nie da się więcej rozgrzać? Przecież procesy chemiczne są odwracalne.

- W tym przypadku tylko w fazie śmierci klinicznej.

- Rozumiem. Spytałem inaczej. Jaka dokładnie jest granica pomiędzy komórką żywą a nieżywą na poziomie, powiedzmy, molekularnym?

- Takie badania nie mają sensu. Zgon jest czynnością lekarskoprawną, którą po ustaniu funkcji życiowych orzeka konsylium. Ewentualne wątpliwości rozstrzygają badania elektroencefalograficzne, elektrokardiograficzne i arteriograficzne. Nikt w takich przypadkach nie bada komórki pod mikroskopem. Po co? To bezcelowe.

- Dla mnie, laika, każdy organizm żywy stanowi imperium genów, które nie umierają razem z mózgiem i innymi organami.

- Co masz na myśli?

- Tak jak imperia rodzą się, rosną w siłę i upadają. Ale nie bezpowrotnie. Są zaczynem czegoś nowego. Chcę przez to powiedzieć, że przecież z każdego pojedynczego genu z obumarłej komórki można odtworzyć cały organizm.

Spojrzenie Akermana stało się czujne.

- Klonowanie jest zupełnie inną działką - powiedział niechętnie. - Powstaje nowy osobnik o identycznych cechach fizycznych jak dawca genu. Taki brat bliźniak jednojajowy, tylko młodszy Tego nie można mieszać z procesem umierania.

- Klonowanie dowodzi, że nieboszczyka można by ożywić, gdyby znaleźć sposób na ponowne uaktywnienie wszystkich jego genów. Być może geny mają wbudowany jakiś biologiczny zegar, który we właściwym czasie uruchamia określony proces, gdyby... Czasem

wyobrażam sobie, że podwójna spirala kwasu dezoksyrybonukleinowego jest czymś w rodzaju rowka w płycie gramofonowej. Musi istnieć jakaś chemiczna igła, która posuwając się tym nibyrowkiem, uaktywnia kolejne człony od narodzin aż po śmierć. Gdyby tak...

Alfred zauważył, że nieświadomie dotknął jakiegoś czułego punktu. Akerman wyraźnie zbladł i nerwowo zacisnął splecione palce.

- Nie mogę ci pomóc - rzucił niechętnie przez zaciśnięte usta po długiej chwili milczenia.

- Zagalopowałem się. Jak wiesz, chemicy są zadowoleni dopiero wtedy, gdy każdy proces rozpiszą w formie wzoru: „A” plus „B” równa się „AB”. Wiesz, co mnie naprawdę intryguje?

- Co? ‘

- Dlaczego śmierć bada się pośrednio, wyłącznie w kontekście życia? Przy powszechności śmierci nikt nie powinien narzekać na brak materiału badawczego.

Twarz Akermana rozpogodziła się.

- Twój wywód, bez urazy, jest mocno pokrętny

- Racja, a z pokrętności wynikają problemy. Więc jak z tym szczurem?

- Na kiedy ma być gotowy?

- Jutro na ósmą.

- Załatwione, zaraz zlecę panu Franciszkowi, żeby się tym zajął.

Wracając do swojego laboratorium Alfred spotkał dyrektora Pijara. Uścisnęli sobie dłonie.

- Jak leci, panie doktorze? Zadowolony pan z wagi?

- O tak. Rzeczywistość przerosła moje oczekiwania. Dziękuję.

- Drobiazg. Potrzebuje pan jeszcze czegoś?

- Trzech, czterech litrów czystego spirytusu.

- Nie ma sprawy Proszę to zlecić Jakubowi.

* * *

Nazajutrz rano Alfred znów zapragnął usłyszeć Annę, lecz jej komórka uparcie odpowiadała, że „abonent czasowo niedostępny”. Postanowił spróbować jeszcze raz wieczorem, tymczasem udał się do laboratorium. Z zadowoleniem stwierdził, że Kuba w pokoju wagowym ustawił już klimatyzację według ściśle określonych parametrów, a pan Janeczko dostarczył dwie kolby spirytusu i białego szczura. Obaj jego laboranci i asystent czekali niecierpliwie w pogotowiu na

Twarz Akermana rozpogodziła się.

- Twój wywód, bez urazy, jest mocno pokrętny
- Racja, a z pokrętności wynikają problemy. Więc jak z tym szczurem?
- Na kiedy ma być gotowy?
- Jutro na ósmą.
- Załatwione, zaraz zlecę panu Franciszkowi, żeby się tym zajął.

Wracając do swojego laboratorium Alfred spotkał dyrektora Pijara. Uścisnęli sobie dłonie.

- Jak leci, panie doktorze? Zadowolony pan z wagi?
- O tak. Rzeczywistość przerosła moje oczekiwania. Dziękuję.
- Drobiazg. Potrzebuje pan jeszcze czegoś?
- Trzech, czterech litrów czystego spirytusu.
- Nie ma sprawy. Proszę to zlecić Jakubowi.

* * *

Nazajutrz rano Alfred znów zapragnął usłyszeć Annę, lecz jej komórka uparcie odpowiadała, że „abonent czasowo niedostępny”. Postanowił spróbować jeszcze raz wieczorem, tymczasem udał się do laboratorium. Z zadowoleniem stwierdził, że Kuba w pokoju wagowym ustawił już klimatyzację według ściśle określonych parametrów, a pan Janeczko dostarczył dwie kolby spirytusu i białego szczura. Obaj jego laboranci i asystent czekali niecierpliwie w pogotowiu na polecenia Alfreda. Alfred kazał laborantom założyć lateksowe rękawiczki i lekarskie maseczki, włożyć uspiętego szczura do kwarcowego naczynia, naczynie wypełnić spirytusem, zatkać, a korki dokładnie uszczelnić lakiem i karnaubą. Tak spreparowaną „próbkę” osobiście umocował na prawej szalce wagi, na lewej umieścił odważniki, wyzerował wskazówkę i opuścił szybę digestorium. Odetchnął z ulgą - eksperyment ruszył.

Cała czwórka stała w milczeniu, wpatrując się w szczura, który z otwartym pyszczkiem dryfował w alkoholowej topieli. Nagle Alfreda ogarnęły wątpliwości, czy gryzoń z rodziny myszowatych w spirytusie utoruje mu drogę do Nobla i sławy.

Przez chwilę obracał w myślach swoją teorię niczym rzeczoznawca obraca bezcenną statuetkę doszukując się śladów fałszerstwa. Wszystko grało. Czekał teraz na pytania swoich pracowników, by sprzedać im przygotowaną zawczasu odpowiedź, lecz ci milczeli jakby w przekonaniu, że to wyłącznie sprawa szefa.

ROZDZIAŁ IX

Wieczorem Alfred ponownie próbował dodzwonić się do Anny i znów bez powodzenia. Wreszcie wystukał numer Paula. Paul był mocno zdziwiony niespodziewanym telefonem.

- Rany, chłopie, co się z tobą dzieje?! - zawołał ledwo usłyszawszy głos Alfreda.

- Pracuję. Fucha jest świetna. Nie mogę skontaktować się z Anną. Co u niej? - W słuchawce zapadła cisza. - Halo, jesteś tam?

- To ty nic nie wiesz? Anna nie żyje.

- Jak to? Niemożliwe!

- Nie wyrobiła na zakręcie. Śmierć na miejscu.

Ta wiadomość tak wzburzyła Alfreda, że przez dobry kwadrans nie mógł dojść do siebie. A gdy już doszedł, zaczął sobie wyrzucać, że nie dość skutecznie namawiał ją do wyjazdu. Gdyby rzuciła Paryż, żyłaby. Poczł się j ak owdowiały pop11. Poza Anną nie znał zbyt wielu kobiet, które chciałyby dzielić z nim łóżko. Teraz martwą Annę wspominał z bólem jako niezwykle piękną, mądrą i bliską. Nawet Nobel czekający w przyszłości bez jej podziwu zdawał się tracić blask.

11 Popi mogą się żenić tylko raz w życiu.

„Potrzebowałem śmierci do swoich badań, ale na litość boską nie tej!” - Usiadł na brzegu krzesła i objął głowę rękami. „Anna umarła. Anny już nie ma.”. Dusił się, musiał wyjść na zewnątrz.

Wieczór był jasny ciepły Całą kotlinę Moczaryska wypełniały balsamiczne zapachy ziół, traw i iglastych drzew. Zewsząd rozbrzmiewało cykanie i pobzykiwanie milionów owadzych grajków. Nad okolicznymi graniami wznosiła się błękitna poświata, na bezchmurne niebo wypłynął majestatycznie księżyc w pełni i zapłonęły pierwsze gwiazdy Ruszył wolno uliczką bez konkretnego celu.

- Piękno przyrody jest zniewalające, prawda? - dobiegł go głos z cienia rzucanego na pobocze przez dorodny dąb

- Tak - Alfred przystanął. Z mroku pod dębem wyszedł mężczyzna w kapłańskich szatach.

- Idę do kaplicy lecz zobaczyłem pana i pomyślałem, że to dobra okazja, żeby wreszcie się poznać. Jan Potępski, ksiądz.

- Alfred Mortus, chemik. - Podali sobie ręce. - Gdybym wierzył w możliwość interwencji sił nadprzyrodzonych, myślałbym, że oto Opatrzność zesłała mi pocieszyciela.

- Pociecha może być udzielona zawsze, gdy jest konieczna, bez potrzeby dociekania, co ją zainspirowało. Wiem, wiem, człowiek szczęśliwy idzie się bawić, człowiek nieszczęśliwy walczy o szczęście, a człowiek beznadziejnie zdołowany szuka księdza. W czym mogę pomóc? Jakies kłopoty? Może chce się pan wypowiadać?..

- Nie, ale chętnie porozmawiam o umieraniu. Jednak bez truizmu, że mamy nieśmiertelną duszę, która po śmierci idzie do nieba, by tam po wieki wieków śpiewać psalmy. Albo do piekła na wiekiwie męki, jeśli zbytnio nagrzeszyla. Uprzedzam, nie jestem pewien, czy w ogóle w kogokolwiek wierzę. Jako uczone uważam, że każda oczywistość powinna być potwierdzona naukowo. Istnienie Boga również.

- Ma pan rację. Tak jest - niespodziewanie przyznał mu rację ksiądz. - Skoro poznawalne jest dzieło, powinien również być poznawalny jego autor.

- Zaraz usłyszę: spójrz wokół, czyż nie widzisz w tym ręki Stwórcy? Dziękuję.

- Nie, z pewnością nie.

- To w takim razie: udowodnij, że Boga nie ma. Udowodnię, jeśli pan udowodni, że nie ma Zeusa, Jowisza lub jakiegoś innego Marduka.

- Słyszał pan z pewnością o splątaniu kwantowym?

- Oczywiście.

- Czyli pan wie, że Wszechświat jest inny jak nam się wydaje już od poziomu kwantów. Cząstki kwantowe nie posiadają konkretnych cech, gdyż przyjmują stany pośrednie, albo, mówiąc inaczej, są mglistą amorficzną mieszanką wszystkich prawdopodobnych możliwości, z których jedna zostaje wybrana w trakcie dokonywania pomiaru. To jest niewytłumaczalne i całkowicie sprzeczne z logiką, coś jak kot jednocześnie żywy i martwy. Skoro tylko obserwator wydobywa cząsteczkę kwantu z niebytu, bez obserwatora jej nie ma. Nasuwa się pytanie: kto nieustannie obserwuje Wszechświat, by mógł on istnieć?

Alfred przystanął z wrażenia.

- Kim ksiądz jest z wykształcenia?

- Kapłanem. Astrofizyka to zaledwie moje hobby. Chętnie dyskutuję o wszelkich teoriach naukowych, które dla mnie są tylko kolejnymi dowodami na nieskończoną mądrość Stworzyciela nieba i ziemi. Prowadzi do Niego wiele dróg.

- Czy zauważył ksiądz, że wyobrażenie Boga ewoluuje wraz z ludzkością?

- A tak. Wynika to z Jego wielkości.

- Czy raczej ze strachu przed śmiercią. Gdy uznane dowody na istnienie demiurga zbyt rażą prymitywizmem, szuka się nowszych i wiara nadal pozostaje takim swoistym wentylem bezpieczeństwa. Ciekawe, gdzie by dzisiaj był Kościół bez wspomaganie coraz nowszymi teoriami. Nie pamiętam, kto powiedział, że religia jest opium dla ludu, ale facet miał rację.

- Baron Paul d'Holbach¹², i w nieco zmienionej formie powtórzył Karol Marks. Jeżeli chodzi o ścisłość, nie zgadzam się ani z jednym, ani z drugim.

- Ja się zgadzam. Nawet przy założeniu, że Wiekuisty Bóg istnieje, to po przykrych doświadczeniach ze zbuntowanym Lucyferem przestał szafować nieśmiertelnością. Przyjął prostą opcję: co ma początek, musi mieć swój koniec. Teraz ma stuprocentową pewność, że każda, nawet największa menda kiedyś zemrze. Nie ma żadnej nieśmiertelnej duszy, dlatego bardziej boli mnie śmierć bliskiej osoby niż puste niebo.

12 Baron Karol Marks (1818-1883) użył frazy: Religia to opium dla ludu. Paul d'Holbach (1723-1789) - francuski filozof, jeden z czołowych krytyków religii.

Rozmawiając zmierzali wolno w kierunku głównego pawilonu. Oświetlone okna wskazywały, że nadal pracują w nim ludzie.

- Zapraszam do siebie, mam całkiem wygodny pokój na zapleczu kaplicy, możemy tam spokojnie porozmawiać o wszystkim. Nic tak nie łagodzi bólu duszy, jak szczerza pogawędka z życzliwą osobą otwartą na problemy bliźnich.

Alfred przez chwilę się wahał. Rozmowa z kapłanem dawała szansę na ukojenie nerwów, z drugiej strony czuł niechęć do teologicznych dyskusji, które były najczęściej jałowym młóceniem słomy

- Dziękuję księdzu, muszę wpaść do pracowni i coś pilnie sprawdzić.

Podali sobie ręce na pożegnanie i każdy poszedł w swoją stronę. Alfred zerwał z drzwi prowizoryczną plombę z paska podpisanego papieru i wszedł do pomieszczenia z wagą. Puchnący szczur unosił się pod powierzchnią spirytusu, lecz wskazówka tkwiła nieporuszona w pozycji zero. Jeszcze było za wcześnie na efekty

„Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz” - zacytował półgłosem. „Powstanie to powinno podlegać jakimś prawom tak jak umieranie. Jakim? Jeśli Bóg tworzenie życia zastrzegł wyłącznie dla siebie, robi to według jakichś reguł. Jakich?”. Wyobraził sobie Ziemię sprzed miliardów lat. Było pod dostatkiem wody, a życie narodziło się w wodzie. Jakie szczególne właściwości posiada związek jednego atomu tlenu z dwoma atomami wodoru? Czego nie dostrzegli chemicy w tym rozpowszechnionym nad wyraz związku? Nagle pacnął się dłonią w głowę. Dipolarność! „To pierwiastek zero rozpycha atomy wodoru w cząsteczce

wody! Woda składa się z czterech atomów!” - ta konkluzja sprawiła, że aż się spocił na myśl, że dokona w nauce rewolucji większej niż Łomonosow¹³.

Alfred pobiegł do swojego gabinetu, wyjął z szuflady blok i gorączkowo zabrał się za obliczenia. Najpierw rozrysował cząsteczkę wody

- Logika wskazuje, że duży atom tlenu z dwoma małymi atomami wodoru powinien tworzyć kąt 180 stopni. Tymczasem tworzy -105. Czyli pierwiastek zero przestawia je w sumie o 75 stopni... - mówił półgłosem. Rozrysował wektory sił i zaczął wyprowadzać skomplikowany wzór na masę atomową swojego pierwiastka.

Wtem usłyszał dobiegający z korytarza odgłos wydawany przez wózek inwalidzki Kuby Uchylił drzwi.

- A co ty tu jeszcze robisz, człowieku?

13 Michał Wasiljewicz Łomonosow (1711-1765) - rosyjski uczony i poeta, prekursor chemii fizycznej, twórca Uniwersytetu Moskiewskiego. W swojej pracy naukowej łączył chemię z innymi naukami ścisłymi.

- Widziałem, jak wchodzisz do laboratorium, a chcę ci powiedzieć o artykule, który przypadkowo wpadł mi w ręce. Ponoć uczonym udało się wreszcie pogodzić teorię względności Einsteina z mechaniką kwantową.

- Tak? - Alfred nie rozumiał, dlaczego zdaniem Kuby miałyby go to zainteresować. Logika podpowiadała jednak, że jakiś powód istniał. - Zostało trochę spirytusu po szczurze. Golniemy sobie po jednym?

- Chętnie.

- Zamiast kieliszków muszą nam starczyć zlewki, chyba że wolisz erlenmajerkę?

- Obojętnie

- Herbatę, kawę?

- Herbatę.

Alfred zagotował w czajniku wodę, zaparzył Earl Greya, następnie rozcieńczył w menzurce spirytus, sprawdzając aerometrem jego gęstość, i rozlał do zlewek.

- Nasze zdrowie, Kuba.

- Zdrowie.

Wypili.

- Więc co z tym rewelacyjnym artykułem?

- Jak już pewnie wiesz, fizycy zakładali, że każda zasadnicza cząstka materii składa się z czegoś innego. Teraz uzyskano dowód na strunową budowę wszechświata. Struny to miliard miliardów mniejsze od jądra atomu pasemka drgającej energii...

- Dlaczego sądzisz, że mnie to zainteresuje?

- A nie? Świat jest inny niż nam się wydaje, jakież to wspaniałe punkty wyjścia do naukowych dociekań.

Alfred odniósł wrażenie, że Kuba ucieka od szczerej odpowiedzi.

- Wypijemy jeszcze?

- Jasne. Jestem pogięty psychicznie, co oznacza nieustającego doła, więc chętnie zalewam robaka. Zresztą, chyba kiepski ze mnie sprawozdawca. Podrzucę ci jutro artykuł, przeczytasz go sam.

- Dziękuję. Wiesz, ja też mam się dzisiaj nie najlepiej. Co będzie, jeśli urzniemy się w trupa?

- Z reguły wtedy spadam z wózka.

- A ja z krzesła. To jedyny przypadek działania grawitacji w stanie nieważkości.

Wypili kolejno po dwa kieliszki. Alfred, który miał wyjątkowo słabą głowę, zaczął odczuwać działanie alkoholu. Nagle ogarnęła go nieprzewartna chęć rozmowy. Ale takiej szczerej, od serca.

- Stary, powiedz, jakie masz marzenia? - spytał lekko bełkotliwie, żeby nakierować rozmowę na osobisty grunt.

- Bardzo przyziemne, Alfredzie. Chciałbym kiedyś wstać z tego pieprzonego wózka, poderwać fajną dziewczynę i pójść z nią na spacer do lasu. Na razie mam obiecać, że jeśli ktokolwiek z was znajdzie sposób na przywrócenie ciągłości rdzenia kręgowego, będę pierwszym, który skorzysta z tego wynalazku. Może to będziesz ty może Skalski, może Akerman... Nie wiem. Wciąż żyję nadzieją.

- Dlaczego myślisz, że moje eksperymenty dokonają przewrotu w medycynie?

- Z zewnątrz to, co robisz, wygląda całkowicie bezsensownie. Ale prawdą jest, że zarówno wariatów, jak i geniuszy trudno jest zrozumieć. Zresztą, bywają genialni wariaci i takich tutaj jest najwięcej. Więc skoro tutaj jesteś...

- Powinieneś, Kuba, prowadzić własne badania.

- Jestem technologiem związków nieorganicznych. Uważam, że Ziemia bez mojego naukowego wkładu jest dostatecznie mocno zatruta chemikaliami. Obejdzcie się.

- Obiecuję ci, jeżeli moja hipoteza się potwierdzi, będziesz podrywał najpiękniejsze laski, będziesz tańczył, będziesz kopał piłkę... wszystko będziesz... Golnijmy jeszcze. Pod ten sukces...

- Ciebie, widzę, też coś gryzie.

- Zginał ktoś, kogo bardzo dobrze znałem.

- Rozumiem, co przeżywasz. W takich sytuacjach człowiek ma wyrzuty sumienia, że gdybyś kiedyś, w przeszłości podjął jedną inną decyzję albo powiedział dwa zdania więcej, albo przedłużył spotkanie o godzinę, ba, o pięć sekund, wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Tak. Dokładnie tak. Nalać ci jeszcze?

- Do pełna. Zdrówko.

Alfred nie pamiętał, ile jeszcze wypili i kiedy stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, za oknem słońce stało niemalże w zenicie, on leżał w ubraniu na swoim łóżku i boleśnie odczuwał skutki karzącej ręki fizjologii. Wiedział, że złożona obróbka biochemiczna w wątrobie przekształciła etanol w aldehyd octowy, lecz wiedza o tym nie uchroniła go przed konsekwencjami działania toksyny. Rozsadzało mu głowę, w ustach czuł pustynię, oczy raziło światło, a nogi miał jak z waty. Spojrzał na zegarek. Dochodziło południe. Umył zęby, wziął szybki prysznic, zmienił ubranie i wyszedł z pokoju. Na schodach spotkał Jakowa.

- Aleś wczoraj zabalował. Dobrze się czujesz?

- Jak to na kacu.

- Akurat wrócił Jarema. Trzeźwy. Chcesz go wreszcie poznać?

- Jasne.

- Stary, to ja! Poznam cię z nowym sąsiadem - zawołał Piotr i zaczął wystukiwać na drzwiach po lewej jakąś kombinację dźwięków. Najpierw panowała przydługa cisza, potem słychać było dziwne chroboty i zgrzyty, wreszcie drzwi się uchyliły.

W pokoju Jaremy, urządzonego podobnie jak pokój Alfreda, panował nieopisany bałagan. Sam Jarema był wysokim, barczystym czterdziestolatkiem, łysym jak kolano. Spod czarnych, krzaczastych brwi spoglądały przekrwione, niemiłosiernie błękitne oczy.

- Jarema, to Alfred Mortus. Mieszka nad nami. Pora, byście wreszcie zawarli znajomość.

Mężczyźni podali sobie ręce.

- Napijcie się czegoś? - zaproponował gospodarz i nie czekając na odpowiedź, wyciągnął z lodówki zgrzewkę piwa.

- Jarema, zjadłbyś coś najpierw - rzucił z troskliwym wyrzutem Piotr.

- Nie marudź. Zniechęcasz gościa, który pewnie ma trampka w gębie, a na kaca najskuteczniejszym lekarstwem jest piwo.

„Oho, wszyscy wiedzą o mojej wczorajszej popijawie, ciekawe, kto mnie przyniósł do domu” - pomyślał zniesmaczony Alfred, lecz po chwili uznał, że to bez znaczenia, a łyk piwa to najlepsza rzecz, jaka mogła go spotkać tego ranka. Z ochotą skorzystał z poczęstunku.

- Pójdę już. Chętnie bym został, lecz jestem umówiony - powiedział Piotr. Po jego wyjściu zapanowała kłopotliwa cisza, którą wreszcie przerwał Jarema.

- Dużo o tobie słyszałem.

- Ja o tobie niewiele.

- Ale najważniejsze wiesz. Jarema to pijak.

- Tak, to wiem.

- Pijak i fizyk. Wypalony fizyk, który kiedyś dobrze się zapowiadał. Mówili nawet: geniusz na miarę Einsteina. Wszystko to było kiedyś. Dawno. Nie pamiętam nawet, kiedy. Źle się czuję, gdy jestem trzeźwy. Napijesz się ze mną?

- Może innym razem. Mam w laboratorium ważną robotę. Dziękuję za piwo.

- Robota nie zajac, nie ucieknie. Lepiej skorzystaj z pogody, przynajmniej się dotlenisz.

- Rozważę tę możliwość - obiecał Alfred na odczepnego i dopił piwo.

Piwo nie pomogło. Wyszedł od Jaremy z równie podłym samopoczuciem jak wtedy, gdy do niego przyszedł. Wiedział, że kaca neutralizuje cysteina. Wątpił, czy znajdzie ją w zapasach magazynu chemikaliów, więc wstąpił do kuchni w nadziei, że kucharki poratują go jakimś tradycyjnym sposobem typu sok z kiszanej kapusty lub ogórków. Zdążył już z personelem stołówki nawiązać dobre stosunki. Królowała tu pani Stenia, sześćdziesięcioletnia, pulchna kobieta o ciepłym uśmiechu. Miała do pomocy też już niemłode Marynię i Halinkę oraz młodego, lecz nieco opóźnionego w rozwoju Śylwka.

- O, co ja widzę, zatrul się pan mlekiem od wściekłej krowy - zawołała szefowa kuchni na widok Alfreda.

- Proszę?

- Hangover.

- Rozumiem, że mogę liczyć na dobre serce i skuteczną odtrutkę.

- A co panu najlepiej pomaga?

- Nie mam na tym polu praktyki. Czekam na propozycje.

- Może być sodówka albo alkaprim, albo aspiryna, albo kefir, ale najlepsze są sowie jajka. Już Pliniusz Starszy to odkrył, a współczesna nauka potwierdziła ich skuteczność - wyjaśniła z uśmiechem widząc zaskoczoną minę Alfreda.

- Wolałbym mniej wyszukany specyfik.

- Zatem proszę usiąść, coś przygotuję.

To „coś” składało się z gorącego bulionu, jajecznicy na dużej ilości boczku oraz koktajlu kacowego z soku z cytryny i miodu.

- Dziękuję, pani Steniu. Jestem wzruszony. Miło tu być nawet alkoholikiem.

- Wolę abstynentów lecz skoro już dotknęło pana pijaństwo, radzę wrócić do siebie, przy łóżku postawić dzbanek z wodą, miednicę i porządnie się wyspać.

Alfred uznał radę pani Steni za kuszącą, jednak zdecydował się wcześniej wstąpić do laboratorium. Pierwsze kroki skierował do pokoju wagowego. Szczura rozdęło jeszcze mocniej niż poprzedniego dnia. Barwa i cienkość jego skóry wskazywały, że rozpad komórek i narządów wewnętrznych dobiegał końca, jednak wciąż trwał proces samotrąwienia się tkanek. Krótko mówiąc, ruszyły na żer miliardy bakterii gnilnych, które sprawiały że szczur był jednocześnie i martwy i żywy.

„Jak ten kot, o którym wczoraj wspominał ksiądz Potępski przy wykładzie o splątaniu kwantowym” - pomyślał z sarkazmem.

Alfred wszedł na piętro i najpierw zajrzał do pracowni analitycznej. Laboranci, Zarębny i Knap, stali przy digestoriach tak zajęci rozmową, że w ogóle nie zwrócili na niego uwagi. Z głębi korytarza wytoczył się Kuba na swoim wózku.

- Jak się masz, szefie?

- Kiepsko. A ty?

- Również. Przyniosłem ksero tego artykułu, o którym mówiłem wczoraj - podał Alfredowi złożoną kartkę.

- Dziękuję. Zaraz przeczytam.

Kuba zgrabnie zrobił wózką w tył zwrot i pośpiesznie odjechał, jakby uciekał przed ewentualną rozmową. Było to na rękę Alfredowi, gdyż nie miał ochoty na żadną formę wysiłku ani intelektualnego, ani fizycznego. Chciał pomyśleć o Annie, którą skutecznie wypłoszył z jego głowy wczorajszy alkohol, ale - teraz pamięć wracała. Postanowił, wbrew radzie pani Steni, wziąć przykład z Piotra i rozciągnąć się na ciepłym mchu pod jakąś brzoźką. Pogoda sprzyjała lenistwu w każdej formie.

Wyszedł z budynku i ruszył w kierunku zarośniętego lądowiska dla helikopterów. Dopiero przed kilkoma dniami Słońce wkroczyło w znak Raka, rozpoczynając tym astronomiczne lato. Brodząc w wysokiej trawie, poszukiwał stosownego miejsca na drzemkę. Wtem usłyszał charakterystyczny klangor. Spojrzał w górę i zobaczył przelatujący klucz żurawi.

- Hej, Alfredzie, stój dalej i udawaj, że obserwujesz ptaki.

- Kto tu jest?

- Na pewno jesteś sam?

- Oczywiście.

- Usiądź na ziemi jakby nigdy nic.

Alfred wykonał polecenie i dopiero wtedy dojrzał ukrytą wśród krzewów czerpnię powietrza. Z otworu wlotowego spoglądał na niego... Jarema.

- Na litość boską, człowieku, po co tam wlałeś?

- Ciszej. Jestem w potrzasku, ale muszę zaryzykować i ci zaufać. Specjalnie po to wyszedłem. Pamiętasz napis nad wejściem do piekła w „Boskiej komedii”?

- Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją. Ten cytat masz na myśli?

- Ten, Alfredzie, i powinien on wisieć nad bramą tego cholernego miejsca. Od piekła Dantego różni go tylko to, że obiecuje raj.

- Nie rozumiem.

- Nie wierz temu wszystkiemu, co widzisz. Wszyscy jesteśmy skazani na śmierć. Każdego, kto nie jest z ich mafii zabijają, gdy tylko doprowadzi swoje badania do końca. Jeżeli sądzisz, że dzięki pracy i pomysłom wyjedziesz stąd sławny i bogaty srodze się rozczarujesz. Takiej możliwości nie ma.

- Przesadzasz.

- Cały ten teren stanowi jedną wielką szpiegownię. Wszędzie zainstalowane są kamery i mikrofony a na wylotach kolektorów specjalne filtry wyłapują każdy wrzucony do kibla świstek. Nie wierzysz? Sprawdź papier, zobaczysz, że jest wodoodporny i niepalny. Wiesz dlaczego? Bo oni nie pozwolą, żeby umknęła im najmniejsza informacja, bo każdy zapisek może być na wagę złota. Dawno wyczałem ich system podglądania i wiem, że nie ma go tylko w bunkrach, dlatego tutaj się ukrywam. Ale już dłużej nie mogę. Wcześniej pomagał mi Denis, ale uważał mnie za idiotę i to go zgubiło. Zniknął, gdy stworzył pierwszą sztuczną komórkę zdolną do samoistnego życia. Na szczęście dał się namówić na przekazanie mi wyników badań. Chciałem opublikować je, gdy stąd wyjdę, lecz coraz bardziej tracę wiarę.

Alfred słuchał tych całkowicie chaotycznych wynurzeń i z każdym zdaniem nabierał przekonania, że rozmawia z psycholem.

- Wybacz, ale wszystko, co mówisz, nie trzyma się kupy.

- Racja. Zatem zacznę od początku. Trafiłeś do fabryki cudów. Obiecali ci doskonale wyposażone laboratorium? Wysokie środki na badania? Królewskie wynagrodzenie?

- Tak.

- Czy wiesz, że na początku tego łańcuszka obfitości stoi Bank Ambrosiano?

- Nie wiem, ale to przecież przyzwoity watykański bank, kierowany według podstawowych zasad katolickiej etyki społecznej...

- Przyzwoity? Umoczony w przekręty jak żaden inny.

- Nie uwierzę.

- Przyjdzie czas, że uwierzysz, ale pamiętaj, stąd nie można legalnie odejść. Wycisną cię jak cytrynę i... - wykonał znaczący gest. - Ta firma też należy do Watykanu, genialnej struktury. Nie sieją, nie orzą, nawet nie sprzątają po swoich pielgrzymach placu Świętego Marka, a są najbogatszym państwem świata. Mają jednakże swoje problemy Coraz trudniej jest straszyć wiernych ogniem piekielnym i wciskać im byle kit. Mało kto już pada na twarz przed kopytkiem osiołka, na którym Święta Rodzina uciekała do Egiptu lub szczeblem drabiny ze snu Jakuba. Podejrzliwie traktuje się przywidzenia prostaczków i objawienia analfabetów. Współczesnych ludzi rzucić na kolana może tylko bardzo, ale to bardzo spektakularna osobliwość, dlatego dzisiaj wiedza jest cenniejsza od złota. Szczególnie ta z najwyższej półki. A najlepiej - wiedza, której jeszcze nikt nie posiadał. Oni wszędzie mają oczy. Wszędzie. Nawet wysrać się nie można bezpiecznie.

- Bredzisz.

- Kiedyś też byłem niedowiarkiem. Jediną formą protestu jest... intelektualna bierność. Mam takie miejsca w schronach, gdzie za cholere mnie nie znajdą. Co wcale nie znaczy, że wyjdę z tego cało - dodał ciszej. - Zrobisz, jak zechcesz, ale proszę cię, uważaj. I jeśli możesz, przynieś mi coś do jedzenia i do picia, najlepiej spirytus. Wybierz się jutro po południu na wycieczkę na najbliższy szczyt. Aha, jak już będziesz wychodził, w ostatniej chwili zmień ubranie. Całe, łącznie z butami. Dla bezpieczeństwa, bo na sto procent podrzuca ci pluskwę. Pamiętaj, w ostatniej chwili. Idź już, Alfredzie, idź. Zaraz ktoś nadejdzie, niby na spacer, ale to gówno prawda. Na szczęście wyczuwam ich z daleka jak wielbłąd wodę. Do jutra.

Jarema rozplynął się w mroku, a Alfred wstał i ruszył w kierunku brzózek, pod którymi zwykł kontemplować Piotr. Dokładnie w tym momencie kątem oka zauważył podążającego w jego stronę dyrektora Pijara. Zrobił jeszcze kilkanaście kroków, żeby oddalić się od czerpni i przystanął.

- Dzień dobry, szefie - zawołał. - Szuka mnie pan?

- A tak. Szukam. Sporządzam akurat preliminarz wydatków na trzeci kwartał, chciałbym, aby pan się określił w tym zakresie.

- Rozumiem. Muszę przeanalizować potrzeby Nie bardzo mam dzisiaj do tego głowę.

- Bywa - uśmiechnął się porozumiewawczo. - Żadna tragedia. Ludzie nauki miewają załamania psychiczne o wiele częściej niż tak zwani normalni. No cóż. Zestawienie potrzebuję na jutro. Wraca pan do laboratorium?

- Pani Stenia poradziła mi łóżko, szklanę wody i miedniczkę. Chyba skorzystam z jej rady.

ROZDZIAŁ X

Alfredowi wciąż brzmiały w uszach słowa Jaremy. Co prawda rozsądek mówił, że Jarema to alkoholik i wariat, jednak jakiś wewnętrzny głos szeptał, że trzeba mu wierzyć. Trudno było oswoić się z przekonaniem, że doskonałe warunki pracy i wysoka płaca są tylko przynętą. Tknięty jakimś wewnętrznym impulsem wyrwał z notesu kartkę i zanurzył w szklance wody. Papier rzeczywiście był wodoodporny. Nie rozmazały się nawet zapiski wykonane długopisem.

Alfred zeszytniał: „Czy w tej chwili śledzą mnie czyjeś oczy?”. Musiał to przemyśleć. Do tego najbardziej nadawało się łóżko, a kącik był doskonałym alibi. Z głową pod kołdrą rewelacje Jaremy rozważał tak, jak się rozważa każde zagadnienie naukowe, czyli najpierw usystematyzował zdarzenia, potem wypunktował wszystkie „za” i „przeciw”, a na końcu całość poddał krytycznej analizie. Już na wstępie dostrzegł, że współpraca z firmą nie zawiera niczego, co mógłby zakwalifikować do „przeciw”. Wszystko było gładkie, pomyślne, jasno uzasadnione i przychylne. „Czy same pozytywy mogą być podstawą do podejrzliwości? Czy Watykan, który ponoć stanowi moralną busolę, byłby zdolny maczać palce w oszukańczych przedsięwzięciach?” - myślał i choć bardzo pragnął zaprzeczyć, gdzieś z zakamarków hipokampu dobijały się do świadomości strzępki informacji z jakiegoś artykułu czy książki o aferach Banku Pana Boga, a już całkiem jawnie krzyczała historyczna wiedza o kulisach działalności Kościoła. Chciał wstać i poszukać odpowiednich danych w Internecie, jednak powstrzymał go strach, że jeśli rzeczywiście jest obserwowany jego zainteresowania wzbudzą podejrzenie.

Dla Alfreda, wychowanego w rodzinie kultywującej przyzwoite chrześcijańskie wartości, Kościół stanowił pewnego rodzaju tabu. Jako dziecko gorąco wierzył w literalne piekło i niebo, a strach przed wiecznym ogniem skutecznie wzmacniał jego dewocyjną gorliwość. Z czasem, gdy „prawdy” zawarte w Biblii wymagały coraz większej gimnastyki etycznej, zaczął skłaniać się ku ateizmowi, a religię uważać za jeden z nurtów ludzkiej działalności poszukującym prawdy. Przesady, dogmatyzm czy obskurantyzm były, według niego, jedynie prymitywnym sposobem rozumienia sacrum, ale przecież każdy miał prawo wierzyć po swojemu.

Zasypiał z poczuciem, że do wyciągnięcia właściwych wniosków brakuje mu danych.

* * *

Nazajutrz od samego rana Alfred zastanawiał się, skąd wziąć i jak dostarczyć Jaremiemu pożywienie. Tylko spirytusu miał pod dostatkiem w swojej pracowni. Przy śniadaniu znalazł rozwiązanie. Cały w uśmiechach udał się do kuchni.

- Pani Steniu, czy byłoby możliwe, abym zamiast normalnego obiadu dostał suchy prowiant?

- Oczywiście. Wybiera się pan na wycieczkę?

- Tak. Chcę poprawić kondycję i pomyśleć na łonie natury

- Chwalebne, ale tutaj obowiązuje zasada, że każdy zostawia informację, jaki szlak przewiduje.

- Bieszczady to dla mnie terra incognita. Chętnie skorzystam z podpowiedzi.

- Tu można iść w każdą stronę, lecz przedzieranie się przez chaszcze i paryje to głupota. Zaraz za ogrodzeniem, w lewo, jest wydeptana przez naszych pracowników ścieżka, która prowadzi na najbliższą połoninę. Prowiant przygotuję na trzynastą. Będzie?

- Oczywiście. Dziękuję.

Alfred pierwsze kroki skierował do pokoju wagowego. Saprofity i własne enzymy przetrwały na wylot skórę szczura i teraz zgniłe w różnym stopniu wnętrzości wylały się do spirytusu. Jeżeli spirytus zniszczył wszelkie bakterie pasożytujące w martwym szczurze, nadeszła godzina prawdy Alfred poczuł, jak zasycha mu w gardle, a serce rusza opętaniczym galopem. Usiadł przy wadze i omal nie zemdleł. Wskazówka przesunęła się na skali o jedną kreskę. Zamknął oczy i spojrzał jeszcze raz. Nie było wątpliwości. Szczur ważył mniej! Sięgnął po notes i długopis, aby dokonać obliczeń, jednakże w tym samym momencie zapaliła mu się w głowie czerwona lampka. „A jeśli mnie obserwują?”. Odczekał chwilę, aż ochłonie, potem, jakby nigdy nic, zamknął pokój wagowy, poszedł do swojego gabinetu, usiadł przy biurku, podparł głowę i zamknął oczy „Jedna kreska to za mało. Powtórzę ten sam eksperyment w środowisku beztlenowym, muszę...”.

Do pokoju wtoczył się Kuba.

- Dobrze, że jesteś! - zawołał na jego widok Alfred, próbując stłumić w sobie resztki emocji. - Dyrektor potrzebuje pilnie listy potrzeb. Nie mam zielonego pojęcia, czego nam może brakować.

- Wiem. Mam najnowszy katalog urządzeń laboratoryjnych - Kuba wskazał na grubą książkę leżącą na jego kolanach. - Przejrzałem i sądzę, że kilka pozycji cię zainteresuje.

- Tak?

- Spektrograf najwyższej generacji.

Alfred pośpiesznie analizował przydatność tego urządzenia dla swoich badań. Spektrograf to urządzenie do otrzymywania trwałej rejestracji oraz analizy widma, a promieniowało wszystko. „Lecz jak w środowisku gęstym od wszelkiego promieniowania, zaczynając od fal radiowych po fale gamma, o promieniu kosmicznym nie wspominając, odnaleźć spektrograficzny pik pierwiastka zero?” - łamał sobie głowę. „Skoro pierwiastek zero istnieje, jest rejestrowany przez specjalistyczne urządzenia, tylko nikt o tym nie wie. Nawet jeśli widzi, pomija, traktując jako błąd wynikający z niedokładności aparatury”. Nagle wpadło mu do głowy rozwiązanie tak proste, że aż przez chwilę zwątpił w swój zdrowy rozsądek. Woda! Jeśli cząsteczka wody ma w swoim składzie pierwiastek zero, wystarczy porównać zapisy promieniowania H₂O i H₂ oraz o₂.

- I co wreszcie wymyśliłeś? - przerwał przydługie milczenie Kuba.

- Zamów to urządzenie.

- W porządku. Jeszcze coś?

- Czy mamy w magazynie urządzenie do elektrolizy wody?

- Chyba nie. W każdym bądź razie odkąd tu jestem, nikt takiego urządzenia nie używał. Zamówić?

- Tak.

„Jeżeli mój tok rozumowania jest mylny, dam ewentualnym podglądaczom zajęcie” - ze złośliwą satysfakcją pomyślał Alfred i natychmiast się zganił, że zbyt łatwo ulega sugestiom jeśli nie wariata, to alkoholika na pewno. - Tyle?

- Tyle. Wiesz co, nareszcie poznałem tego Jaremę

- powiedział lekko, patrząc badawczo Kubie w twarz.

- Czy on w ogóle przebywa na terenie zakładu?

- Rzadko. Jarema to skończony facet. A szkoda, bo łeb ma nie od parady.

- Słyszałem od Piotra, że okropnie dużo pije.

- Tutaj prawie wszyscy piją, lecz Jaremę dopadła dodatkowo mania prześladowcza.

Podobno to nerwica natręctw. Ubzdurał sobie, że ktoś czyha na jego życie.

- Niby kto? Trudno znaleźć spokojniejsze miejsce niż Moczarysko.

- Zgoda, ale choroba jest chorobą. - I co z nim teraz będzie?

- Nie wiem. Być może za fenomenalny umysł trzeba zapłacić rozchwianiem emocjonalnym? Może presja nieustannej pracy mózgu wywołuje halucynogenne urojenia? Wszyscy patrzą na jego dewiacje przez palce i liczą, że mu przejdzie, bo facet pracował nad modelem kwarkowym i chromodynamiką kwantową. Według jego projektu zbudowano prototypową aparaturę do bezpośredniego pomiaru polaryzacji gluonów w nukleonie.

- To przecież gigantyczne urządzenie!

- Nie pytaj mnie o szczegóły. Jest zamontowana w jednej odnodze podziemi. Teraz, gdy Jarema zbzikował, ustrojstwo stoi beczynn timer, gdyż poza nim nikt nie prowadzi tego typu badań. Na dodatek zniszczył wszystkie notatki. Teraz również zdarza się, że zapisze coś na jakimś świstku czy serwetce i zaraz zje. Hobbystycznie zajmował się nanoinżynierią. Zbudował nanoskop¹⁴, którym mógł stworzyć każdą konfigurację atomową. Akerman wiązał z tym urządzeniem ogromne nadzieje w zakresie bioinżynierii genetycznej, bo umożliwiał ono nie tylko rozszyfrowywanie zapisów DNA, ale i ich korygowanie. Jednak Jarema nie chce z nikim podzielić się swoim wynalazkiem.

- Jako chemik w ogóle sobie nawet nie wyobrażam, jak on to zrobił. Nauka dużo wie o atomach, lecz nie aż tyle.

- Niesamowity facet, szkoda tylko, że wariat. Chciałem nawet udostępnić mu swój rdzeń kręgowy do pierwszych badań. Zdaniem Akermana z pomocą tego nanorobota można by odbudować zniszczone komórki nerwowe. Błagałem Jaremę, żeby zrobił to dla mnie i wiesz, co on mi odpowiedział?

- Co?

- Że gdyby wpuścił swoje urządzenie do mego organizmu, ani ja, ani on nie pozostalibyśmy przy życiu.

14 Nanoskop - przyrząd odwzorowujący szczegóły o rozmiarach rzędu nanometra (jednej miliardowej części metra), a nawet dziesięciokrotnie mniejszych, takich jak pojedyncze atomy

- Może blefował? Skąd wiadomo, że coś takiego skonstruował?

- Ułożył z atomów swój podpis. Każdy go obejrzał pod mikroskopem skaningowym. Chcesz? Też możesz go sobie zobaczyć.

- Chętnie, ale czytałem, że dokonała już tego firma IMB, układając swoje logo z atomów ksenonu na kryształach niklu.

- Zgoda. Był to moment przełomowy, początek nanoinżynierii, ale Jarema doprowadził metodę do perfekcji. Nie pytaj mnie o szczegóły, bo ich nie znam. Zresztą, nikt nie zna. Akerman z tego powodu popadł nawet w depresję i chciał rzucić swoje badania.

* * *

Alfred wyszedł przez bramę, po czym wszedł na dobrze widoczną ścieżkę odchodzącą od głównej drogi. Ścieżka, trzymając się ogrodzenia, prowadziła najpierw na wschód, potem na południe. Po pięciuset metrach odbijała lekko na zachód i lekkimi zakosami kierowała się na najbliższą górę. Niebosiężne buki, jodły i jawory ograniczały pole widzenia, a jary

wyżłobione przez strumienie spowalniały marsz. Alfred żałował, że dotychczas nie znalazł czasu na przechadzkę, tylko tkwił w przeświadczeniu, że wspaniałych widoków rozpościerających się z każdego miejsca terenu zakładu nic już nie przebije. Tymczasem zielony cień, złote plamy promieni słonecznych przesianych przez listowie, soczystość flory, zapach wilgotnego powietrza i szmer strumieni wprawiły go w stan niemalże mistycznego uniesienia.

- No, nareszcie jesteś - dobiegł go głos. Rozejrzył się. Kilka metrów od ścieżki, pod ogromnym jaworem, nad szemrzącym głośno potokiem siedział Jarema.

- Skąd wiedziałeś, że będę tędy przechodził? - Alfred zrzucił plecak i usiadł obok niego.

- Mam swoje sposoby Co mi przyniosłeś?

- Nie wiem. Z wyjątkiem alkoholu wszystko przygotowała pani Stenia.

Jarema nie pytając o pozwolenie zaczął przeglądać zawartość plecaka. Wyjął pieczonego kurczaka i natychmiast zabrał się do zachłannej konsumpcji.

- Zakładam, że nie jesteś głodny - powiedział z pełnymi ustami, dopiero gdy kończył obgryzać ostatnie kosteczki.

- Oczywiście. Wszystko to było dla ciebie.

- O żadnym naczyniu pewnie nie pomyślałeś? - Kiedy Alfred pokręcił przecząco głową, Jarema wyjął z kieszeni dwa plastikowe kubki, napełnił je do połowy wodą ze strumyka i uzupełnił spirytusem. - Golnijmy sobie po jednym. Za nasze sukcesy

- Za sukcesy

Wypili.

- Jesteś czysty? - Alfred dopiero po chwili skojarzył, co jego rozmówca ma na myśli.

- Sądzę, że tak. Przebrałem się w ostatniej chwili i zostawiłem zegarek.

- To dobrze. Podejrzewam, że powątpiewasz w moje rewelacje.

- Z jednej strony są uczeni z pomysłami, z drugiej firma, która potrzebuje ich pomysłów. Wokół siebie widzę samych życzliwych ludzi, atmosfera jest przyjazna... Trudno uwierzyć, że to ma jakieś drugie dno.

Jarema przez chwilę milczał, jakby szukał odpowiednich argumentów.

- Posłuchaj, stary, człowiek posiada zwierzęcy balast, potrzebę życia w hierarchii. Tymczasem oni psychicznie wywindowali nas na sam szczyt. Po co? Nie wiesz? Żeby odebrać nam chęć do walki o pozycję. Jesteś najważniejszy, jedni pracują pod twoje dyktando, drudzy dbają o twoje potrzeby.

- Bredzisz. Tutaj przecież jest tyle wybitnych jednostek, że żadnej nie można ogłosić najważniejszą.

- To nie tak. Każdy jest okrętem flagowym na swoim poletku. A to zagęszczenie talentów to też nie przypadek. Biolodzy badający zachowania zwierząt stadnych zauważyli, że najedzone kurczaki zaczynają jeść w otoczeniu głodnych kurczaków, które jedzą. Jeśli w stadzie biegnących baranów jeden baran podskoczy, wszystkie inne biegnące za nim podskoczą w tym samym miejscu. Mrówki pracują wydajniej w obecności innych mrówek robotnic... Jest to tak zwana synchronizacja działań. Te metody wykorzystuje się w socjotechnice od dawna.

- Wyjaśnij, do czego zmierzasz.

- Popatrz, zgromadzono nas tutaj, przytłumiono naturalne instynkty i wyciska nasze mózgi jak cytryny

- Przesadzasz z tymi tłumionymi instynktami. Czuję się świetnie.

- Tak? A kiedy ostatni raz pomyślałeś o seksie? Czujesz brak kobiety? Gównu. Jesteś jak kapłon. Jak cap, choćbyś przed przybyciem tu był jurny jak kozioł. Po prostu stałeś się chłopem bez jaj. Jeśli w domu zostawiłeś dziewczynę albo przyjaciela, albo siostrę, brata czy kogokolwiek, kto zbyt wiele wie o twoich pomysłach, ta osoba zniknie z twojego życia. To tylko kwestia czasu.

Słowa Jaremy zelektryzowały Alfreda.

- Jak to zniknie?

- Wypadek, zawał albo po prostu wyjdzie z domu i nie wróci.

- Nie wierzę. Przecież takie historie mogą zdarzać się bez ingerencji kogoś stąd.

- Też tak myślałem, gdy mój współpracownik z instytutu zmarł na zawał, chociaż nigdy nie chorował nawet na grypę. Postanowiłem więc ściągnąć tutaj do pracy moją siostrę, też fizyka. Potrafił ją samochód. Marian, mój przyjaciel ze studiów, wypadł z pociągu. Z Marianem wiele godzin poświęciliśmy problemowi, nad którym tutaj miałem pracować. Mógł też podpisać z firmą kontrakt, ale nie chciał. Miał rodzinę, dzieci i zupełnie inne plany na przyszłość. Radzę ci, stary, jeśli nawet mi nie wierzysz, zwlekaj z ujawnianiem swoich sukcesów. Dopóty będziesz bezpieczny, dopóki oni nie będą wiedzieć, że dokonałeś odkrycia. Im większe ono będzie, tym mniejsze masz szanse, aby ujść z życiem.

- Kogo mam się strzec najbardziej?

- Wszystkich. Nawet mnie. Nikt nie wie, jakimi możliwościami oni dysponują i co potrafią z człowieka wyciągnąć. Doświadczeń w łamaniu oporu, zdobytych podczas dziewięciuset lat inkwizycji, nie można lekceważyć.

- Przesadzasz.

- No, może łamanie kołem czy powolne smażenie w ogniu raczej nie wchodzi w rachubę, ale przecież nauka pięknie rozwinęła możliwości. Chociażby przyduszenie pawulonem. Czysta i bezśladowa robota. Jak długo wytrzymasz bez tlenu?

- Co sądzisz o Kubie? To mój bliski współpracownik. Nie wierzę, żeby był w coś zaplątany

- Któż to wie, co człowiek na wózku inwalidzkim gotów jest zrobić, żeby stanąć na nogi. Ja nikomu nie wierzę, bez obrazy, nawet tobie. Rozmawiałeś z kimś na mój temat?

- Tak, z Kubą. Powiedziałem tylko, że nareszcie cię poznałem.

- A on pewnie opowiedział ci bajeczkę, jaki to ze mnie genialny pomyleniec. Radzę, unikaj takich rozmów.

ROZDZIAŁ XI

Po spotkaniu z Jaremą w psychice Alfreda zapanował kompletny chaos. Do żalu po śmierci Anny doszła jeszcze niepewność własnego losu. Gdy kolejnego dnia stwierdził, że wskazówka na skali wagi przesunęła się o jedną kreskę, jego szaleńczą radość stłumił paniczny strach. „Jeśli Jarema ma rację, jestem skończony” - pomyślał. Powinien teraz poczynić wstępne obliczenia, żeby ustalić masę pierwiastka zero, jednak obawa, że niezniszczalny papier, nawet wyrzucony do kanalizacji, zdradzi jego sukces, odwiódł go od tego zamiaru. Odpadał również komputer. „Muszę mieć własne notesy inaczej pozostanie mi liczenie patykiem na piasku” - stwierdził sarkastycznie i zaczął obmyślać pretekst uzasadniający jego wyjazd do miasta. Wreszcie wymyślił - dentysta.

Dyrektor Pijar przyjął prośbę Alfreda ze zrozumieniem.

- Ależ oczywiście, panie doktorze. Adaś pana podrzuci gdziekolwiek pan zechce. Mogę panu polecić dobrego specjalistę w Sanoku.

- Dziękuję. Jeśli to możliwe, proszę samochód na jutro.

Alfred pod drzwiami swojego gabinetu zastał Kubę z dużym katalogiem na kolanach.

- Ja w sprawie tego urzędnika do elektrolizy wody Nie wiem, jaki byłby dla ciebie najbardziej odpowiedni.

- Wejdźmy do gabinetu. Napijesz się kawy?

- Chętnie. Jak wczorajsza wycieczka?

- Świetnie. Bieszczady są piękniejsze niż myślałem. Kiedyś, gdy będę stary i bogaty, wybuduję sobie gdzieś w okolicy wygodny dom. A czy ty, Kuba, wyjeżdżasz czasem poza ogrodzenie firmy?

- Nie.

- Wziąłbym cię na jakąś wycieczkę.

- Daj spokój, w praktyce to tak kłopotliwe, że aż niemożliwe.

Alfred szukał sposobu, aby bez wzbudzania ewentualnych podejrzeń zadać Kubie kilka pytań na temat Denisa. Uznał, że najlepiej będzie tak poprowadzić dalszą rozmowę, żeby pytania te wynikły z kontekstu. Postawił przed Kubą filiżankę z kawą, usiadł za biurkiem, po czym po przydługim milczeniu powiedział:

- Posłuchaj, Kuba. Mówiłeś wczoraj, że jakieś nanourządzenie Jaremy mogłoby przywrócić ci możliwość chodzenia. Ta wiadomość nie daje mi spokoju. Może dałoby się coś zrobić w tej sprawie?

- Chciałbym. Problem polega na tym, że Jarema się nie zna na genetyce, a Akerman na fizyce. Żeby współpracować, musieliby zdradzić sobie nawzajem swoje największe tajemnice. Akerman jest na to gotów, chociaż na odpowiednich warunkach, natomiast Jarema zaparł się jak osioł.

- Czegoś tu nie rozumiem. Czy naprawy rdzenia kręgowego trzeba dokonywać na poziomie molekuł? Przecież można na poziomie komórki.

- Nie wiem. Dotąd nikt mi tego nawet nie proponował. Ale czytałem ostatnio artykuł, że w Portugalii jakiś profesor wszczepia do uszkodzonego rdzenia tkanki wężowe, które są ponoć przodkami komórek macierzystych, więc posiadają ogromny potencjał regeneracyjny. Na razie próbuję skontaktować się z nim.

- A nie pomyślał ktoś przypadkiem o stworzeniu sztucznego białka identycznego z naturalnym?

- Jakiś czas temu profesor Schafmeister, chemik z Uniwersytetu Tempie w USA, stworzył sztuczny gen i wprowadził go do bakterii, która na tej bazie wyprodukowała syntetyczne białko. Niestety, nie potrafiło ono nic więcej niż tylko trwać. Stosuje się je w medycynie, ale to inna historia.

„Nie wspomniał o Denisie. Nie wiedział o nim? Nie znał go? Nie docenił wielkości jego dzieła? Czy może należy do tych, którzy mnie śledzą?” - Mimo nieprzyjemnych refleksji Alfred ze słów Kuby wyłuskał jeszcze jeden dowód na istnienie pierwiastka zero. Białka są cząsteczkami o niezwykle skomplikowanej budowie przestrzennej, więc jeśli już udało się komuś złożyć tę atomową strukturę, powinna się ona powielać. Ale się nie powiela. Może zabrakło w niej pierwiastka zero? „Tyle życia dookoła, gdzie istnieje to coś, co pomaga materii wejść z nim w reakcję? Gdzie tego szukać? W macicach samic ssaków? W plemnikach samców? W jajach ptaków? Skrzeku żab? Ikrze ryb? Nasionach drzew? Czy to jeden czynnik wspólny dla całej materii ożywionej, czy jest ich wiele? Czy to związek węgla, czy jakiś niewęglowy katalizator umożliwiający tę reakcję? Dlaczego tego, co potrafi najprostsza komórka, nie potrafią największe laboratoria świata? Muszę być tym, który odkryje prawdę” - pomyślał, a głośno powiedział:

- Jutro wybieram się do miasta. Wizyta u dentysty. Przy okazji i porobię j akieś zakupy
Potrzebujesz czegoś?

- Nie. Wszystkie zamówienia składam w administracji.

* * *

Nazajutrz punktualnie o ósmej przed dom Alfreda zajechał jeep. Adaś, w nieśmiertelnym, dzinsowym wdzianku, odsłaniając w uśmiechu swoje wielkie, białe zęby, szerokim gestem zaprosił go do kabiny.

- No, wreszcie pan się ruszył, doktorze. Szkoda, że tylko do Sanoka, wolę jeździć do Rzeszowa, gdzie pewna milutka panienska zawsze mnie chętnie widzi.

- Nic straconego, bierzemy kurs na Rzeszów.

- A umówiony dentysta?

- W Rzeszowie też są gabinety stomatologiczne.

Ruszyli. Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Alfred podziwiał uroki mijanych krajobrazów i jednocześnie czekał na sposobność, by tak pokierować rozmową z Adasiem, żeby bez wzbudzania podejrzeń zdobyć informacje o nieformalnych stosunkach panujących w firmie. Kierowcy zawsze wiedzą więcej, niż mówią.

- Panie Adamie, nie przychodzi panu czasem ochota zmienić pracę? Taki przystojniak jak pan marnuje się na tym odludziu - zagadnął, gdy w Lesku Adaś aż gwizdnął z podziwu na widok wysokiej blondynki w mini.

- Myślę czasem o tym.

- Co stoi na przeszkodzie?

- Prawdę mówiąc, forsa. Nigdzie indziej takiej nie zarobię.

- No tak, wszyscy tu jesteśmy z tego powodu.

- O nie, wy, kadra naukowa, macie jeszcze inny cel.

- Cel tak, jednak ja na przykład wątpię, czy zdołam go osiągnąć. Człowiek robi pewne założenia, uważa, że słuszne, a potem w praniu różnie wychodzi.

- Nikt nikomu z tego powodu głowy nie urywa - uśmiechnął się szeroko, odsłaniając swe potężne uzębienie.

- Fakt, ale głupio zmarnotrawić kasę firmy

- E tam. Według mnie firmie wystarczy że jeden na dziesięciu odniesie sukces.

* * *

W Rzeszowie Alfred wysiadł na centralnym placu miasta.

- Za trzy godziny będę na pana czekał na tym parkingu przy pomniku. W razie czego się dzwoni. Wziął pan ze sobą komórkę, doktorze?

- Nie - skłamał Alfred powodowany jakimś dziwnym impulsem.

- W takim razie będę czekał do skutku - powiedział Adaś i ruszył do swojej milutkiej panienski.

Alfredowi po tak długim czasie spędzonym w urokliwym i cichym Moczarysku miejski gwar i smród spalin wydawał się trudny do wytrzymania. W mijanym kiosku kupił kilka notesów, komplet długopisów i kartę do telefonu. W sklepie obuwniczym nabył nowe buty, które natychmiast założył na nogi. Używane, ale całkiem dobre jeszcze adidasy wyrzucił do kosza na śmieci. Zmienił również spodnie, koszulę, pasek i torbę. Telefon komórkowy wrzucił do studzienki kanalizacyjnej i dopiero wtedy wszedł do kawiarenki internetowej. Najpierw wpisał do wyszukiwarki hasło:

Watykański Bank Ambroziano i przeczytał wszystkie informacje, które go interesowały. Rzeczywiście, nietrudno było znaleźć przedruki licznych artykułów o aferach tego banku, szczególnie o arcybiskupie Paulu Marcinkusie, zamieszany w największy skandal mafijny w powojennych Włoszech.

„Jarema miał rację” - przyznał. Kolejnym hasłem było: Corporation Medikament Laboratoñes i tu spotkało Alfreda rozczarowanie - fraza nie została odnaleziona. Podobnie jak Firma Farmaceutyczna Folicum.

„Jak to możliwe, aby przedsiębiorstwo produkujące leki i obracające ogromnymi pieniędzmi nie miało swojej strony internetowej?” - próbował zrozumieć. Opuścił kawiarenkę, odnalazł pocztę i z automatu zatelefonował do Paula. Chciał zadać mu jeszcze kilka pytań dotyczących Anny lecz poczta głosowa nieustannie informowała, że abonent jest czasowo niedostępny. Tknęło go złe przeczucie. Wystukał numer centrali paryskiego instytutu i poprosił o połączenie z pracownią, w której pracował przyjaciel. Odebrała laborantka, której nie znał.

- Doktor Lourrain, proszę pana, nie żyje.

- Boże, od kiedy?

- Przedwczoraj znaleziono go martwego w jego mieszkaniu. Podobno to zawał. Pogrzeb odbędzie się w najbliższy piątek na cmentarzu w podparyskim Montmorency. Alfred odłożył słuchawkę nie czekając na dalsze wyjaśnienia. „Najpierw Anna, teraz Paul. Przypadek czy rzeczywiście ktoś usuwa osoby z którymi dzieliłem się spostrzeżeniami na temat pierwiastka zero?”. - Zaczął się zastanawiać, na kogo jeszcze może ściągnąć nieszczęście. Przyszedł mu do głowy profesor Benet, lecz targały nim sprzeczne uczucia. Nie mógł się zdecydować, czy profesor sam jest zagrożony czy stanowi zagrożenie dla niego.

Alfred wszedł do mijanej właśnie kawiarni, żeby przemyśleć problem. Jego projekt badawczy był na dobrej drodze, nie chciałby nierozważnym zachowaniem zepsuć, a nawet zaprzepaścić swoich szans, lecz intuicja, ta najlepsza sojuszniczka rozumu, radziła mu traktować bardzo poważnie ostrzeżenia Jaremy.

Sprawdził, która godzina (i uświadomił sobie, że zapomniał pozbyć się zegarka). Miał jeszcze pół godziny więc wyjął jeden z notesów i popijając kawę, przystąpił do sporządzania listy podejrzeń. W punkcie pierwszym ujął niezniszczalny papier, który dowodził, że każdy zapisek jest gdzieś po drodze przechwytywany. „Nie ufają ludziom, którzy dla nich pracują” - pomyślał z irytacją, lecz chwilę później to przykre uczucie zrównoważyła inna możliwość: „A może oni tylko dbają, żeby uczeni zbyt lekkomyślnie nie pozbywali się efektów swojej pracy? Nawet tych pośrednich.”. Następnie stwierdził, że każda lista stanowić będzie jedynie spis domniemań, a tymczasem należało podjąć decyzję, czy wierzyć Jaremiu.

Alfred wezwał kelnera, uregulował rachunek, a wychodząc, niepostrzeżenie zdjął z ręki swój nieco tandetny zegarek i wrzucił go do wazonika z kwiatami. Nowy, tym razem markowy, kupił sobie po drodze.

ROZDZIAŁ XII

W Alfredzie niespodziewanie odezwała się dusza hazardzisty Finezyjny pojedynek intelektów, ryzykowna gra pozorów nadała jego pracy owej dawki niebezpieczeństwa, której tak się zazdrości filmowym herosom. Jednocześnie był przekonany że cokolwiek knują współpracownicy i właściciele firmy na razie jego sytuacja jest stabilna, gdyż wiedząc o zagrożeniu, potrafi sobie z nim poradzić. Zaczął od sprawdzania, czy rzeczywiście pod jego nieobecność ktoś przeszukuje jego mieszkanie. Wychodząc, między drzwiami a futryną umieszczał skrawek gazety w taki sposób, by z zewnątrz był on widoczny tylko pod pewnym kątem. Wracając sprawdzał, czy nadal tkwi na swoim miejscu.

Tymczasem w pokoju wagowym procesy gnilne szczura dobiegły końca. Przez zniszczoną skórę wypadły strzępiaste wnętrzości i osiadły na dnie naczynia, barwiąc spirytus na różowo. Teraz szczur był absolutnie martwy razem ze wszystkimi drobnoustrojami, dla których był ostatnim żywicielem minionych kilku dni, a wskazówka wagi znieruchomiła odchyłona o dwie kreski na skali. Dotąd pierwiastek zero przypominał Alfredowi człowieka bardzo bogatego, o którym nikt nie wie, że jest bogaty, dopóki ten nie zacznie wydawać pieniędzy. Teraz się zdradził. Istniał, a jego zasoby były nieprzebrane.

* * *

Korzystając z ciepłej pogody, Alfred niemal codziennie szedł na lądowisko, siadał pod jakimś drzewem i zagłębiał się w spekulacjach na temat sił i okoliczności, jakie „ścisnęły” energię do formy materii. „No dobrze, jest energia rozciągająca się od minus do plus nieskończoności, i co?” - Zamykał oczy w oczekiwaniu na przypływ geniuszu. „Gdzieś w tym bezbrzeżnym, buzującym kotle musi zachodzić coś, co sprzyja powstawaniu atomów”.

Przeczuwał, że aby rozwiązać ten problem należy najpierw odpowiedzieć na pytanie, skąd się wzięła sama energia. Coraz częściej nachodziło go przekonanie, że zero razy nieskończoność daje jeden, a może jakąś liczbę pierwszą, która jest zaczątkiem wszystkiego innego.

- Ejże, kolego, widzę, że przejąłeś moje metody kontemplacji - któregoś dnia nad Alfredem stanął Piotr Jaków.

- Dobre przykłady należy naśladować. Siadaj. Nie tylko przejąłem metody kontemplacji, lecz nawet wszedłem w twoją dziedzinę. Rozważam problem matematyczny który pozwoliłby mi dokonać pewnych odkryć w dziedzinie chemii. Niestety, chyba jestem do tego za krótki.

- Chętnie pomogę - zapewnił Jaków, siadając naprzeciw.

- Powiedz, czy na pewno zero pomnożone przez nieskończoność daje zero? Bo mam co do tego wątpliwości.

- Zamachnąłeś się na pewnik. Ale jeśli coś ci nie trybi, wystarczy wyobrazić sobie schody Wysokość schodka to zero, liczba schodków to nieskończoność. Po takich schodach nigdy, rozumiesz, nigdy nie oderwiesz się od poziomego zerowego. Proste?

- A czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że zero jest pojęciem abstrakcyjnym? Że w przyrodzie zero w ogóle nie istnieje? A skoro nie istnieje zero, nie istnieje też jego przeciwieństwo: nieskończoność?

W odpowiedzi Jaków położył się na plecach, zakładając dłonie za głowę. Chwilę pomrukiwał sprawiając wrażenie, że wydaje zewnętrzne odgłosy wewnętrznego dialogu.

- Nie - powiedział wreszcie, siadając. - Dla matematyków jest kwestią sporną, czy zero uznawać za liczbę naturalną czy nie, ale samego zera nikt nie śmie ruszyć.

- Skoro plusem i minusem oznacza się prawostronną lub lewostronną granicę zera, a punkty są bezwymiarowe, to zero jest czymś w rodzaju dwóch stron cienia. Nie ma go.

- Stary, szybciej dojdziemy do sedna, jeżeli powiesz, w czym ci przeszkadza zero.

- Według mnie próżni po prostu nie ma. Czyli nie ma żadnego wycinka przestrzeni, w którym byłoby zero czegokolwiek.

- Być może masz rację. Czytałem ostatnio poważny artykuł naukowy, w którym rozważana była energia próżni.

- Naprawdę?

- Słowo. Sam możesz poszperać w bibliotece i sprawdzić.

Jaków znów położył się na plecach i skupił na obserwacji białych chmur wędrujących po wyjątkowo błękitnym niebie. Tymczasem w głowie Alfreda zapanował zamęt. „Do diabła z zerem, jeżeli próżnia miałaby energię, moje rozważania nabrałyby sensu. Ba, zatoczyłyby nowe kręgi, wszak energia jest tożsama nie tylko z materią, ale i z próżnią!”. Chwilę później Alfred również położył się na wznak. Musiał zrewidować swoje pierwsze założenie, że poniżej pierwiastka zero rozpoczyna się królestwo energii. Teraz zaczął widzieć problem jako kosmiczną, hiperboliczną spiralę, w której im bliżej środka, tym gęstość energii rośnie, by w końcu przybrać postać materii. „To tylko my, ludzie, klasyfikujemy rzeczywistość na miarę naszych niedoskonałych zmysłów, tymczasem są to tylko różne stany próżni, która jest energią” - tę myśl postanowił zapamiętać i zapisać w notesie, gdy tylko zostanie sam.

- Co sądzisz o Jaremie?

To niewinne z pozoru pytanie wywołało czujność Alfreda.

- Tak jak mówiłeś. Wariat - odpowiedział wymijająco.

- Szkoda człowieka. Pijar zaczął coś przebąkiwać, że Jaremę wreszcie należałoby leczyć. Jeśli go złapią, skończy w wariatkowie. To już postanowione. Szkoda chłopca. Przyjdiesz dzisiaj na brydża?

- Chyba nie. Mam pilny problem do przemyślenia.

W rzeczywistości postanowił spotkać się z Jaremą, żeby powiedzieć mu o zamiarach dyrektora. Uważał, że genialny fizyk wart jest jego pomocy.

O dwudziestej trzeciej, zostawiając w swoim pokoju zapalone światło oraz włączony telewizor, wziął latarkę i wyszedł z domu. Księżyc w pełni, niby latarnia zawieszona wysoko na skąpo zachmurzonym niebie, rozpraszał nocny mrok. W chłodnym i rześkim powietrzu każdy szmer wielokrotniał i pobrzmiwał daleko, toteż Alfred ostrożnie stawiał kroki. Minął pawilon dyrekcji i trzymając się zacienionych stref, podążał ku miejscu, w którym kilka dni temu ujrzał Jaremę. Budka czerpni wyłoniła się nagle zza jakiegoś krzewu jałowca.

- Jarema, Jarema, to ja - zawołał szeptem w głąb otworu.

Nadsłuchiwał jakiś czas, ale wokół panowała niczym niezmacona cisza. Alfred odczekał chwilę, po czym światło latarki skierował w głąb tunelu wentylacyjnego. Zadaniem czerpni było nie tylko dostarczanie powietrza, najwyraźniej pełniła też rolę wyjścia ewakuacyjnego, o czym świadczyły metalowe stopnie zakotwione w jednej ze ścian studzienki. Mniej więcej trzy metry pod poziomem gruntu Alfred ujrzał fragment betonowego korytarza. Postanowił tam wejść.

Korytarz miał wymiary około półtora metra na metr osiemdziesiąt i nic nie wskazywało, żeby ktoś w nim bywał. Posadzkę zaścielały zeschnięte liście i patyki, ściany znaczyły zacieki i ciemne plamy, z sufitu zwisały zakurzone pajęczyny.

Ta część podziemia biegła od zabudowań w kierunku gór, zatem przynajmniej na tym etapie odpadał problem, w którą stronę iść. Alfred stąpał powoli, lecz szelest suchej wyściółki i odgłos kroków odbijanych echem od betonowych ścian tworzyły hałas, jakby szła cała wycieczka. Po dziesięciu minutach dotarł do rozwidlenia, główny ciąg skręcał w lewo, drugi, węższy i niższy - w prawo.

„Ależ ze mnie palant” - zganiał się w duchu. „Powinienem wziąć ze sobą kompas albo kredę, żeby oznaczać drogę. No i rzecz jasna dorodną dziewczę na wypadek spotkania z Minoturem”. Pamiętał, że w podziemiach zlokalizowane są magazyny oraz pracownie z aparaturą, więc istniało prawdopodobieństwo, że zainstalowano również kamery. Gdyby zarejestrowała go któraś z nich, miałby nie lada kłopot. Przykucnął po ścianę, żeby pozbierać myśli. „Czy pomagając Jaremie ratuję geniusza, czy daję się wciągnąć w rozgrywkę

cierpiącego na urojenia człowieka? Czy jest on wart, żeby ryzykować dla niego własną karierą?”- Odpowiedź na te pytania wyznaczała dalsze postępowanie. Zanim ustalił, którą z wersji wybrać, usłyszał hałas i zza zakrętu wyłonił się Jarema w kasku górniczym z wmontowaną lampą i piętnastocentymetrowym nożem w rękę.

- Przypuszczałem, że to ty Alfredzie, ale wolałem zachować ostrożność. Nigdy nic nie wiadomo. Z pewnością masz pilny powód, aby mnie szukać w środku nocy.

- Nie wiem, czy rzeczywiście powód jest pilny ale uznałem, że muszę cię ostrzec.

- Tak?

- Słyszałem od Jakowa, że dyrektor Pijar chce cię oddać w ręce lekarzy

- Dzięki, stary No to na mnie już czas. Będę się ewakuował. Tylko, prawdę mówiąc, nie bardzo mam gdzie.

- Przecież nie mogą cię leczyć bez zgody twojej lub twojej rodziny

- Oni wszystko mogą. Swego czasu za mocno się odsłoniłem. Pamiętaj, przynajmniej ty nie popełnij takiego błędu. Alfredzie, daj mi słowo, że mnie nie zdradzisz nigdy i pod żadnym pozorem.

- Oczywiście. Przyrzekam.

- Jestem zmuszony powierzyć ci cały naukowy dorobek mój i Denisa. Wszystko zanotowane jest na przenośnej pamięci. Musisz ją dobrze ukryć, a w razie zagrożenia zniszczyć. Ja sam zamierzam znaleźć sposób, żeby opublikować swoje odkrycie, jednak gdybym nie zdążył, zrób to ty Chodź ze mną.

Ruszyli szerszym korytarzem. Już po kwadransie kluczenia po większych i mniejszych odnogach, przechodzenia przez jakieś zardzewiałe drzwi, przeciskania się przez okrągłe otwory w ścianach i studzienki prowadzące na inne poziomy doszli do tajemniczej niszy, w której Jarema urządził sobie mieszkanie. Był tu materac ze śpiworem i kocami, była spora skrzynka pełniąca funkcję stołu oraz mniejsza, na której stał laptop. Za krzesło służył klocek z pnia brzozy były też pudła, jedne pełne papierowych teczek i segregatorów, inne ubrań i butów, jeszcze inne butelek i puszek. Na haku u sufitu zawieszona była nawet świecąca żarówka.

- Widzę, że wygodnie się tutaj urządziłeś.

- Tak, brakowało mi tylko kibla i łazienki. Ale cóż. - Jarema podniósł materac, wyjął spod niego złożoną gazetę, a z niej wyciągnął płaskie, owinięte folią i oklejone taśmą zawiniątko, z którego z kolei wydobył... gumową podwiązkę. - Tu zaszyta jest instrukcja, jak w nanofizyce zrobić wielki krok w przyszłość, oraz materiały które dał mi Denis. Tylko proszę, Alfredzie... nie zawieź mnie.

- Posłuchaj, Jarema, wierzę, że znajdziesz sposób, żeby opublikować swoje odkrycie osobiście.

- To będzie trudne. Oni mają swoje macki wszędzie. Są skuteczniejsi niż najczulsze radary Miliony ich uszu nieustannie wyłapują i natychmiast przysyłają do przetworzenia każdą informację. To pajęczyna. Mój wynalazek dałby im władzę wręcz nieograniczoną. Dlatego załóż to na nogę już teraz.

Alfred odniósł wrażenie, że w miarę mówienia oczy Jaremy zaczynają chorobliwie błyszczeć. „Jednak to wariat” - pomyślał, lecz spełnił jego prośbę.

- Będzie dobrze. Zobaczysz. Zachowaj tylko spokój.

- Tę opaskę noś na nodze zawsze. I pamiętaj, nigdy, ale to nigdy jej nie zdejmuj. Nawet pod prysznicem. Obiecujesz?

- Tak, Jarema, obiecuję. Co dla ciebie jeszcze mogę zrobić?

- I tak zrobiłeś więcej niż ktokolwiek inny. Daj mi swój numer telefonu komórkowego. Zadzwoń, ale się nie odezwę. Trzy sygnały będą znaczyć, że u mnie jest wszystko w porządku. Jeden, że żyję, ale wpadłem w tarapaty. Gdy w ogóle nie zadzwonię... Wtedy najlepiej bierz nogi za pas i wuj, gdzie pieprz rośnie.

- Rozumiem.

- Możliwie jak najszybciej zorganizuj sobie bezpieczną skrytkę z forszą i dokumentami. Życzę ci wszystkiego najlepszego, ale lepiej dmuchaj na zimne. I pamiętaj, nikomu nie ufaj.

- Zapamiętam, Jarema.

- Wyprowadzę cię stąd. A ty gdybyś kiedyś potrzebował skorzystać z mojej kryjówki, trzymaj się znaków. Popatrz, co jakiś czas na ścianie widoczna jest rdzawa, pionowa kreska. Wygląda na zacieki, ale tak naprawdę wskazuje drogę w tym labiryncie. Dzięki temu nawet w stanie głębokiego upojenia nie zabił się.

Kiedy Alfred znów wyszedł na powierzchnię, księżyc zdążył już zawędrować na zachodnią stronę nieba i zawisnąć nad Rozsypancem¹⁵, a w żadnym oknie nie paliło się światło. W drzwiach skrawek gazety tkwił na swoim miejscu.

15 Rozsypaniec - szczyt w Paśmie Granicznym Bieszczadów (1146m.n.p.m.).

ROZDZIAŁ XIII

Znów siedzieli we trzech w najgłębszym lochu, a grube mury i ciężkie, spiżowe drzwi oddzielały ich szczelnie od zewnętrznego świata.

- Źle jest, moi drodzy bracia, że znów musimy się spotykać w tak niewielkim odstępie czasu. Jednakże zaszły wypadki, które wymagają głębokiej rozważki, gdyż kolejne błędy mogłyby być dla nas nieobliczalne. - Wielki Mistrz zawiesił głos, spojrzawszy kolejno w oczy swoim dwóm zastępcom, którzy siedzieli nieruchomo z dłońmi splecionymi w modlitewnym geście, po czym kontynuował: - Streszczę rzecz całą krótko. Otóż nasza wielka nadzieja, ów genialny chemik, który sformułował swoją niezwykłą tezę, zaczyna się zachowywać podejrzanie. Być może domniemanie to jest skutkiem nadmiaru ostrożności z naszej strony, wynika z jego naturalnego sposobu bycia bądź też z czyjegoś złego wpływu.

- Nie brakuje nam środków, by zmusić go do wyznania wszystkich grzechów - wtrącił Drugi Zastępca Mistrza, tajny kontynuator Świętej Inkwizycji¹⁶, który dbał, aby doświadczenia ponad ośmiuset lat walki z herezją nie poszły na marne. Zmieniały się czasy, wraz z nimi metody, jednak nigdy nie podważono słuszności celu.

¹⁶ Inkwizycja - w Kościele katolickim instytucja powołana w XIII w. do przeprowadzania zarówno śledztwa, jak i procesu sądowego w przypadkach herezji. Była niezależna od sądów biskupich oraz od świeckiej władzy sądowniczej, podlegała papieżowi.

- Do tych metod też należy podchodzić z rozważką - wzrok Wielkiego Mistrza zmroził Drugiego Zastępcę.

- Czyż prawa do prześladowania, a nawet zabijania w imię Chrystusa nie wyraził i nie uzasadnił sam doktor łaski Augustyn z Hippony, uznawany dotąd za świętego i Ojca Kościoła¹⁷?

- Przykład fizyka Zaręby powinien skłonić nas do mniej radykalnego działania.

- Problem w tym, że ten człowiek przedwcześnie mi uciekł. Ogromną stratą i kłopotem dla naszego Kościoła jest fakt, że nie jesteśmy w stanie zapobiec ucieczkom w śmierć. Niewiele pomogło ogłoszenie samobójstwa najcięższym grzechem, nie pomogły całe wieki grzebania samobójców w nieświęconej ziemi, desperaci nadal targają się na własne życie.

- Mocno przesadziłeś, bracie, z siłą perswazji, lecz tym zajmiemy się później. Tymczasem nie odbiegajmy od tematu. Nasz genialny uczony udowodnił już, że pierwiastek zero istnieje. Niestety, bez instrukcji, jak ten pierwiastek zmusić do kontrolowanego

wchodzenia w związki chemiczne, ta wiedza jest bezużyteczna. Tymczasem Mortus z jakiegoś powodu nie odnotowuje najważniejszych wniosków.

17 Augustyn Aureliusz z Hippony (354-430) - w Kościele katolickim znany jako święty Augustyn. Filozof, teolog, organizator życia kościelnego. Jeden z Ojców i Doktorów Kościoła.

- Może ich po prostu nie ma?

- Ależ ma. Wskazuje na to kolejny etap jego doświadczeń.

- Czekajmy zatem, aż dojrzy do końca. Takiego sukcesu, jakim będzie stworzenie materii ożywionej, nie ukryje - poradził Drugi Zastępca Mistrza.

- Kościół odniósłby niepowetowaną stratę, gdybyśmy nie upilnowali Mortusa, zaś ostatnie porażki z fizykiem i biologiem nakazują ostrożność. Na razie proponuję umieścić przy nim naszą najlepszą agentkę.

- Zaiste piękna kobieta zniechęci go do naukowej pracy - zaniepokoił się Pierwszy Zastępca.

- Wręcz przeciwnie, bracie. Pieniądze i sława to dla świeckich niewiast najskuteczniejszy afrodyzjak. I Mortus o tym wie, a poza tym on i bez kobiet zbyt łaknie sławy, żeby z niej zrezygnować. Nasza agentka da mu taki impuls do działania, że zapomni o rozsądku akurat wtedy gdy najbardziej należy o nim pamiętać. Ze swojej strony wspomóż ją farmakologicznie niezawodną kuchnią. Wam natomiast polecam wprowadzić najwyższy poziom uaktywnienia służb - Wielki Mistrz spojrział na Drugiego Zastępcę. - Chemika ani na sekundę nie można spuścić z oczu. Jeżeli coś wyjdzie nie tak, przepowiednia fatimska może stać się faktem. Mortus ma żyć, chociażby sam tego nie chciał.

ROZDZIAŁ XIV

Przez kolejne dwa dni na terenie firmy nic się nie działo, toteż Alfred zaczął sobie zarzucać, że niepotrzebnie przestraszył Jaremę i wypłoszył go z bezpiecznej kryjówki. Podczas posiłków kilkakrotnie rozmawiał z Jakowem, jednak ten ani słowem nie wspomniał o ich wspólnym sąsiedzie, za to wracał do tematu abstrakcyjności zera.

- Ależ zabiłeś mi ćwieka tą uwagą, że w przyrodzie zera nie ma. A co jest zamiast niego? No powiedz, co sobie wyobrażasz? - spytał pewnego razu przy obiedzie.

- Nic sobie nie wyobrażam. Nie ma i tyle. Przecież przyroda nie uprawia matematyki, fizyki, chemii ani żadnej buchalterii, żeby potrzebowała znaku na określenie niczego, gdyż takiego stanu w ogóle nie zna.

- Zna. Chociażby zero bezwzględne.

- Temperatura to wielkość umowna, tylko my ją sobie założyliśmy, żeby stosownie do wydolności naszych mózgów i zmysłów opisywać rzeczywistość. Przyroda się nie mierzy, nie waży i nie porównuje z niczym innym. Wypełnia całą nieskończoność, a skoro nieskończoność nie ma ani początku ani końca, nie ma punktu, w którym coś by się zaczynało czy kończyło. Czyli jakakolwiek skalę można sobie w buty włożyć.

- Jezu, Alfredzie, nad czym ty pracujesz, że doszedłeś do takich przemyśleń?

- Naprawdę nie wiesz?

- Dużo się mówiło o twojej wadze. Jednak z tego, co słyszałem służy ci ona do ważenia zdechłego szczura. Wybacz, nie potrafię dostrzec związku między trupem gryzonia a matematycznym zerem.

- Czuj się usatysfakcjonowany, ja też nie.

- „Zero” i „plus” dały Archimedesowi i Newtonowi władzę równą bogom. A ty co? Chcesz przewrócić porządek wszechświata zmiatając te dwa pojęcia?

- Każdy uczony o czymś takim marzy

- Racja. Święta racja. Na szczęście tylko nieliczni osiągną cel.

Tego dnia zachmurzyło się, a nawet zaczął siąpić deszcz, więc Alfred postanowił cały dzień spędzić w pracowni. Ten etap eksperymentu ze szczurem uznał za zakończony i mógł już przystąpić do następnego. Nadal nurtowało go pytanie, jak chemicznie oznaczać i w kontrolowany sposób wiązać pierwiastek zero. Usiadł przy komputerze, by przejrzeć zapiski, które tam do tej pory zgromadził. Wiedział, że jeśli Jarema miał rację, już ktoś je dokładnie przejrzał, skopiował i przeanalizował, jednak wiedział też, że nic konkretnego z nich nie

wyłuskał, bo niczego odkrywczego nie zawierały stanowiły jedynie pożywkę dla jego rozmyślań.

- Jezu, Alfredzie, nad czym ty pracujesz, że doszedłeś do takich przemyśleń?

- Naprawdę nie wiesz?

- Dużo się mówiło o twojej wadze. Jednak z tego, co słyszałem służy ci ona do ważenia zdechłego szczura. Wybacz, nie potrafię dostrzec związku między trupem gryzonia a matematycznym zerem.

- Czuj się usatysfakcjonowany, ja też nie.

- „Zero” i „plus” dały Archimedesowi i Newtonowi władzę równą bogom. A ty co? Chcesz przewrócić porządek wszechświata zmiatając te dwa pojęcia?

- Każdy uczony o czymś takim marzy

- Racja. Święta racja. Na szczęście tylko nieliczni osiągną cel.

Tego dnia zachmurzyło się, a nawet zaczął siąpić deszcz, więc Alfred postanowił cały dzień spędzić w pracowni. Ten etap eksperymentu ze szczurem uznał za zakończony i mógł już przystąpić do następnego. Nadal nurtowało go pytanie, jak chemicznie oznaczać i w kontrolowany sposób wiązać pierwiastek zero. Usiadł przy komputerze, by przejrzeć zapiski, które tam do tej pory zgromadził. Wiedział, że jeśli Jarema miał rację, już ktoś je dokładnie przejrział, skopiował i przeanalizował, jednak wiedział też, że nic konkretnego z nich nie wyłuskał, bo niczego odkrywczego nie zawierały, stanowiły jedynie pożywkę dla jego rozmyślań.

„Woda! Życie powstało w wodzie, w niej tkwi klucz do tajemnicy życia. Może na podobieństwo grupy wodorotlenowej, aminowej czy karboksylowej również pierwiastek zero tworzy grupę charakterystyczną? Tylko z czym? Wodorem? Tlenem?” - rozważał, stukając długopisem w blat. Już miał sięgnąć po notes, który kupił w Rzeszowie, gdy za drzwiami usłyszał wózek Kuby.

- Wejdz! - zawołał, zanim ten zdążył zapukać.

- Cześć - Kuba wtoczył się do gabinetu. - Przyszedłem zapytać, czy będę ci do czegoś potrzebny. Potrzebuję trochę czasu na kurację.

- W porządku. Choruj sobie ile chcesz.

- A tak przy okazji. Proszę, dawaj mi więcej zajęć, bo zaczynam mieć wyrzuty sumienia, że biorę pieniądze za nic.

- Coś takiego! Pierwszy raz w życiu słyszę, żeby ktoś narzekał na brak pracy

- Dla mnie praca to nie to samo, co dla ciebie czy innego sprawnego faceta.

Wtem w jakiś cudowny sposób spłynęło na Alfreda olśnienie. Konkluzja jego ostatnich rozważań sformułowała się w gotowy plan działania, a był on tak prosty i oczywisty, że tylko zaćmieniem umysłu mógł wytłumaczyć sobie wcześniejszy brak pomysłów na tym polu.

- Spokojnie, Kuba. Już wkrótce spadnie na ciebie tyle obowiązków, że będziesz błagał o chwilę wytchnienia.

- To znaczy? Mógłbyś uchylić rąbka tajemnicy?

- Wszystko we właściwym czasie. Na razie idź odpocząć.

Gdy tylko za Kubą zamknęły się drzwi, Alfred wyjął notes kupiony w Rzeszowie i zaczął, na razie chaotycznie, przelewać na papier założenia, zasadnicze kwestie oraz nasuwające się na gorąco wnioski i spostrzeżenia, aby nie wyleciały mu z głowy. Pracował jak w transie. Kiedy wyrzucił z siebie cały zapas pomysłów, przystąpił do ich segregowania oraz opracowywania planu badań, a wreszcie do jego kodowania, by podglądaczom utrudnić pracę. Kiedy skończył, dochodziła szesnasta. I dokładnie w tej chwili żołądek przypomniał mu o swoich prawach. Był wściekle głodny.

W stołówce dosiadł się do Jakowa i Akermana, którzy już jedli drugie danie.

- Co dzisiaj dobrego poleca pani Stenia?

- Weź zupę grzybową i filety z dzikiej kaczki w powijakach z boczku. Mmm, poezja - zapewnił Piotr, wpychając sobie do ust potężną porcję.

- O tak, za to danie kuchnia powinna dostać premię.

Alfred złożył zamówienie. Życie wokół biegło swoim normalnym, leniwym trybem. Nagle ogarnęło go przeświadczenie, że w próbie skłonienia alkoholika Jaremy do skutecznego leczenia nie było nic złego. Ba, wręcz świadczyło to o trosce o zdrowie cennego pracownika.

- Trzeba by się znów skrzyknąć na partyjkę. Macie dzisiaj czas? - spytał Akerman.

- Ja mam - odpowiedział Jaków.

- Ja też - powtórzył za nim jak echo Alfred, bowiem przyszło mu do głowy, że jako czwarty przyjdzie dyrektor Pijar, a wtedy być może w rozmowie przewinie się temat Jaremy

* * *

Po obiedzie Alfred wrócił jeszcze do laboratorium i pracował z takim zapamiętaniem, że zapomniał o kolacji. Kiedy wracał wieczorem do domu, ujrzał w oknie Jaremy światło. „No, dzięki Bogu, problem sam się rozwiązał. Zaraz z nim pogadam” - pomyślał z ulgą.

Drzwi otworzyła... kobieta. Piękna kobieta. Smukła, rudowłosa, o brązowych oczach i wydatnych zmysłowych ustach.

- Przepraszam, ja... ja do pana Zaręby Jestem sąsiadem, mieszkam piętro wyżej - przedstawił się.

- Nie znam pana Zaręby, ale miło mi pana poznać. Dalila Rubens - wyciągnęła ku Alfredowi smukłą dłoń, którą ten skwapliwie pochwycił. - Skoro już zawarliśmy znajomość, poproszę pana o pomoc. Mam kłopot z zamkiem w jednej torbie.

Alfred podążył za piękną Dalilą i stwierdził, że w mieszkaniu stoją nowe meble, w oknach wiszą nowe firanki, a na podłodze leży nowy dywan. Na wersalce piętrzyły się dopiero co powyjmowane z walizek damskie fatałaszkki, w otwartej na oścież szafie wisiały same wieszaki, a na stole stała elegancka torebka. Nie było wątpliwości, Dalila właśnie przyjechała i zaczęła się rozpakowywać.

- Więc gdzie ten zepsuty zamek?

- Proszę, tutaj - wskazała na torbę stojącą na podłodze

Alfred uklęknął przy torbie i szarpnął suwakiem, odblokowując zacięte ząbki.

- Załatwione. Mogę jeszcze w czymś być pomocny?

- A tak. Byłabym wdzięczna, gdyby jutro oprowadził mnie pan po obiekcie.

- Z największą przyjemnością.

Umówili się na jutro po obiedzie.

* * *

Nowa piękna sąsiadka wprowadziła zamieszanie do psychiki Alfreda. Zaraz za drzwiami zaczął żałować, że nie wykorzystał okazji, bo przecież mógł zaprosić ją na kawę, podtrzymać rozmowę i nawiązać bliższy kontakt. Pocieszył się jednak, że nazajutrz nadrobi zaniechanie, a teraz jest przecież umówiony.

U Akermana zastał już Jakowa i, tak jak przewidywał, dyrektora Pijara. Obaj siedzieli przy stole, zaś gospodarz przygotowywał w kuchni trunki i przekąskę. Po krótkim powitaniu Alfred zajął wolne krzesło.

- Na jej urodę nie miałem żadnego wpływu, ale to przyjemnie, gdy niewiasta jest piękna - mówił Pijar, wracając do przerwanej wątku rozmowy. - Jednak z tego, co wiem, to fachowiec dużej klasy.

- Mówicie o Dalili? - Pytanie Alfreda wywołało zdziwienie.

- Ej że, stary koniu, ty ją znasz? - zawołał Jaków.

- Tak, udzieliłem jej drobnej pomocy

- No proszę. Już znalazł sposobność, by być użytecznym. A gdy w tamtym tygodniu szlag trafił pokrętko od mojego prysznicza, jakoś nie raczyłeś ruszyć tyłka i pomóc sąsiadowi.

- A co się stało z Jarewą? - Alfred uznał, że w tej sytuacji pytanie nie będzie podejrzanym.

- Jarewa oszalał. Niestety dostał ostrej halucynozy alkoholowej i nie było innego wyjścia, jak tylko wezwać pogotowie - pośpieszył z wyjaśnieniem dyrektor. - Musieliśmy tak postąpić. Przez ostatnie trzy dni błąkał się na wpół przytomny po okolicy więc...

- Więc skąd o tym było wiadomo?

- Spotkał go strażnik Bieszczadzkiego Parku Narodowego aż pod Krzemieniem18. Biedak był głodny, obdarty i nawet nie pamiętał, jak się nazywa. Dobrze, że strażnikom przyszło do głowy zadzwonić do nas. Pojechałem, zobaczyłem i uznałem, że potrzebna mu jest fachowa pomoc.

18 Krzemień (1335 m n.p.m.) - najbardziej skalisty szczyt w obrębie Bieszczadzkiego Parku Narodowego, zamknięty dla turystów.

Alfred słuchał z przerażeniem. Oto uzyskał niezbity dowód, że szef kłamie. Nagła śmierć Anny, Paula i maniakalny strach Jaremy nabrały upiornego znaczenia. Zyskał pewność, że ów piękny obraz rzeczywistości jest tylko ułudą, mrzonką, iluzją... Był kukielką w ręku jakiegoś niewidzialnego animatora czy animatorów Mimo woli dotknął uda i pod materiałem spodni poczuł opaskę. Po plecach przebiegł mu dreszcz, jakby to był odbezpieczony granat.

Rozejrzał się po zebranych, którzy rozmawiali z ożywieniem o Dalili. „Przynajmniej jednego już zdekonspirowałem” - pomyślał. „Który z nich jeszcze? Jaków? Znał Jarewę o wiele dłużej niż ja i nie nabrał żadnych podejrzeń? Akerman? Chciał wspólnie z Jarewą prowadzić doświadczenia. Dlaczego? Liczył na przewrót w genetyce, czy może szukał sposobu, żeby tą drogą zawłaszczyć jego wynalazek?”.

Tymczasem gospodarz w barku na kółkach wwiózł do pokoju trunki oraz przekąski, zajął przy stole ostatnie wolne krzesło i powiedział:

- Doszedłem do wniosku, że wygodniej będzie, jeśli jedzenie i picie oddzielimy od kart. Częstujcie się, panowie, według własnego uznania. A swoją drogą, ciekaw jestem, czy nowa pracownica gra w brydża. Byłoby dobrze ożywić nasze nudne, męskie towarzystwo.

- Jeśli nawet nie gra, to ją nauczymy - parsknął śmiechem Jaków.

- Chciałbym wiedzieć, gdzie ona będzie pracować.

- Proszę, proszę. Pewnie chciałby ją pan capnąć na swoją asystentkę? Nic z tego. Zasili księgowość - wyjaśnił Pijar.

- Jasne, pan dyrektor sam potrafi zagospodarować piękne kobiety - odciął się Akerman, próbując nadać głosowi żartobliwy ton.

Minęło jeszcze pół godziny, zanim rozpoczęli grę. Alfredowi znów wypadło grać z Jakowem, któremu tego dnia karta szła wyjątkowo szczęśliwie. Zdołał nawet dwa razy wylicytować i ugrać szlema w piki. Kiedy przed północą wracali do domu, Jaków był ciągle pod wrażeniem sukcesu.

- Pomyśl, Alfredzie, dwa szlemy to już sukces, ale dwa szlemy w ten sam kolor to niezwykle. Jeżeli policzyć prawdopodobieństwo takiego wyniku, to okazuje się...

- Daj spokój, Piotrze. Ciesz się lepiej własnymi umiejętnościami, gdyż kiepski partner potrafi zepsuć nawet najlepszą kartę już na etapie licytowania.

- Przesadzasz.

- Jak myślisz, czy rachunek prawdopodobieństwa jest taki sam dla dobrych graczy, jak i dla złych?

- Cholera, cóż to za pytanie?

ROZDZIAŁ XV

Alfred pół nocy bił się z myślami. Telefon położył tuż obok głowy by nie przegapić sygnału Jaremy Zastanawiał się, w jaki sposób go osaczono. Był prawie pewien, że Jarema opuścił tunele. „Jeżeli został ujęty w okolicach Krzemienia, szedł w kierunku północnozachodnim. Dokąd chciał dojść? Najbezpieczniej byłoby uciekać na Słowację lub Ukrainę.” Alfreda kusilo, żeby wstać i zajrzeć do mapy lecz ta czynność mogłaby wzbudzić podejrzenia ewentualnego obserwatora. „A może złapano go w tunelach? A jeśli nie złapano, tylko zabito? Telefon milczy.” Im dłużej rozmyślał o tym wszystkim, tym bardziej nabierał przekonania, że on również powinien opracować plan ewakuacyjny jednak uwierała go świadomość, że poza ośrodkiem w Moczarysku szanse na ukończenie jego badań są zerowe. Po długim namyśle doszedł do wniosku, że znalazł złoty środek i poczuł nagłą potrzebę działania. Z samego rana zadzwonił do kierownika Noskowskiego.

- Panie kierowniku, chciałbym dzisiaj wyskoczyć do Leska.

- Coś bardzo pilnego?

- Ależ skąd. Chcę odwiedzić fryzjera i załatwić kilka drobnych spraw.

- Problem w tym, że Adasia nie ma. Pojadę z panem ja, ale dopiero za godzinę. Może być?

- Oczywiście.

Uważał, że pomysł z fryzjerem nie wzbudzi żadnych podejrzeń, gdyż od czasu przyjazdu jego włosy zdążyły na tyle podrosnąć, że zakryły mu uszy i wychodziły na kołnierz. W zakresie „drobnych spraw” postanowił uzupełnić garderobę oraz dokupić kosmetyków.

Droga do Leska przebiegła niemalże w całkowitym milczeniu. Kierownik zatrzymał samochód na niewielkim rynku utworzonym przez kamieniczki, z których najstarsze pamiętały siedemnasty wiek.

- Jadę do Sanoka, moje sprawy zajmą mi dwie godziny. Pewnie zechce pan przy okazji zwiedzić miasto, więc umówmy się pod synagogą. Tutaj każdy wskaże panu do niej drogę. Czekamy na siebie aż do skutku. A jeżeli chodzi o fryzjera, to najbliższy jest tam - wskazał palcem w kierunku Ratusza.

- Dziękuję.

Kiedy samochód odjechał, Alfred ruszył w przeciwną stronę. Rozglądając się po sztydach, dotarł do małego salonu na końcu handlowego pasażu. Wszedł. Zakład był mały,

wąski i jakby żywcem przeniesiony z dwudziestolecia międzywojennego: stare lustro w drewnianych ramach, skórzane fotele regulowane pedałem, z tyłu kotara zasłaniająca zaplecze. Na jednym z foteli siedział chudziutki staruszek. Ochronna pelerynka nadawała mu wyglądu ascetycznego fakira. Dookoła klienta uwijał się krępy mężczyzna w sile wieku o gęstych, starannie ułożonych włosach i wypielęgnowanych wąsach.

- Witam, witam szanownego pana, już się panem zajmę, tylko obsłużę pana radcę - zapewnił fryzjer. Ze staroświecką galanterią zdjął z ramion klienta pelerynkę, po czym omiół miękką miotłką jego kark i marynarkę.

- Dziękuję, panie Zygmuncie, przyjdę jak zwykle za tydzień. Do widzenia - pan radca dyskretnie zapłacił za usługę i dostojnym krokiem ruszył w kierunku drzwi. Mistrz grzebienia zapraszającym gestem wskazał Alfredowi fotel.

- Jakich usług szanowny pan sobie życzy?

- Strzyżenie, golenie oraz miłą pogawędkę.

- A tak, lepiej pan trafić nie mógł. Bo fryzjer, proszę szanownego pana, to lepiej jak ksiądz, bo wysłucha i pokuty nie zada. Proszę. - Alfred usiadł w fotelu. - Strzyżemy czy modelujemy?

- Strzyżemy. I to jak najkrócej.

- Już się robi. Szanowny pan tu chyba przejazdem? - Atak. Poszukuję przyjaciela, który uległ w górach wypadkowi i został odwieziony do szpitala. Problem w tym, że nie mam możliwości ustalić, do jakiego.

- Rozumiem.

Alfredowi spodobało się, że starszy pan nie pośpieszył z udzielaniem oczywistych rad, jak taki problem załatwić.

- Nie mam też możliwości dzwonienia po okolicznych szpitalach i proszenia o informacje.

- Rozumiem.

- Czy mógłbym prosić o przysługę? Zapłacę - z miejsca przystąpił do rzeczy

- Rozumiem, że szanowny pan chce, abym ja za pana wykonał te telefony?

- Pan albo ktoś inny zaufany. Dostanie pan za to dwieście złotych.

- Może być pan spokojny. My ludzie pogranicza, od zawsze jesteśmy zaprawieni w wykonywaniu tajemniczych zadań, a ja żyję dostatecznie długo, aby niczemu się nie dziwić. Musi jeszcze szanowny pan powiedzieć, jak mu dostarczyć uzyskaną informację, bo zbieranie danych zajmie kilka dni.

- Zadzwoń i spytam, czy nie zostawiłem notatnika. Jeśli pan ustali miejsce pobytu mojego przyjaciela, powie pan: „tak”. Jeśli nie, powie pan: „nie”. Tyle. Mój przyjaciel nazywa się Jarema Zaręba. Zapisać?

- Zapamiętam. Szanowny pan nawet nie wyobraża sobie, jakie długie zdania trzeba było zapamiętywać za Niemców, Ruskich czy Ukraińców. Bo mózgowica, proszę pana, jest najpewniejszą skrytką.

Do zakładu wszedł kolejny klient i czekając na swoją kolej, usiadł na krześle, wziął ze stolika gazetę i zanurzył się w czytaniu. Tymczasem pan Zygmunt gładko przeszedł na aktualną politykę.

Po powrocie do Moczaryska Alfred przebrał się w popielaty garnitur i jasnoniebieską koszulę. Zazwyczaj nosił dzinsy i t-shirt, w razie niższych temperatur zakładał sweter lub bluzę od dresu, lecz spotkanie z piękną kobietą zobowiązywało. Minęło dopiero południe, więc poszedł do laboratorium. Chwilę później do jego gabinetu wtoczył się Kuba.

- Cześć, teraz z zapasem nowych sił gotów jestem wziąć byka za rogi.

- Mój szacun dla zdolności regeneracyjnych twojego organizmu. Napijesz się kawy?

- Jasne.

Alfred włączył czajnik i wyjął filiżanki. Obserwując spod oka uważnie twarz Kubę spytał:

- Słyszałeś, że Jaremę zabrało pogotowie?

Wyglądało, że ta informacja go zaskoczyła.

- Jak? Kiedy? Spotkałem podczas śniadania kilka osób, ale nikt nie wspomniał o tym jednym słowem. A to przecież ważna informacja.

- Jarema podobno do reszty zwariował, wyszedł z podziemi i błąkał się po Bieszczadach. Znaleziono go pod Krzemieniem.

- Moim zdaniem facet mocno tankował, miał nierówno pod sufitem, cierpiał na manię prześladowczą, ale żeby uciekać? Czasami odnosiłem wrażenie, że Jaremę męczy jakaś agorafobia¹⁹. Przecież on, jeśli już wylazł z podziemi, natychmiast barykadował się w swoim pokoju, więc trudno uwierzyć, że tak nagle polazł gdzieś przed siebie. I gdzie on teraz jest?

- Nie wiem. Nie dopytałem się.

- Cóż, kto naprawdę wie, co w człowieku siedzi? Mam nadzieję, że kiedyś wróci i skończy swoje badania. Inaczej... - przerwał w pół zdania i zapadł w zadumę.

- Będzie dobrze. Mam dla ciebie jeszcze jedną nowinę. Pod siódemką mamy nową sąsiadkę, Dalilę. Niezła laska.

- A, to pewnie ta biegła księgową, o której gadali od roku. Nie dla mnie, niestety. Pogadajmy lepiej o dobrej robocie.

Alfred postawił na blacie dwie filiżanki kawy i usiadł na swoim fotelu.

- Zdobędziesz nasiona kukurydzy, wiśni, orzecha włoskiego, pszenicy, dyni, jodły, klonu i fasoli. Niech laboranci wydobędą z nich czyste zarodki.

- Nie ma sprawy Co jeszcze?

- Kiedy już to załatwisz, wyrzucisz tego szczura z wagi, zdobędziesz następnego i przygotujesz mi dwa litry stężonego kwasu solnego.

- Szczur ma być uśpiony czy zdechły?

- Uśpiony i owinięty szczelnie w coś, co w tym agresywnym środowisku przetrwa dłużej niż pół godziny.

19 Agorafobia - lęk przed otwartą przestrzenią.

Liczę na twoją pomysłowość. Następane polecenia we właściwym czasie.

Kuba dopił kawę i opuścił gabinet. Alfred spojrzął na zegarek. Do obiadu pozostała jeszcze godzina, a na żadną pracę nie miał ochoty. Za oknem zaczęło nagle siąpić, jakby zazdrosne niebo chciało popsuć mu spacer z Dalilą. Wtem zmroziło go podejrzenie, że ona też może być szpiegiem. „Bzdura! Piękna, zmysłowa kobieta, która wyciąga największe tajemnice z tokującego faceta, to pomysł zgrany nawet w filmach sensacyjnych klasy C” - ta myśl przywróciła mu spokój.

* * *

Alfred zajął miejsce przy stoliku pod ścianą i ponad kartą dań obserwował drzwi wejściowe. Dalila weszła piętnaście minut później. Rozejrzała się po sali i od razu skierowała w jego stronę. Alfreda zalała fala szczęścia. Wstał i odsunął krzesło.

- Dzień dobry, Alfredzie. Miło, że zająłeś mi miejsce. Zamówiłeś już coś?

- Jeszcze nie, ale przejrzałem menu. Dzisiaj pani Stenia poleca zupę cebulową z grzankami, naleśniki z dziczyzną albo roladę indyczą z żurawinami, na deser kompot śliwkowy

- No, no. Uprzedzono mnie, że kuchnia tutaj jest wyśmienita, nie sądziłam jednak, że aż tak. Ja reflektuję na zupę i naleśniki.

- Ja również - powiedział, chociaż wolałby roladę.

Złożyli zamówienie i na chwilę przy stole zapadła kłopotliwa cisza. Dalila patrzyła na niego z taką mieszaniną pożądliwości i zaciekawienia, że Alfred poczerwieniał ze zmieszania.

- Jak pierwszy dzień w pracy? - spytał, żeby w ogóle się odezwać.

- Po kilku godzinach niewiele mogę powiedzieć, ale jedno zdążyłam zauważyć. Firma ma wyjątkowo wysokie koszty w stosunku do liczby zatrudnionych. Aż strach pytać, co wy tutaj robicie. Czy mokra pogoda nie zniechęci cię do spaceru?

- Ależ skąd!

- To bardzo dobrze. Bo ja uwielbiam spacerować w deszczu. Dobrze robią na cerę. A ty, czym się tutaj zajmujesz?

- Jestem chemikiem.

- Chemia to dla mnie czarna magia. Ze szkoły pamiętam zaledwie wzór kwasu siarkowego - odsoniła w szerokim uśmiechu wyjątkowo równe i białe zęby. Alfred odetchnął z ulgą, że nie musi kluczyć i kombinować, jak coś powiedzieć - jednocześnie niczego nie mówiąc.

Po obiedzie deszcz przestał padać, tylko zimny, zachodni wiatr gnał po niebie niskie ołowiane chmury w których zginęły nawet najbliższe szczyty, a dolina Moczaryska wyglądała jak wyspa na morzu mgły.

- Niesamowite, doprawdy niesamowite. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego! - zawołała Dalila, gdy tylko wyszli na zewnątrz.

- Wyczytałem niedawno w jakimś przewodniku, że dawniej tutejsi górale przy takiej pogodzie mówili, że to niedźwiedzie warzą piwo.

- Ciekawe. Idziemy?

Ruszyli główną uliczką. Alfred starał się w miarę wiernie przekazać Dalili wszystko, co niegdyś sam usłyszał od dyrektora, łącznie z historią o założycielu firmy, Harrym Jefersonie.

- Pochodzę z Kołobrzegu, jestem zwolenniczką morskich klimatów, więc długo wahałam się, czy przyjąć tę posadę. Teraz nie żałuję.

- To tak jak ja. Jestem z Gdańska. Gdy się roz pogodzi, proponuję wycieczkę na okoliczne szczyty. Latem, przy słonecznej pogodzie, Bieszczady są niesamowite.

- Trzymam za słowo, ale... wracajmy Zmarzłam. Dasz się zaprosić na filiżankę gorącej herbaty?

Alfred nie dowierzał własnym uszom.

- Oczywiście - zapewnił z zapalem.

Kwadrans później siedział w jej pokoju i wodził za nią zachwyconymi oczami. Targały nim sprzeczne uczucia. To zachłystywał się swoim szczęściem, to pocił z niepokoju, że swoje pragnienia bierze za rzeczywistość, a prawda jest banalna - za zainteresowaniem pięknej Dalili jego osobą kryje się wyłącznie chęć nawiązania dobrosąsiedzkich stosunków.

„Z pewnością pod jednym względem Jarema nie miał racji. Nie jestem jak ten kapłon, gdyby wypadło, zaciągnąłbym ją do łóżka już, natychmiast... Szkoda, że nie wypada” - spłynęła na niego pocieszająca refleksja.

* * *

Przez kolejnych kilka dni Alfred więcej myślał o pięknej sąsiadce niż o swoim eksperymencie. Fakt, że pod jego nieobecność nikt nie wchodził do mieszkania, sprawił, że wszystkie obawy zasiane przez Jaremę mocno straciły na ostrości, chociaż na wszelki wypadek nadal zachowywał ostrożność.

Kuba ze zleceniem uwinął się nad podziw szybko. Już po trzech dniach poinformował, że zadanie zostało wykonane. Alfred zamknął się w pokoju wagowym i precyzyjnie odważył dwa razy po miligramie zarodków każdego nasiona. Gdy skończył, wezwał laborantów.

- W próbkach w pierwszym eksykatorze oznaczycie dokładny skład chemiczny metodą atomowej spektroskopii absorpcyjnej²⁰, zaś w drugim wszystkie związki, jakie uda wam się zidentyfikować.

- No, będzie trochę zabawy - zauważył Artur Knap.

²⁰ Atomowa spektroskopia absorpcyjna - instrumentalna metoda analityczna, wykorzystująca zjawisko absorpcji promieniowania charakterystycznego przez wolne atomy oznaczanego pierwiastka.

- Czasu wam nie limituję, lecz musicie to zrobić wyjątkowo dokładnie.

- A co ze szczurem, szefie? Naczynia kwarcowe są już wyprażone do stałej wagi, kwas solny przygotowany Profesor Akerman mówił, że Janeczko może dostarczyć szczura w przeciągu pół godziny od zgłoszenia.

- Niech jeden z was zatelefonuje do pracowni biologicznej. Gdy wszystko będzie gotowe, proszę dać mi znać.

Dwie godziny później Alfred zapoczątkował kolejny etap doświadczenia, polegający na eksperymentalnym sprawdzaniu ubytku wagi po rozpuszczeniu szczura w kwasie solnym. Kiedy wreszcie zamknął za sobą pokój wagowy i wrócił do swojego gabinetu, przypomniał sobie o fryzjerze. Pan Zygmunt odebrał dopiero po piątym sygnale.

- Przepraszam, strzygłem się u pana kilka dni temu. Nie zostawiłem przypadkiem notesu? - spytał bez zbędnych wstępów.

- Przykro mi, proszę pana, ale nie.

ROZDZIAŁ XVI

Alfreda dręczył niepokój. Dalila, chociaż mieszkała piętro niżej, była nieuchwytna. Nie spotykał jej w stołówce, wieczorem w jej mieszkaniu nie paliło się światło. Nie miał śmiałości rozpytywać o nią po tak krótkiej znajomości. Obsesja na tle pięknej sąsiadki sprawiała, że czuł się wewnętrznie rozbity i niezdolny do jakiegokolwiek intelektualnego wysiłku. Akurat wtedy Kuba przyniósł wyniki analiz chemicznych zarodków nasion.

- Proszę, masz tutaj na papierze i elektronicznie skład jakościowy i ilościowy pierwiastków oraz związków pogrupowanych na węglowodany triacyloglicerole²¹, alkohole wielowodorotlenowe, białka, alkaloidy, sole mineralne i inne.

- Serdeczne dzięki. Na razie jesteś wolny

Gdy Alfred został sam w gabinecie, naukowa ciekawość wzięła górę nad męskimi rozterkami serca. Przez chwilę analizował zestawienie danych. Powinien teraz zrobić bilans, wyliczyć, ile pierwiastków weszło w oznaczone związki, a ile z nich pozostało „bez przydziału”. Wierzył, że wśród tych ostatnich jest klucz do tajemnicy - co sprawia, że malutka komórka potrafi to, czego nie potrafią największe laboratoria świata. Ale nigdzie, dosłownie nigdzie nie mógł pozostawić śladu tych obliczeń. Usiadł przy komputerze, by zapisać na twardym dysku to, co ONI i tak już mieli. Usystematyzowanie materiału zawartego na trzydziestu arkuszach zapelnionych gęsto kolumnami wyników analiz wymagało benedyktyńskiej cierpliwości albo... odpowiedniego programu komputerowego.

21 Triacyloglicerole - tłuszcze proste.

Kiedy tego dnia wszedł do stołówki, z radosnym zdziwieniem dostrzegł przy jednym ze stolików Dalilę. Siedziała w towarzystwie Piotra Jakowa i Kuby, lecz dała mu znak, żeby podszedł.

- No, nareszcie, trzymamy dla ciebie miejsce - jej uśmiech był tak piękny i tak serdeczny, że Alfred aż się zmieszał.

- Dziękuję.

- Zamówiliśmy już zupę pomidorową, comber barani w śmietanie z ziemniakami i surówką z kapusty.

- Brzmi smakowicie. Też się na to skuszę.

Rozmowa przy stole była obliczona na zainteresowanie Dalili. Piotr Jaków miał jeszcze bardziej niż zwykle zmierzwioną czuprynę i maślany wzrok sztubaka, zaś Kuba emanował bezdennym smutkiem wynikającym z faktu, że jego szansa na erotyczne

zainteresowanie tej pięknej kobiety jest zerowa i w najbliższym czasie to się nie zmieni. Wtem Dalila pod stołem ścisnęła znacząco dłoń Alfreda. Ten gest był tak jednoznaczny że poczuł, jak w jego żyłach gotuje się krew. W miarę jedzenia rosła w nim żądza, by wziąć tę fascynującą istotę w ramiona, zedrzeć z niej sukienkę i co tam jeszcze na sobie ma, porwać na bezludną wyspę i pozostać tam tylko z nią do końca życia.

Przebłyśki refleksji pojawiły się dopiero wieczorem, tuż przed zaśnięciem: „Dlaczego to ja zwróciłem uwagę takiej piękności?”. Uświadomił sobie niechętnie, że dotychczasowe kontakty z kobietami powinny wymuszać podejrzliwy krytycyzm, a doświadczenia z piękną Ireną wręcz skłaniać do ostrożności. I chociaż Alfred wiedział, że jego obawy są uzasadnione, nie był w stanie zrezygnować z Dalili, nawet gdyby miał za to zapłacić życiem.

Mimo miłostnego zaaferowania jego sumienie wciąż upominało się o stuprocentową pewność, co z Jarewą.

* * *

Przeminęły deszcze i nastąpiła piękna wczesnojesienna pogoda. Buki, olsze oraz jawory pokrywające niższe reple gór zapłonęły wszystkimi odcieniami czerwieni, brązu i złota, przetykanymi gamą zieleni świerków i jodeł. Wysokie połoniny srebrzyły się trawą urozmaiconą rozległymi plamami jarzębiny Niebo było bezchmurne, nawet najłżejszy wiatr nie poruszał liśćmi. Alfred z samego rana zapukał do drzwi Dalili. Była jeszcze w szlafroku.

- O, co tak wcześnie. Idę do pracy dopiero na dziewiątą.

- Mam dla ciebie propozycję. Zróbmy sobie wolne i wybierzmy się na wycieczkę w góry.

- Pomysł kuszący - uśmiechnęła się.

- Więc?

- No dobrze. Będę gotowa za godzinę.

W tym czasie Alfred zadzwonił do kuchni i poprosił o suchy prowiant dla dwóch osób na cały dzień, wrzucił do plecaka przygotowane poprzedniego wieczoru rzeczy i zagłębił się w studiowanie mapy Bieszczadów rozłożonej na stole.

Gdy po godzinie zszedł na parter, Dalila w tej samej chwili zamykała drzwi swojego mieszkania. Była w krótkich spodniach i białej, obcisłej bluzce opinającej nęcąco jej wąską talię i kształtne piersi. Przez ramię miała przerzucony niewielki plecak.

- Wyglądasz przepięknie - Alfred nie mógł się powstrzymać od komplementu. Jeszcze bardziej zachwyciła go jej punktualność.

Ich nagła decyzja o zmianie rozkładu dnia nikogo nie zaskoczyła, nikt nie zadawał żadnych pytań, tylko pani Stenia podając im śniadanie i paczkę z prowiantem powiedziała:

- Przy tak pięknej pogodzie wszyscy pracownicy powinni wziąć z was przykład. Ja sama z rozkoszą posiedziałabym na słoneczku na ciepłutkiej polanie. Macie ustalony cel wyprawy?

- Połoniną Bukowską na Halicz, potem na Tarnicę²² - poinformował Alfred.

- To kawał drogi.

- Jeśli nie zdążymy wrócić, przenocujemy w jakimś schronisku.

²² Tarnica (1346 m n.p.m.), Halicz (1333 m n.p.m.) - szczyty leżące w obszarze Bieszczadzkiego Parku Narodowego.

- Zdążycie, jeśli ktoś podrzuci was do Bukowska.

Ledwie przebrzmiały słowa pani Steni, w drzwiach stołówki stanął Adaś w swoim nieśmiertelnym, dzinsowym wdzianku i z szerokim uśmiechem wlepił zachwycony wzrok w Dalilę.

- Dobry pomysł - stwierdził Alfred mocno niezadowolony z nagłej zazdrości, która ukłuła go w serce.

„Kierowca to tylko kierowca” - uprzytomnił sobie. Ta refleksja na niewiele się zdała, bo gdy tylko wsiedli do samochodu, Adaś zaczął wyłazić ze skóry, żeby przypodobać się pięknej pasażerce.

- Podwożę was aż pod sam Rozsypaniec - zaproponował nawet nie zwalniając, gdy dotarli do miejsca zwanego Bukowskiem. Skręcili w wysypaną tłuczniem boczną drogę. - Nie takie wertepy pokonywałem. Wie pani, wjechałem kiedyś samochodem na Połoninę Wetlińską²³. Mój wyczyn powinni odnotować w księdze Guinnessa. Była pani kiedykolwiek na Wetlińskiej?

- Niestety, nie miałam przyjemności.

- Warto zobaczyć. W razie potrzeby służę za przewodnika. - Przez chwilę milczał, skupiając całą uwagę na omijaniu wyrw świeżo wyflukanych przez niedawne deszcze. - Jesteśmy na miejscu. Gdy będziecie wracać, dajcie znać, gdzie podjechać - zaoferował z galanterią, zatrzymując się dopiero pół kilometra za bramą wejściową do Bieszczadzkiego Parku Narodowego. - Życzę udanej wędrowki.

²³ Połonina Wetlińska - masyw w Bieszczadach o kilku wierzchołkach.

Dalila podziękowała z wdziękiem, a kiedy samochód zniknął za zakrętem drogi, parsknęła śmiechem:

- Zabawny facet.

Było w tym określeniu tyle ironii, że Alfred poczuł ulgę. Założyli plecaki i chwilę później weszli na szlak biegnący w kierunku płaskiego Rozsypanca. Jak okiem sięgnąć, aż po

siniejące kresy horyzontu, dotykając niemal nieba, piętrzyły się pasma masywów. Niepowtarzalny urok rozległych przestworzy, fascynujące majestatem potężne górskie granie otulone kobiercem kwitnących połonin, mroczne połączenie lasów karpackiej puszczy i ta piękna kobieta idąca obok lekko, bez wysiłku, jakby była stworzona do dalekich wędrówek sprawiły, że w Alfredzie obudziła się dusza poety. Miał wrażenie, że w tym świecie ciszy i szczęścia zatracił poczucie czasu, że lada moment odkryje zupełnie inny system wartości, że odnajdzie nawet Boga, w którego wątpił, że wreszcie osiągnie spokój wewnętrzny i pozna samego siebie, jakiego dotąd nie znał. Z każdym krokiem pograżał się w toni bezczasu i chciał, żeby ta droga nie skończyła się nigdy, żeby mógł tak iść, iść i iść całą wieczność.

Dla Alfreda właściwym celem wyprawy była rozmowa ze strażnikami Parku o Jaremie. Brakowało mu pomysłu, jak ich znaleźć, lecz liczył na łut szczęścia. Teraz jednak sprawa Jaremy zeszła na dalszy plan. Spoglądał na Dalilę raz po raz walcząc z pokusą, żeby ją objąć, pocałować, a nawet przewrócić w wysokiej trawie, złotej od płomiennej arniki i wyniosłej dziewanny, jednak powstrzymywała go świadomość, że po pierwsze, takie zachowanie nie uchodzi poważnemu uczonemu, po drugie, napad namiętności mógłby zostać odebrany jako próba gwałtu.

Na pierwszy, krótki odpoczynek zdecydowali się na szczycie Rozsypańca.

- Chwilo trwaj, jesteś tak piękna! - zawołała Dalila, spoglądając dookoła. - Nie rozumiem, dlaczego ludzie chcą mieszkać w miastach. Przyjazd do Moczaryska to najlepsza decyzja, jaką w życiu podjęłam.

Mówiąc te słowa spojrzała Alfredowi prosto w oczy z takim uczuciem, że z wrażenia opuściła go odwaga i w jednej chwili wywietrzały z głowy wszystkie sprośne myśli. Czuł, że powinien coś zrobić, a przynajmniej coś powiedzieć, lecz zamiast tego wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Wreszcie wydukał:

- Też tak uważam.

- Byłabym zmartwiona, gdybyś myślał inaczej - ujęła go za rękę.

Siedzieli tak blisko siebie, że wystarczyło lekko się pochylić, aby pocałować ją w usta i Alfred postanowił wykorzystać okazję. Wtem dobiegły go jakieś głosy. Nadchodziła grupka turystów. Czar przysł.

- Mogę już dalej wędrować, Alfredzie - w głosie Dalili pobrzmiwała nutka rozczarowania.

Następny postój zrobili u stóp Krzemienia. W tym celu Alfred wśród gąszczy buczyny wypatrzył urokliwą polankę. Przepłoszyli gromadę wygrzewających się jaszczurek, rozścielili koc i wyłożyli przygotowane przez panią Stenię wiktuały.

Słońce zdążyło już minąć zenit, nagrzane runo pachniało ziołami i ziemią, nad trawą unosił się rój pasikoników i motyli, z zarośli dobiegał świergot ptactwa... Jedli pieczone udka kurczaków z chlebem i popijali gorącą czarną kawą z termosu.

- Nie rozumiem, jakim cudem stać firmę na taką troskę o pracowników - powiedziała niespodziewanie Dalila. - Wiesz, przeglądam rachunki i ze zdumieniem stwierdzam, że wszystkie wydatki są księgowane jako koszty.

- Mało wiem o rachunkowości.

- Chodzi o to, że racjonalna gospodarka każdego przedsiębiorstwa wymaga, aby jego wydatki były jak najbardziej uzasadnione. Tutaj wszystko idzie na żywioł.

Nagle Alfred przypomniał sobie Annę. „Niedawno umarła, a ja już smalę cholewki do kolejnej kobiety. - pomyślał i nagle, niczym błyskawica, przemknęła przez jego głowę myśl, że swoją osobą również na Dalilę ściąga śmiertelne niebezpieczeństwo. „Sam się zabezpieczyłem, ale w jej rzeczach może być pluskwa!” - to podejrzenie nakazało mu ostrożność.

- To nie nasze zmartwienie. Powiedziałbym nawet, że bardzo mnie to cieszy. Poza tym, szkoda takimi problemami psuć sobie relaks. Powiedz lepiej coś o sobie.

- Cóż, nic ciekawego. Jestem zwykłą ekonomistką.

- Spakowała resztki jedzenia w papier i schowała do plecaka, po czym ściągnęła bluzkę i spodnie. - Opalę się trochę, jestem biała jak personalna z młyna.

Nie miała biustonosza. Alfred czuł, że powinien iść w jej ślady, jednak powstrzymywała go opaska od Jaremy na lewym udzie i samokrytyczna świadomość, że należał do kategorii średniaków, którzy omijają siłownie. Opaskę mógłby niepostrzeżenie ściągnąć razem ze spodniami, lecz muskulaturą, co najwyżej, rozczarować. I tak strach przed zniechęceniem tej pięknej i dorodnej jak lato kobiety wzięła górę nad emocjami. Tymczasem Dalila, kładąc mu głowę na kolanach, wyciągnęła się przez całą szerokość koca. Teraz do przebogatych zapachów natury dołączył zapach stanowiący kompozycję drogich perfum i ponętnego ciała.

- Alfredku, zostaliśmy tutaj. Na poznawanie innych uroków Bieszczadów przyjdzie czas. Co ty na to?

- Oczywiście. Będzie tak, jak zechcesz.

Oto miał wszystko, o czym marzy mężczyzna: rozebraną kobietę i sprzyjające miłości warunki, ale miał również treść, która potrafi zniweczyć najlepszą okazję. Mimo to, próbując opanować drżenie rąk, zaczął gładzić Dalilę najpierw po szyi, potem po ramionach i piersiach.

Wtem dobiegł go dziwny, trudny do zinterpretowania odgłos. Dopiero po dłuższej chwili ustalił, że słyszy stukot końskich kopyt na kamienistym podłożu. Dalila, mrucząc z niezadowolenia, usiadła, założyła bluzkę i wciągnęła spodnie. Chwilę później w prześwitach zieleni dostrzegli dwóch umundurowanych strażników Bieszczadzkiego Parku Narodowego na koniach. Jechali wolno, rozmawiając między sobą półgłosem. Obok, z nosem przy ziemi, biegł ogromny owczarek niemiecki. Nagle pies skoczył pomiędzy zarośla i pognął w kierunku dwojga turystów odpoczywających na kocu. Dalila krzyknęła, zaś Alfred zerwał się na równe nogi gotów do walki na śmierć i życie.

- Major, Major! Wracaj! - zakrzyknęli strażnicy i poganiając konie podążyli śladem psa. - Major, leżeć!!!

Na ten rozkaz pies przywarł do ziemi, lecz merdaniem ogona sygnalizował przyjazne nastawienie. Strażnicy, jeden czerstwy czterdziestolatek, drugi najwyżej osiemnastoletni chłopiec, nie odrywając wzroku od Dalili zsiadli z koni.

- Przepraszamy - rzekł starszy. - Major tylko groźnie wygląda. Przykro mi, że panią przestraszył.

- Myślałam, że to wilk.

- Wilki tu też bywają, ale raczej nie atakują ludzi. Pozwolą państwo, że się przedstawimy. Jestem Jakub Gazda, a to mój pomocnik, Bartek Szamanek, jesteśmy strażnikami i patrolujemy rewir.

- Ja jestem Dalila, a to mój bliski przyjaciel, Alfred.

- Dalila, piękne biblijne imię - zaśmiał się Jakub i usiadł na trawie obok koca. Tymczasem Bartek, rzuciwszy wędzidła na najbliższy krzew olszyny, poszedł w ślady szefa. - I tak mieliśmy sobie zrobić przerwę w pracy. Pozwolą państwo, że przez chwilę dotrzemy do towarzystwa?

- Proszę bardzo. Może kawy? - pośpieszyła z propozycją Dalila.

- Chętnie.

Alfred był zadowolony, że tak łatwo nastąpiła się okazja ewentualnego zasięgnięcia języka w sprawie Jaremy u strażników, chociaż denerwujący był sposób, w jaki patrzyli oni na Dalilę. Rozmowa toczyła się gładko, panowie chętnie opowiadali o swojej pracy, udzielali rad, co warto zobaczyć w Parku, które szlaki są najatrakcyjniejsze, a jakie dostępne tylko za ich zezwoleniem. W tym momencie Alfred uznał, że nadarzyła się sposobność, aby skierować rozmowę na interesujący go temat.

- Czy turyści łamią przepisy i chodzą tam, gdzie nie wolno? - Pytanie brzmiało do bólu naiwnie, lecz żadne mądrzejsze nie przyszło mu do głowy.

- A jakże. Bo ludzie, proszę pana, są okropnie niezdyscyplinowani.

- Co wtedy z takimi turystami robicie?

- Wlepiamy mandaty i sprowadzamy na właściwy szlak.

- Często to się zdarza?

- W sezonie - owszem, poza sezonem sporadycznie. Ostatnim razem, jakieś dwa tygodnie temu, sześćoosobowa grupa nie dość, że weszła na Krzemień, to jeszcze rozpałała tam ognisko. A darli się, proszę pana, jak stado wyjców. Wszyscy byli tak pijani, że z trudem doprowadziliśmy ich do drogi, by oddać w ręce policji.

- A bywa, że ktoś po prostu zabłądzi?

- Oczywiście.

- Proszę opowiedzieć najciekawsze przypadki.

- W sierpniu w okolicy Szerokiego Wierchu²⁴ parka małolatów zeszła ze szlaku i zabłądziła. Goprowcy²⁵ szukali ich całą noc. I proszę sobie wyobrazić, ona na szpilkach, on w sandałach.

Dalej strażnicy opowiedzieli o wycieczce szkolnej bez przewodnika, która postanowiła skrócić sobie drogę idąc na przełaj z Tarnicy na Rozsypaniec, o pijaku leżącym z uporem maniaka na Bukowe Berdo, by uciąć sobie drzemkę w wysokiej trawie, o dziwaku, który zbudował sobie szałas pod Kopą Bukowską i chciał wieść żywot pustelnika oraz o całej masie poszukiwaczy przygód, amatorów życia na łonie natury i innych idiotów, którym w Bieszczadach do reszty odbijało.

²⁴Szeroki Wierch - 1315 m n.p.m.

²⁵GOPR - Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe.

- Bo, proszę państwa, Bieszczady mają w sobie coś takiego, że zawsze chce się tu wrócić i zostać na stałe.

- O tak, ma pan rację. Bieszczady to zaczarowane miejsce - przyznała Dalila.

- A kiedy trafił się wam ostatni wariat? - spytał Alfred, by nie dopuścić do zmiany tematu.

- Panie, oni wszyscy mają nierówno pod sufitem, ale z takim, który w sensie medycznym mógłby być zdiagnozowany jako czubek, ostatnim razem mieliśmy do czynienia w maju. Uciekł z wariatkowa, wygrzebał sobie dziurę w ziemi, przykrył gałęziami i tak mieszkał. Chyba dość długo, bo gdy go znaleźliśmy, był brudny, śmierdzący i zarośnięty. A pizama, proszę państwa, była cała w strzępach.

Pan Jakub jeszcze godzinę opowiadał dziwne historie, jakie zdarzyły się w jego rewirze, lecz ani słowem nie wspominał o błąkającym się niedawno mężczyźnie, którym

mógłby być Jarema. „A przecież - myślał Alfred - takie wydarzenie nie mogło przejść niezauważone, tym bardziej, że była ponoć wzywana karetka pogotowia.”.

ROZDZIAŁ XVII

Do gabinetu wtoczył się Kuba.

- Nie przeszkadzam, szefie?

- Ależ skąd.

- Masz dla mnie jakieś nowe zadanie?

- Na razie nie. Łykniemy sobie po jednym?

- Jasne. Jakie wrażenia po wczorajszej wycieczce?

- Super.

- Szczęściarz z ciebie. Stawiam orzechy przeciwko brylantom, że wszyscy tutaj si faceci zielenieją z zazdrości. No, no, nie przypuszczałem, że z ciebie taki Casanova.

- Sam jestem zdziwiony

Usłyszeli pukanie i zanim zdążyli powiedzieć „proszę”, do gabinetu weszła Dalila.

Miała na sobie granatową spódniczkę odsłaniającą kolana i różową bluzkę z krótkimi rękawami. Alfred zerwał się na równe nogi.

- Przepraszam, kochanie, przechodziłam i postanowiłam zobaczyć, jak pracujesz - pocałowała go w policzek.

- Miło mi. Usiądź - wskazał jej swój fotel. - Właśnie robię kawę. Napijesz się z nami?

- Chętnie. Co u ciebie, Kubusiu?

- Szukam zajęcia, ale z jakiegoś powodu szef mnie oszczędza.

- I tak ma być. O pracowników należy dbać.

Obecność Dalili sprawiła, że atmosfera stała się jakaś taka odświętna, jakby wraz z nią gabinet pojaśniał, a kolory nabrały intensywności. Alfredowi odeszła ochota do pracy i nabrał chęci na kolejną wycieczkę. Zapragnął, aby ta fascynująca kobieta znów się rozebrała i położyła głowę na jego kolanach. Dalila, jakby czytając w jego myślach, powiedziała:

- Alfredku, zrób sobie fajrant. Chociaż na dwie godziny. Szkoda marnować taką cudowną pogodę.

- Oczywiście.

- Kubusiu, pójdziesz z nami?

- Raczej nie - wydukał zakłopotany

- Proszę, chodź.

- Skoro tak ładnie prosisz...

Zjechali windą na parter. Alfred pobiegł do domu po koc, a tymczasem Dalila z Kubą ruszyli w kierunku lądowiska.

* * *

Tego dnia na pomysł przerwy w pracy wpadło więcej osób. Borys Akerman i Alicja Fiszbach w kolorowych opalaczach zażywali kąpieli słonecznej na leżakach, zaś rozebrany do pasa Piotr Jaków pod swoją ulubioną brzozą. Ten na widok Dalili i Kuby zaczął machać rękami dając znaki, żeby podeszli. Gdy chwilę później Alfred zjawił się z kocem, Dalila siedziała już obok Jakowa, on zaś, mocno gestykulując, rozprawił o hipotezie Riemanna²⁶.

- Próbuję wykreślić graficzną funkcję i jako krzywą zmienną opisać ją funkcją. Rozumiesz, Dalilo?

- Niezupełnie.

- To bajecznie proste. Nikt przecież nie kwestionuje wzoru na spiralę czy parabolę. Gdyby takim samym wzorem opisać hipotezę, jaką wysnuł Riemann, byłby to dowód nie do obalenia, a ja mógłbym wygrać milion dolarów i wpisać się do annałów wielkich matematyków.

Jaków wychodził z siebie, żeby zainteresować Dalilę swoimi wywodami, lecz efekt jego starań był mizerny, wyraźnie ją nudził. Cieszyło to Alfreda, lecz najbardziej humor poprawiała mu rachityczna klatka piersiowa matematyka.

- A tymczasem, zanim rzucimy się z gratulacjami, przenieśmy się z naszymi kocami w inne miejsce. Tutaj jest mrowisko - zaproponowała Dalila.

W nowym miejscu Piotr Jaków jakby stracił serce do swoich naukowych wynurzeń. Przysłaniając powieki listkami babki, położył się na wznak, Kuba, mrużąc oczy wystawił twarz ku słońcu, zaś Dalila objęła Alfreda w pasie i położyła głowę na jego ramieniu.

- Piotrze, czy są jakieś wieści od Jaremy? - Jakiś niekontrolowany impuls kazał Alfredowi zadać to pytanie.

- Podobno jest w szpitalu. Gamonie z nas. Jako sąsiedzi powinniśmy go odwiedzić.

- No właśnie.

- Pogadam z Pijarem.

Znów zapadło milczenie. „Będzie to ostatni sprawdzian prawdziwości dyrektora. A swoją drogą, co się mogło stać z Jaremą? Pójdę dziś w nocy do jego kryjówki i sprawdzę, czy zostawił jakiś ślad” - postanowił Alfred.

26 Hipoteza Riemanna - dotyczy częstotliwości występowania liczb pierwszych.

* * *

Po kolacji Alfred odprowadził Dalilę do domu, posiedział u niej jeszcze dwie godziny i pożegnał się pod pozorem pilnej pracy. Po drodze poszedł do siebie na górę po latarkę, potem wstąpił do laboratorium, zapalił w swoim gabinecie światło, po czym wyszedł na zewnątrz.

Noc była chłodna i ciemna. Wąski sierp księżyca dawał niewiele światła, więc Alfred kierował się według drzew, których sylwetki były ciemniejsze od mroku nocy. Prawie bezbłędnie trafił do właściwej czerpni. Po metalowych klamrach zszedł do tunelu i dopiero wtedy zapalił latarkę. Tak jak niegdyś, posadzkę zaścielały zeschnięte liście i patyki. Z różnorodności plam na ścianach Alfred bez trudu wyłonił pionową smugę w rdzawym kolorze. Nieco dalej ujrzał następną i jeszcze następną, i chociaż każda miała inny kształt, wiedział, że są drogowskazem. Czujnie nadsluchując, ostrożnie posuwał się wzdłuż większych i mniejszych odnóg korytarza, przechodził przez jakieś zardzewiałe drzwi, przeciskał się przez okrągłe otwory w ścianach i studzienki prowadzące na inne poziomy. Kiedy wreszcie po kwadransie dotarł do kryjówki Jaremy, zamarł z przerażenia.

Wcześniej nie było tu porządku, teraz bałagan był wprost nieopisany a rozpruty materac i śpiwór wskazywały, że ktoś pomieszczenie dokładnie przeszukał i z pewnością zabrał laptop i segregatory. Ale prawdziwie makabryczny widok stanowiły wszechobecne plamy krwi o różnorodnych kształtach i wielkości: na posadzce niby wyschnięte kałuże, na ścianach i suficie w formie kropli oraz smug. Krwią zbryzgane były puszki, butelki, klocek brzozy porzucane papiery szmaty i buty. Krew była wszędzie. Po dokładniejszych oględzinach Alfred odkrył w jednym z kątów krwawy odcisk dłoni... Nie miał wątpliwości, że zostawił go Jarema. Cofając się ku wyjściu, już w korytarzu zauważył, przeoczone wcześniej, coraz słabsze, liczne ślady butów. Te niewątpliwie należały do oprawców.

ROZDZIAŁ XVIII

Gdy Alfred wrócił do swojego gabinetu, wszystko się w nim trzęsło. Tysiące myśli przychodziły mu do głowy, a każda następna coraz straszniejsza. Jedno nie ulegało wątpliwości: Jarema zginął, a przed śmiercią był torturowany. Zachodził w głowę, kto mógł dokonać tak okrutnego czynu oraz co oprawcy zdołali od Jaremy wyciągnąć. „Czy zdradził efekty badań? Czy przyznał się do kontaktów ze mną? Pogroził mnie, czy zabrał tę tajemnicę do grobu?” - zachodził w głowę, pijąc czarną jak smoła kawę. Wtem opaska z przenośną pamięcią, którą nosił na nodze, wydała mu się niebywałym zagrożeniem. Musiał ją ukryć.

W tym momencie usłyszał pukanie do drzwi i zanim zdążył powiedzieć „proszę”, weszła Dalila.

- Nie przesadzasz, kochanie? - spytała. - O! Jeszcze kawa jak szatan!

Nie wyglądała, jakby dopiero przed chwilą opuściła łóżko. Miała na sobie spódnicę z rozcięciem na udzie, purpurową bluzkę z głębokim dekoltem i luźno narzucony sweter.

- Pewne problemy najlepiej rozwiązuje się nocą - powiedział wstając.

- Noc najlepiej spędzić w łóżku przychylniej kobiety - usiadła na brzegu biurka, zakładając nogę na nogę.

- Racja.

- Posłuchaj, Alfredzie, nurtuje mnie jedno pytanie. Powiedz, czy ci na mnie zależy?

- Oczywiście.

- Widzę, że należysz do tych facetów, którym nie staje bez ślubu. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko złamać tradycję i poprosić cię o rękę. Co ty na to? Mam uklęknąć?

- Ależ Dalilo! Naprawdę chcesz się ze mną związać?

- Na zawsze. I wolałabym nie dostać kosza.

- Z pewnością nie dostaniesz.

- Więc jak, kocurku, idziemy do ciebie czy do mnie?

- Wybieraj!

- Do mnie. A jutro do księdza dać na zapowiedzi.

Alfred rozmawiał z Dalilą, lecz równoległą ścieżką biegły jego niespokojne myśli. Wciąż miał pod powiekami przerażające obrazy z miejsca zbrodni, a w głowie pytanie, do kogo należały krwawe ślady butów pozostawione w tunelach i co wyznał oprawcom torturowany Jarema.

* * *

Alfred oszołomiony otworzył oczy. Przez uchylone okno wpadało świeże, przesycone zapachem złotej jesieni powietrze.

- Jak się czujesz, kochanie? - z kuchni wyszła Dalila z dwiema filiżankami kawy na tacy. Miała na sobie purpurowy szlafrok luźno związany w talii czarnym paskiem.

- Doskonale. - Spojrzał w kierunku krzesła, na które minionej nocy rzucił swoje ubranie. Nic nie wskazywało, że ktoś je przeszukiwał.

- Pamiętasz, co mi wczoraj obiecałeś?

- Czy wyglądam na zapominalskiego?

- Z facetami różnie bywa - pocałowała go w policzek. - Kochanie, zrobmy sobie dzisiaj wolne. Najpierw pójdziemy dać na zapowiedzi, później wyskoczmy gdzieś na łono natury. Tylko proszę, nie mów, że musisz iść do laboratorium. Przecież od tego masz pomocników, aby za ciebie pracowali. Nawet Kuba narzekał, że zbyt go oszczędzasz. Bierz przykład z Akermana.

- Lubię swoją pracę.

- Oj, kochanie, bo będę zazdrosna. Od tej chwili mam być numerem jeden w twoim życiu. Tak jak ty jesteś w moim - dodała ciszej i delikatnie odgarnęła włosy z jego czoła.

- Myślisz, że u tutejszego księdza załatwimy wszystkie formalności? Chyba powinniśmy udać się do parafii w miejscu zamieszkania jednego z nas.

- Przecież oboje mieszkamy w Moczarysku. Zresztą, zapytam. Przyznam szczerze, nie grzeszę pobożnością. Jestem ochrzczona, byłam u komunii, bierzmowania i nic więcej. Powiem ci nawet, że coraz mocniej pociąga mnie agnostycyzm. Poza tym nigdy dotąd nie wychodziłam za mąż.

- Więc pora zacząć. Najpierw kupię pierścionek zaręczynowy, no i rzecz jasna obrączki - powiedział w nadziei, że odsunie wizytę u księdza do czasu, aż ochłonie i przemyśli sprawę. Wszystkie te zdarzenia, które spadły na niego od wczorajszego dnia, wzmogły jego poczucie zagrożenia i wystrzyły podejrzliwość.

- Boże, jeszcze do tego jesteś taki romantyczny. Cudownie.

Dalila zaczęła przeglądać szafę w poszukiwaniu odpowiedniego ubrania, a tymczasem gdzieś z podświadomości Alfreda, niczym robaki z dorodnego jabłka, wychynęły wredne pytania: „Dlaczego ta zjawiskowo piękna istota zwróciła uwagę właśnie na mnie? Dlaczego tak szybko dąży do ślubu? Nie jestem facetem, dla którego kobiety tracą głowę od pierwszego wejrzenia.” - Wtem myśl nagła jak błyskawica poraziła jego mózg: „Dalila! Kochanka biblijnego Samsona, która wydarła mu i zdradziła Filistynom sekret jego siły!”

- Kochanie, w której będę ci się bardziej podobać? - podniosła do góry dwa wieszaki z sukienkami.

Alfred obserwował ją spod wpół przymkniętych powiek. Wyglądała tak oszalamiająco uroczo, tak czysto, że Alfredowi zrobiło się wstyd za niedawne podejrzenia. „Dalila jest niewinna, dopóki nie uzyskam stuprocentowego dowodu, że jest inaczej” - pomyślał, a głośno powiedział:

- Więc pora zacząć. Najpierw kupię pierścionek zaręczynowy, no i rzecz jasna obrączki - powiedział w nadziei, że odsunie wizytę u księdza do czasu, aż ochłonie i przemyśli sprawę. Wszystkie te zdarzenia, które spadły na niego od wczorajszego dnia, wzmogły jego poczucie zagrożenia i wyostrzyły podejrzliwość.

- Boże, jeszcze do tego jesteś taki romantyczny. Cudownie.

Dalila zaczęła przeglądać szafę w poszukiwaniu odpowiedniego ubrania, a tymczasem gdzieś z podświadomości Alfreda, niczym robaki z dorodnego jabłka, wychynęły wredne pytania: „Dlaczego ta zjawiskowo piękna istota zwróciła uwagę właśnie na mnie? Dlaczego tak szybko dąży do ślubu? Nie jestem facetem, dla którego kobiety tracą głowę od pierwszego wejrzenia.” - Wtem myśl nagła jak błyskawica poraziła jego mózg: „Dalila! Kochanka biblijnego Samsona, która wydarła mu i zdradziła Filistynom sekret jego siły!”.

- Kochanie, w której będę ci się bardziej podobać? - podniosła do góry dwa wieszaki z sukienkami.

Alfred obserwował ją spod wpół przymkniętych powiek. Wyglądała tak oszalamiająco uroczo, tak czysto, że Alfredowi zrobiło się wstyd za niedawne podejrzenia. „Dalila jest niewinna, dopóki nie uzyskam stuprocentowego dowodu, że jest inaczej” - pomyślał, a głośno powiedział:

- Cokolwiek na siebie włożysz, będę zachwycony

W tym momencie zadzwonił telefon. Dalila podniosła słuchawkę i po kilku sekundach ją odłożyła.

- Przykro mi, kochanie. Z dzisiejszej naszej romantycznej wyprawy nici. Mam pilną robotę do wykonania.

- Więc przynajmniej zjemy razem śniadanie.

* * *

W stołówce zastali Jakowa i Akermana rozmawiających o czymś zawzięcie. Na ich widok umilkli i zaprosili gestem do stolika.

- Nic tak nie poprawia apetytu jak piękna kobieta. Chyba poproszę panią Stenię o dokładkę - zawołał Akerman z niezwykłym u niego ożywieniem.

- A co dobrego serwuje dzisiaj kuchnia? - zainteresowała się Dalila.

- Omlet po japońsku z jakąś polewą z sake.

- Pewnie tuczy?

- Jak wszystko, co dobre. Jednak gorąco polecam.

Złożyli zamówienie. Dla Alfreda chwila ciszy, która zapadła, była doskonałą okazją, żeby zmienić temat.

- I co, Piotrze, czy wiadomo już, w którym szpitalu leży Jarema?

- Dyrektor Pijar powiedział, że Jaremę zabrała rodzina i na razie nie ma od nich żadnych wiadomości, ale gdy już czegoś się dowie, to nas powiadomi.

- Dzięki. - Alfred pochylił głowę nad talerzem, który właśnie postawiła przed nim kelnerka, żeby ukryć zmieszanie. „Jaków albo jest w zмовie z oprawcami, albo tkwi w nieświadomości. Jak to możliwe? Akerman również nie sprawiał wrażenia, że coś ukrywa. Czy facet, który wiązał z Jaremą wielkie, naukowe nadzieje może być tak ślepy?”. Do końca posiłku nie uczestniczył w rozmowie, a temat dotyczył Jaremy Jaków na zmianę z Akermanem opowiadali Dalili o genialnym fizyku, który zwariował. Słuchał w nadziei, że usłyszy coś nowego, lecz padały jedynie dobrze mu znane informacje. Nawet ta, że w stanie skrajnego otumanienia poszedł w góry i błądził przez kilka dni, zanim go znaleziono. Odetchnął z ulgą, gdy Dalila przemilczała fakt, że na temat wariatów błąkających się po Bieszczadach rozmawiali ze strażnikami Parku i że żaden z nich nie wspomniał o Jaremie.

Po śniadaniu Dalila wraz z Akermanem poszła w kierunku laboratorium biologicznego, Jaków pod swoją ulubioną brzozę, a Alfred postanowił znaleźć bezpieczną kryjówkę dla opaski, która żywym ogniem paliła go w udo.

- Nad czym pan tak rozmyśla, doktorze? - zagadnął go dyrektor Pijar, który wchodził akurat do budynku.

- Chciałbym, jeśli to możliwe, na kilka godzin pojechać do Rzeszowa - odpowiedział machinalnie Alfred.

- Oczywiście, ma pan samochód do dyspozycji. Przy okazji zapytam, jak idą pańskie badania? Nie ponaglamy naszych uczonych, jednak ciąży na mnie obowiązek informowania centrali o efektach. Byłoby mi miło, gdybym mógł się pochwalić jakimś konkretem.

- Moje badania są czasochłonne. Na wyniki trzeba jeszcze poczekać.

- Ale jakieś wnioski pewnie pan już ma?

- A tak. Na razie potwierdziłem swoją teorię, teraz poszukuję sposobu, żeby ją udowodnić i wskazać sposoby wykorzystania.

- Czyli pierwiastek zero jest pewnikiem?

- Jak najbardziej.

- Ma pan jakiś plan działania?

- Próbuję znaleźć formułę, która... która... - Alfred gorączkowo szukał odpowiednich słów, które byłyby właściwe, a niczego by nie wyjawiały.

- Która pomogłaby przeprowadzać reakcje z pierwiastkiem zero?

- Doskonale pan to ujął. Mam nadzieję, że jestem na dobrej drodze.

- Ja też. Życzę powodzenia. Kiedy podstawić panu samochód?

- Za godzinę. Jeśli można, pod dom.

Alfred z bijącym sercem wracał do siebie. Pytania dyrektora Pijara o efekty jego pracy, chociaż niewinne, wprawiły go w przerażenie. Nie mógł pozbyć się uczucia, że wokół niego zaciska się niewidzialna pętla. Że gdzieś w pobliżu czyha ktoś, kto już go osądził i wysłał posłańców, aby wykonali wyrok.

Jego strach wzrósł, gdy stwierdził brak papierka w szczelinie drzwi. „Ktoś przeszukiwał mój pokój! Kiedy? Ciekawe, czego szukał?”. Wstępne oględziny pokoju wskazywały, że wszystko leży na swoim miejscu i Alfred zaczął przypuszczać, że sam zapomniał o papierku. Pamiętał dobrze jak wchodził do mieszkania, jak szukał latarki, jak wychodził... A papierka nie był pewien.

Alfred sprawdził portfel z kartami i dokumentami, włączył laptopa, poszukał wolnej płyty CD i, chociaż to było ryzykowne, przegrał na nią wszystkie wyniki badań. Gdy wyszedł na zewnątrz, czekał już na niego Adaś.

- No to gdzie się pan wybiera tym razem?

- Do Rzeszowa na zakupy.

- Bez pięknej towarzyszki?

- Bez. Ale nie ze względów oszczędnościowych.

- Rozumiem. Moja dżierlatka też lubi prezenty.

Gdy ruszyli, Alfred uprzytomnił sobie, że zarówno pierścionki jak i obrączki mają swoją miarę, że powinien mieć jakiś wzorzec.

- Zapomniałem o czymś, panie Adamie. Proszę zawrócić i podjechać pod laboratorium biologiczne.

Chwilę później ruszył na poszukiwanie Dalili. Ledwie przekroczył próg, usłyszał jej podniesiony głos dobiegający z pomieszczenia, w którym stały klatki ze zwierzętami. Przystanął. Dalila mówiła szybko w jakimś niezrozumiałym języku. Dopiero po chwili z pojedynczych słów rozpoznał łacinę, lecz nie zdołał uchwycić sensu zdań. Poczul tkliwą

dumę z lingwistycznych uzdolnień ukochanej kobiety już miał zdradzić swoją obecność, gdy mocnym, twardym barytonem odezwał się jej rozmówca.

Alfred wyjrzał ostrożnie zza drzwi i ze zdumieniem stwierdził, że jego narzeczona rozmawia z... panem Franciszkiem Janeczko. Ten ponoć głuchy i niedowidzący staruszek mówił jak ktoś nawykły do rozkazywania, ktoś, kto bezwzględnie narzuca swoją wolę i paraliżuje najmniejszą myśl o oporze. Był to głos budzący strach.

Alfredem zaczęły miotać sprzeczne uczucia. To odnosił wrażenie, że Dalila jest w niebezpieczeństwie i powinien biec jej na pomoc, to podejrzewał, że znajomość tych dwojga zawiera w sobie jakąś tajemnicę, jednak najmocniejsza była siła chęci, żeby nadal stać w nadziei usłyszenia czegoś, co rozwieje jego wątpliwości. Kiedy kolejny raz głos zabrała Dalila, przypominała uczennicę tłumaczącą się przed surowym profesorem. Nie miał już wątpliwości. Ani pomocnik Janeczko, ani Dalila nie byli tymi, za których chcieli uchodzić.

Alfred wycofał się bezszelestnie i wsiadł do samochodu. Gdy minęli szlaban przy bramie, odetchnął z ulgą.

Dwugodzinna jazda do Rzeszowa umożliwiła Alfredowi dopracowanie planu, który określił zaledwie w zarysie. Wiedział, że każda bankowa operacja to pozostawiony za sobą trop, a on musiał być gotowy, żeby zniknąć bez śladu. Tak jak ostatnim razem wysiadł na placu Wolności i na chybił trafił ruszył przed siebie. Wstąpił do pierwszego napotkanego po drodze sklepu ze sprzętem komputerowym, kupił trzy opakowania płyt CD oraz pamięć przenośną typu PenDrive, po czym odnalazł drogę do Banku Vatica, w którym miał założone konto. Kwota, jaka na nim zdążyła urosnąć, przyprawiła go o zawrót głowy. Nigdy dotąd nie był tak bogaty. Najpierw uregulował dług, w jaki wkręciła go Irena, a następnie kazał sobie wypłacić trzydzieści tysięcy w banknotach dwustuzłotowych. Pieniądze owinął w reklamówkę, wezwał przez komórkę taksówkę i kierując się stereotypem o niemieckiej skrupulatności, która dawała szansę na lepszą ochronę jego tajemnic, pojechał do Deutsche Banku. Uprzejma panienska w okienku kasowym poinformowała go, gdzie powinien się udać, żeby wynająć kasetę bankową o średnich rozmiarach. Chwilę później wypełnił odpowiednie formularze, wniósł opłatę za rok z góry, po czym wraz z pracownikiem zszedł do podziemi. Minęli kilkoro zakratowanych drzwi i weszli do skarbcza chronionego niemal półmetrowej grubości stalowymi drzwiami. Pośrodku stał prosty stół, ścianę po lewej stronie zasłaniała kotara z grubej, zielonej tkaniny ścianę po prawej i na wprost wejścia wypełniały ponumerowane metalowe drzwiczki.

- Proszę, skrytka 223 należy do pana, panie Mortus. Korzystanie ze skrytki jest niezwykle proste - nie przestając mówić bankowiec wysunął ze ściany pojemnik ze stalowej

blachy i postawił na stole. - Skrytkę zabezpieczają dwa współzależne zamki typu bankowego. Zapewniam pana, że pasują do niego wyłącznie dwa klucze. Jeden dostanie pan, drugi pozostanie w posiadaniu naszego oddziału. Do otworzenia i zamknięcia skrytki są więc potrzebne dwie osoby, czyli pan jako właściciel depozytu i pracownik banku. Żadna osoba bez pańskiego upoważnienia nie ma szans do skrytki zajrzeć. Pomieszczenie jest cały czas monitorowane, żeby znaleźć się poza zasięgiem kamery, należy wejść za kotarę. Teraz wyjdę, a gdy pan skończy załatwiać to, co ma do załatwienia, proszę wcisnąć ten czerwony guzik przy drzwiach.

Alfred pogratulował sobie pomysłu. Za relatywnie niską opłatę miał zagwarantowany pewny i bezpieczny schowek. Wszedł za kotarę, zdjął z nogi opaskę Jaremy i wraz z dyskietką, swoimi badaniami i pieniędzmi umieścił w pojemniku. W ostatniej chwili dołożył jeszcze paszport i prawo jazdy. Pierwszy punkt planu miał już za sobą.

Gdy wyszedł na ulicę, poczuł ulgę. Wstąpił do pobliskiej apteki, kupił rolkę mocnego plastra i ruszył w miasto. Przeszedł obok gmachu Urzędu Wojewódzkiego, przeciął na ukos rozległy parking pomiędzy urzędem a monumentalnym pomnikiem w kształcie laurowego liścia, minął dwa kościoły i dotarł do... reprezentacyjnej promenady spacerowej rzeszowian. Deptak z racji licznych sklepów, banków, salonów urody, cukierni, lodziarni, pubów, barów i kin stanowił centrum handlowe śródmieścia.

Alfred skierował swe kroki do banku PKO, którego barwną reklamę dostrzegł u wylotu ulicy. Tu, po przejściu identycznej procedury jak kwadrans wcześniej, pozostała mu do zapamiętania liczba 408. Za tylną ścianką kasety przykleił plastrem klucz od pierwszej skrytki, a do środka włożył dwie paczki kupionych niedawno płyt, które opisał jakimiś przypadkowymi symbolami.

* * *

Alfred wszedł do pierwszej mijanej kawiarni, usiadł przy wolnym akurat stoliku przy oknie i zamówił kawę. Pół godziny później, regulując rachunek, poprosił kelnerkę o wskazanie drogi do poczty głównej.

Poczta znajdowała się zaledwie sto metrów od kawiarni. Ten punkt planu wydawał mu się najprostszy jednak nieoczekiwanie tu napotkał pierwszą trudność. W najlepszym przypadku rezerwacja skrytki pocztowej mogła być zrealizowana z jednodniowym wyprzedzeniem.

- Proszę pani, już dzisiaj wyjeżdżam do Afryki na pół roku i bardzo mi zależy, żeby moja korespondencja czekała na mnie bezpiecznie właśnie tutaj - skłamał gładko. - Jestem gotów zapłacić podwójnie, a nawet potrójnie za rok z góry

- No nie wiem. O tym może zdecydować tylko kierownik.

- Więc proszę o kontakt z kierownikiem.

Kierownik wysłuchał cierpliwie niesamowitej historii zmyślonej na poczekaniu przez Alfreda i... zrobił dla niego wyjątek. Po załatwieniu formalności przydzielił mu skrytkę o numerze 92.

- Gorąco panu dziękuję i przyrzekam, że jeśli nie zjedzą mnie kanibale, przywiozę panu z Afryki oryginalną murzyńską maskę.

- Och, dziękuję, dziękuję i życzę powodzenia.

Tuż po rozmowie z kierownikiem poczty Alfred kupił dwie koperty. Do pierwszej włożył wszystkie umowy i dowody wpłat, i zaadresował na swoją skrytkę, do drugiej długi list do rodziców. Napisał w nim, że ma się dobrze, że wyjeżdża na dłużej i że przez jakiś czas nie będzie do nich pisał. Na oba listy nakleił znaczki i wrzucił do skrzynki przed pocztą. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piętnasta. Pozostało mu pół godziny do spotkania z Adasiem. Od przypadkowego przechodnia dowiedział się, jak dojść do najbliższego jubilera. Bez większych emocji kupił drogi pierścionek z brylantem i eleganckie czerwone etui w kształcie serca. Z obrączek na razie zrezygnował, aby mieć pretekst do kolejnego wyjazdu na zakupy.

„Oglądając filmy lub czytając książki sensacyjne odnosi się wrażenie, że problemy najskuteczniej można rozwiązać z pomocą pistoletu lub walenia wroga z buta w mordę. Tymczasem ja działam na poziomie uczniaka, który chce wyprowadzić w pole belfra. Ciekawe, która wersja jest bliższa prawdy?” - zastanawiał się, czekając w umówionym miejscu na Adasia.

ROZDZIAŁ XIX

Alfred wręczył Dalili zaręczynowy pierścionek bardzo uroczyście podczas romantycznej kolacji przy świecach. Kolację urządził w swoim mieszkaniu z wydatną pomocą pani Steni. Ani romantyzm chwili, ani wdzięk i zalotność narzeczonej nie zdołały zdusić w nim kielkującego ziarna podejrzliwości. Obserwował badawczo jej oczy, próbując dostrzec w nich nieszczerłość, wsłuchiwał się w głos, aby wyłapać fałszywe nuty, lustrował twarz w poszukiwaniu oznak uczuć innych niż miłość i bezgraniczne uwielbienie jego osoby. Alfredowi chwilami zdarzało się powątpiewać, czy scena w pawilonie biologicznym była prawdziwa. Był skłonny uwierzyć, że uległ iluzji, że źle zinterpretował to, co usłyszał, bo przecież tak zjawiskowo piękna kobieta nie mogła być skażona złem.

- Kochanie, kiedy wreszcie skończysz te swoje badania? - spytała niespodziewanie.

- Dlaczego pytasz?

- Chciałabym, żebyśmy pojechali w podróż poślubną dookoła świata. No jak, mój kocurku?

- Trudno powiedzieć. Myślę, że już wkrótce.

- Do wakacji?

- Może.

- Och, proszę, postaraj się.

Dalila w najbliższym czasie nie powróciła do tego tematu, natomiast dużo mówiła o ślubie. Stanowczość, z jaką parla do zalegalizowania ich związku, coraz mocniej wzbudzała w Alfredzie opór.

- Daj spokój, Dalilo, przecież to tylko formalność - wykręcał się.

- Dla kobiety, która kocha, taka formalność jest najważniejsza w życiu.

- Wiem, jednak w związku ze ślubem trzeba załatwić całą masę pracochłonnych i niepotrzebnych spraw.

- Co? Ślub ze mną to strata czasu?

Po tym kiksie Alfredowi pozostało tylko dać się zaprowadzić do księdza Potępskiego.

- No proszę, proszę, co ja widzę! Gdzie diabeł nie może, tam kobietę wyśle! - zawołał jowialnie kapłan, otwierając im drzwi.

- Ignoti nulla cupido²⁷ - powiedział Alfred ze śmiechem, pilnie obserwując Dalilę. Ta uniosła lekko brwi, jakby nie rozumiała znaczenia tych słów.

- Racja, racja, inaczej płonna byłaby nadzieja, panie Alfredzie, że pan do mnie zajdzie. Chociażby na pogawędkę. Dobrze, że Bóg zesłał do naszego Moczarzyska tę piękną niewiastę. Proszę do saloniku.

Salonik urządzony był ze smakiem biedermeierowskimi meblami, które wysoką jakością wykonania, funkcjonalnością, a przy tym szlachetną formą nadawały wnętrzu elegancji i przytulności. Dodatkowy element stanowił kominek, w którym, mimo dość wysokiej temperatury na zewnątrz, płonął ogień. Zasiedli na wygodnych krzesłach wokół masywnego stołu przykrytego koronkowym obrusem.

- Czego się napijecie? - ksiądz otworzył barek, odsłaniając baterię różnorodnych alkoholi. - Polecam nalewkę z miodem lipowogryczanym, sporządzoną według dziewiętnastowiecznej receptury

- O tak, brzmi kusząco - zawołała Dalila.

27 Ignoti nulla cupido (łac.) - nieznanne nie nęci; nie pragnie się czegoś, o czym się nie wie, że istnieje (Owidiusz Sztuka kochania).

Ksiądz postawił na stole wytworną karafkę, zamkniętą dębowym korkiem w kształcie kuli. Nalewka miała piękną, bursztynową barwę i miodowy smak, działała rozgrzewająco oraz poprawiała humor. Po grzecznościowej wymianie uwag na temat walorów trunku, pogody i posunięć rządu w zakresie podatków, przystąpiono wreszcie do omawiania właściwego celu wizyty

- Bardzo się cieszę, że zdecydowaliście się przyjąć sakrament małżeństwa. W dzisiejszych czasach wielu chrześcijan zapomina, że małżeństwo nie jest instytucją czysto ludzką, ale pochodzi ono od Boga, który stwarza człowieka z miłości i do miłości. Szczególnie cieszy mnie pana decyzja, panie Alfredzie.

- Czyżby zgłaszał ksiądz jakieś zastrzeżenia do mojego narzeczonego?

- Ależ skąd. Moim zdaniem nawet ateści mają świadomość, że nasze istnienie nie jest obojętne dla wszechświata. Mamy zakodowany w sobie instynkt, dzięki któremu odkryliśmy Amerykę, i dzięki temu instynktowi przychodzi czas na odkrycie Boga. Każdy w swoim życiu miewa chwile zwątpienia, jednak najważniejsze jest powrócić z fałszywej drogi na łono Kościoła. Spowiedź działa oczyszczająco.

- Nie mam zwyczaju donosić. Szczególnie na siebie... - Alfred nadał swoim słowom żartobliwy ton.

Nawet jako dziecko czuł niechęć do powierzenia obcemu człowiekowi swoich grzesznych sekretów. Jakby tego było mało, niektórych nigdy nie ujawnił, a nawet czerpał z nich zadowolenie.

- Mój narzeczony żartuje. Pragniemy wziąć najprawdziwszy chrześcijański ślub, jednak nie wiemy czy byłoby to możliwe tutaj - weszła mu w słowo Dalila.

- Oczywiście. Należy tylko załatwić przy tym kilka formalności, lecz chętnie pomogę - pośpieszył z deklaracjami ksiądz. - Są jednak sprawy, które musicie załatwić sami.

- Jakie?

- Świadeństwo chrztu, świadeństwo ukończenia nauki religii. Jest ogólnie przyjętą zasadą, że sakrament małżeństwa przyjmuje się w parafii narzeczonej lub narzeczonego, jednak obiecuje uzyskać licencję na ślub w naszej kaplicy. Zobowiązani jesteście również do uczestniczenia w przygotowaniu do małżeństwa. Te rozmowy również biorę na siebie.

Alfred słuchając słów księdza nagle nabrał przekonania, że bezwolnie ulega manipulacji. Dalila wzbudzała w nim pożądanie, lecz w głębi jego świadomości coś protestowało przeciw małżeństwu z nią, coś mówiło, że jest to kolejny etap osaczania go. Nie wiedział, czy w tym spisku bierze udział ksiądz Potępski, ale wątpił, czy należy mu ufać.

Kiedy godzinę później wracali do domu, Alfred miał w głowie taki zamęt, że bez uporządkowania myśli groziła mu utrata kontroli nad sobą.

- Kochanie, wpadnę jeszcze na chwilę do laboratorium - powiedział, gdy już otworzył drzwi wejściowe do swojego mieszkania.

- Znowu? Przesadzasz, Alfredzie. Tylko nie siedź tam za długo.

- Oczywiście.

Ruszył w kierunku pawilonu chemii. Mimo późnej pory w niektórych oknach budynku dyrekcji oraz w laboratorium biologicznym nadal paliły się światła. Wszedł do pokoju wagowego i zamknął za sobą drzwi. Starannie unikał widoku odbarwionych i strzępiastych fragmentów szczurzych resztek. Strzałka odchyliła się cztery kreski w lewo. O dwie więcej, niż w przypadku szczura zanurzonego w spirytusie. „W środowisku beztlenowym ubytek pierwiastka zero jest większy” - pomyślał automatycznie, ale zaraz jego uwagę pochłonęły własne problemy. Wtem poczuł potrzebę rozładowania wewnętrznego napięcia, a do tego najskuteczniejszy był alkohol. Przeszedł do swojego gabinetu, przyrządził sobie drinka, usiadł przy biurku i pogrążył się w rozmyślaniach.

„Kto jest kim i kto stanowi dla mnie największe zagrożenie? Czy ten niby nieszkodliwy staruszek Janeczko przemawiający głosem inkwizytora? Dalila ze swoimi tajemnicami czy dyrektor Pijar, który kłamie? A co z innymi?” - Większość pracowników firmy znał tylko z widzenia, a przecież wśród nich mógł ukrywać się najgroźniejszy wróg. „Czy hydraulik, który naprawia zepsute zlew, grzebie w moim komputerze? Czy praczka piorąca bieliznę wszywa mi w ubrania chipy? Czy sprzątaczkę myjącą podłogi przetrząsa moje

biurko i zbiera każdy zapisany świstek?” - rozważał, lecz jakaś racjonalna część jego osobowości ostrzegała, że decyzje podjęte na podstawie błędnych danych prowadzą do fałszywych wniosków, a on nie lekcewał głosu intuicji.

* * *

Alfred pogasił światła, pozamykał starannie drzwi i wyszedł na zewnątrz. Nagle, pchnięty niezrozumiałym impulsem, skierował się do laboratorium biologicznego. Akerman siedział przy swoim stylowym biurku zanurzony w fachowej lekturze. Na widok Alfreda nie krył zdziwienia.

- Ty? Tutaj? Ja na twoim miejscu zajmowałbym się raczej piękną Dalilą. Usiądź. Co cię do mnie sprowadza?

- Jeden problem nie daje mi spokoju. Nie zasnę, dopóki go nie rozwiążę.

- Tak?

- Chodzi mi o sztuczne białka. Żeby oszczędzić ci czasu powiem, co wiem. Sztuczne białka posiadają identyczną budowę jak białka naturalne, nie potrafią tylko się mnożyć. W czym tkwi problem?

- Gdybym to wiedział, miałbym Nobla w kieszeni.

- Jako wybitny specjalista chyba masz na ten temat swoją teorię?

- Białka są cząsteczkami o cholernie skomplikowanej budowie przestrzennej. Sposób, w jaki zwija się łańcuch polipeptydowy w trójwymiarową cząsteczkę zależy od oddziaływań pomiędzy jego aminokwasami. Problem w tym, że są one różne i nieprzewidywalne niczym linie papilarne. Więc trzeba być ostrożnym z tym przymiotnikiem „identyczne”. Jak mówią, diabeł tkwi w szczegółach.

- Pewnie tak. Czy wiesz może o kimś, kto pracował bądź pracuje nad tym tematem?

- Niestety nie. Wiem tyle, ile przeczytałem w prasie naukowej.

- Szkoda. Zatem do zobaczenia.

Akerman również nie wspomniał o Denise i jego badaniach. „Dlaczego? Dlaczego wszyscy zapomnieli o uczonych, którzy byli tu wcześniej?” - próbował odgadnąć, podążając w kierunku swojego domu.

Dalila leżała naga na jego łóżku. W świetle przygaszonej lampki jej wspaniałe ciało sprawiało wrażenie alabastrowej rzeźby wykutej ręką arcymistrza. Alfred poczuł ukłucie w sercu na myśl, że ta cudowna istota być może pełni przy nim podwójną rolę. Na jedną krótką chwilę przyszedł mu do głowy pomysł, aby przejść na stronę wroga, jednak wspomnienie zbryzganej krwią kryjówki Jaremy odstręczyło go od tego zamiaru. Poszedł na palcach do łazienki, wziął prysznic i już chwilę później przytulił się do ciepłych pleców Dalili.

ROZDZIAŁ XX

W sprawie Denisa Alfred postanowił zarzucić przynętę, dlatego dokładnie przemyślał kolejne posunięcia. Najpierw poprosił Kubę o spis literatury na temat sztucznego białka. Gdy Kuba po godzinach przesiadywania w bibliotece położył przed nim listę publikacji, przejrzał ją dokładnie, po czym udał się do dyrektora Pijara. Dyrektor swoim zwyczajem przyjął go jak osobę bardzo ważną.

- Zwracam się do pana osobiście, gdyż mam odczucie, że moja prośba będzie wyjątkowo trudna do spełnienia.

- Więcej optymizmu, panie Alfredzie.

- Chodzi mi o sztuczne białko. Pan Prot wyszukał dla mnie wszystkie nowości z tej dziedziny, niestety, nie ma w nich tego, co mnie interesuje.

- To znaczy?

- Nawet hipotezy, dlaczego sztuczne białko jest zdolne tylko trwać.

- Rozumiem. Rozumiem, że ma pan pomysł, aby to zmienić.

Alfred odetchnął z ulgą. Uniknął pytania, jaki to ma związek z jego badaniami nad pierwiastkiem zero.

- Tak. Właśnie tak, lecz szkoda czasu i fadygi, by na nowo wymyślać proch. Potrzebuję dostępu do bardziej zaawansowanych badań.

- Rzeczywiście, zadanie nie jest proste. Rozeznam sprawę.

- Będę czekał cierpliwie.

Alfred wychodząc z gabinetu dyrektora pomyślał, że zbyt późno uświadomił sobie ryzyko, które zawisło nad nim jak miecz Damoklesa. „Jeszcze w Paryżu powinna mi zdrzeć ręką, gdy podpisywałem umowę z dyrektorem Pasteurem. Paul miał rację.”

Wszedł do pustej o tej porze stołówki i poprosił panią Stenię o jej słynną herbatę przyprawioną goździkami i czymś jeszcze, która działała odświeżająco na przygaszone zmysły i umysł. Musiał pomyśleć. „Jeżeli tamci, kimkolwiek są, już wiedzą, że pierwiastek zero wchodzi w skład naturalnego białka, gdy tę wiedzę uznają za wystarczającą, by samodzielnie poprowadzić dalsze badania, mój los jest przesądzony” - podsumował mało optymistycznie swoje półgodzinne przemyślenia.

Dalsze czekanie zostało obciążone kąśliwym niepokojem. Tymczasem Dalila zdawała się żyć wyłącznie nadchodzącym ślubem.

- Ach, kochanie, myślę, że wreszcie powinniśmy nawzajem poznać swoje rodziny Co ty na to?

- Oczywiście.

- Musimy z wyprzedzeniem zrobić listę gości i wynająć lokal na przyjęcie weselne.

- No tak, ale na to mamy jeszcze sporo czasu.

- Nie wyczuwam w twoim głosie entuzjazmu.

- Bo tak naprawdę poza tobą nic mnie nie interesuje.

- Gdybym cię nie kochała tak jak kocham, pewnie zwątpiłabym w słuszność swojego wyboru.

- Ja wręcz przeciwnie.

Jednak napisał pismo do parafii, w której był chrzczony i bierzmowany z prośbą o przysłanie stosownych dokumentów. Dołączył również oddzielną prośbę o wydanie duplikatu świadectwa ukończenia nauki religii, gdyż, jak uzasadnił, oryginał zagubił podczas licznych przeprowadzek. Wolał oficjalnie unikać kontaktu z rodziną. Rozwahał nawet, czy okłamać narzeczoną, że rodzice się go wyrzekli, a z rodzeństwem jest skłócony.

Mimo rozterek Alfred był z Dalilą najbliżej, jak to tylko możliwe. Patrzył uważnie z bliska w jej oczy i nie dostrzegał w nich niczego poza bezgraniczną miłością. Kiedy po chwilach gorących uniesień nachodziła go potrzeba, by zrzucić z serca ciężar podejrzeń, uciekał do swojego laboratorium, aby ochłonać i na nowo przekonać samego siebie, że zaufanie może zapłacić życiem.

Mijały kolejne dni, a wraz z nimi przeminęła złota jesień. Góry coraz częściej przesłaniały mgły i niskie chmury, deszcze i zimne wiatry trzymały ludzi w ciepłych domach. Długie wieczory sprzyjały sąsiedzkim spotkaniom, zaś Akermanowi dawały okazję do organizowania u siebie partyjek brydża częściej niż zazwyczaj. Ponadto kadra naukowa z zasady nie opuszczała stołówki zaraz po kolacji, a pani Stenia dodatkowo serwowała jakieś słodkości. Najczęściej podczas takich pokolacyjnych zebrań toczyły się filozoficzne dyskusje. Filozofował i matematyk Jaków, i biolog Akerman, i mikrobiolog Skalski, i ksiądz Potępski, i ekonomista Pijar, i chemicy Zarębny i Knap... Każdy wygłaszał sentencje, które coś uzasadniały, czemuś przeczyły albo po prostu aspirowały do rangi maksymy godnej zapisania złotymi zgłoskami w historii ludzkiej myśli. Alfred zwrócił uwagę na jedno: wszyscy bez wyjątku unikali rozmów o swoich naukowych badaniach.

Dalila towarzysząca wiernie Alfredowi zachowywała uroczą powściągliwość. Ignorowała pożądlive spojrzenia panów, na nim skupiając całą swoją uwagę. W opinii ogółu

byli parą, plotki o ich zaręczynach i rychłym ślubie obieły firmę lotem błyskawicy, więc raz po raz ktoś zapędzał się z gratulacjami.

Zarówno jesienna szaruga, jak i intensywny romans z Dalilą zaczął wpływać negatywnie na naukową pracę Alfreda. Odczuwał intelektualne wyjałowienie. Bezproduktywnie przeglądał w komputerze niekończące się kolumny związków, sporządzał jakieś idiotyczne zestawienia, zapisywał niczym nieuzasadnione wnioski, by sprawić wrażenie, że pracuje.

Pewnego dnia Kuba spytał, czy ma dla niego kolejne zajęcie.

- Tak, trzeba wyrzucić tego szczura i zneutralizować kwas. Każ to zrobić laborantom.

- Czy to koniec doświadczeń z pomocą wagi?

- Na razie będzie kilka dni przerwy. - Alfred pomyślał, że nieprzyzwoitością byłoby po dwóch eksperymentach uznać wagę za zbędną. Postanowił jeszcze coś wymyślić. - Chciałem zapytać, kiedy dostarczą ten spektrograf najwyższej generacji.

- Wystąpiły jakieś komplikacje niezawinione przez nas. Z tego co wiem, przywiozą go na dniach.

- Super, natychmiast daj mi znać.

- Jasne, szefie.

Kuba wyraźnie ociągał się z wyjściem.

- No, wyduś z siebie, co cię gryzie.

- Nic szczególnego, mam ogromnego doła, lecz wątpię, czy swoją chandrą powinienem się dzielić ze szczęściarzem.

- Golniemy sobie?

- Chętnie.

Alfred wyjął z biurka butelkę spirytusu:

- Kawy? Herbaty?

- Herbaty.

- Wszystko jest względne, Kuba. Wiesz, jak to jest. Dzisiaj masz wrażenie, że wyrosły ci skrzydła, jutro okazuje się, że siła grawitacji jest zbyt wielka. Człowiek w stanie szczęścia powinien żyć chwilą bieżącą, zaś w depresji wybiegać myślą w przyszłość i powtarzać jak mantrę: nic nie trwa wiecznie.

- Dewiza godna zapamiętania.

Alfred wlał do menzurki spirytus, rozcieńczył wodą i energicznie zamieszał szklaną bagietką, odstawił, włączył elektryczny czajnik, wyjął z szafki filiżanki i zlewki.

- A tak na marginesie. I alkohol, i woda posiadają w swoim składzie grupę OH, więc dlaczego zmieszane przed spożyciem muszą się „przeżreć”? Jak myślisz, Kuba, na czym to „przeżarcie” polega?

- Może trunki są boskimi napojami, w które wnika jakiś filozoficzny duch, a do tego potrzebny jest czas. A tak serio, chemicznie nie ma sensu, ale organoleptycznie²⁸ potwierdzam, że „przeżarta” jest zdecydowanie lepsza.

Alfred zrobił herbatę i rozlał alkohol do zlewki.

- No to zdrowko.

- Zdrowko.

Wypili.

²⁸ Organoleptyka - metoda badawcza polegająca na sprawdzeniu właściwości badanego obiektu za pomocą zmysłów przypisanych człowiekowi.

- Czy wiesz, Alfredzie, jak sprawni widzą osobnika na wózku? - spytał niespodziewanie Kuba.

- Chyba bardzo mu współczują.

- Jasne. Najgorsze jest to, że niepełnosprawność upośledza człowieka od miejsca uszkodzenia kręgosłupa w dół. Tylko w dół. Wszystkie obszary mózgu działają prawidłowo. Mamy identyczną psychikę jak pełnosprawni. Rozumiesz? Mamy takie same pragnienia, odczucia, oczekiwania, ambicje... To, co dzieje się w twoim mózgu, dzieje się też w moim. Najbardziej pali duszę niemożność zrealizowania tego, co zdrowym przychodzi bez żadnego wysiłku. Nalej jeszcze.

- Oczywiście - Alfred nappełnił zlewki. Wypili.

- W tym ośrodku każdy uczonej ze swoją pracą wiąże wielkie nadzieje i zazdrośnie strzeże jej tajemnic. Ja tylko czekam, aż któryś wymyśli coś, co postawi mnie na nogi. Już zaczynam tracić wiarę. Liczę jeszcze na ciebie. Powtarzam się, prawda?

- Robię, co mogę. Mówiłeś, że Akerman we współpracy z Jaremą mógł ci pomóc. Co tak naprawdę stało na przeszkodzie?

Alfred spodziewał się, że w depresji Kuba powie coś, co rzuci nieco więcej światła na stosunki panujące w firmie, tymczasem usłyszał:

- Szaleństwo Jaremy.

- Czy mam rozumieć, że zanim Jarema oszalał, nikt nie miał dostępu do jego badań? Nie uwierzę.

- Dostęp miało wiele osób, ale on to, co najważniejsze, zachowywał dla siebie. Zresztą, to tutaj codzienna praktyka.

W głowie Alfreda ostrzegawczo zapaliła się czerwona lampka. Wątpił, aby Kuba dotąd nie zauważył oczywistego faktu, że nigdzie nie publikowano artykułów uczonych zatrudnianych przez Corporation Medikament Laboratories, a przecież godne rozpropagowania były chociażby opatentowane urządzenia autorstwa tutejszych badaczy. Poza tym dziwne było, że ośrodek tej rangi nie wydaje własnego biuletynu naukowego. „Może inni też podejrzewają to samo co ja? Może nikt tu nikomu nie ufa, więc wszyscy uprawiają grę pozorów?” - pomyślał, a głośno spytał:

- Ale chyba jest granica, poza którą Centrala przestaje takie praktyki tolerować?

- Pewnie tak, lecz dla mnie nic z tego nie wynika.

- Kuba, może sam spróbuj kontynuować pracę Jaremy?

- Mógłbym, gdybym wiedział jak. Jarema to geniusz zdarzający się raz na sto milionów ludzi, może nawet rzadziej. Jestem za cienki. Ale ktoś taki jak ty... - zawiesił znacząco głos.

- Chciałbym ci pomóc, lecz w fizyce nie czuję się mocny. Trzeba mieć nadzieję, że Jarema wyzdrowieje.

- Posłuchaj, jeżeli potrzebujesz do badań materiału biologicznego, możesz korzystać z mojej skóry, z moich mięśni, z moich kości, a nawet z mojego mózgu. Możesz wykrawać ze mnie próbki dowolnej wielkości i to bez znieczulenia, bo znieczulony jestem dostatecznie głęboko.

- Nie przewiduję badań na ludzkim materiale. Zresztą, nie miałyby one sensu.

- Uważam inaczej. Przyszło mi nawet do głowy, że odpowiedzi na pytanie, które sobie postawiłeś, należy szukać w mózgu. Przecież jego śmierć oznacza definitywną śmierć reszty ciała.

Słowa Kuby pobudziły szare komórki Alfreda do zadziwiającej reakcji. Gdzieś z głębin hipokampu wydobyły przeczytany niegdyś bez głębszej refleksji artykuł wyjaśniający, co umożliwia widzenie kształtów i kolorów: oko wyłapuje fale wywołane przez padające na daną rzecz światło i przekazuje je mózgowi do obróbki. „Czy na falę wzbudzoną promieniem świetlnym byłby w stanie zareagować jakikolwiek receptor złożony wyłącznie z materii? Nie! Ale zawarty w nim pierwiastek zero z pewnością tak!” - pomyślał, ale głośno kłamiwie powiedział:

- Wątpię, że firma zrezygnuje z Jaremy. Przynajmniej dopóki jest szansa na jego powrót do pracy. A jest, prawda?

- Tak myślę.

- Wtedy spróbuję namówić go na wspólne badania.

- Ponoć jego rodzina sobie nie życzy, aby nadal zajmował się pracą naukową.

- Tylko raz rozmawiałem z Jaremą przez krótką chwilę i odniosłem wrażenie, że nie jest to facet, który pozwoliłby komukolwiek sobą manipulować - kierował to zdanie bardziej do ewentualnych podsłuchujących niż do Kuby.

Po godzinie coraz bardziej bezładnej dyskusji Alfred uznał, że pora kończyć libację, zanim utraci kontrolę nad językiem.

- Kuba, jeśli jesteś niedopity znajdź sobie inne towarzystwo. Możesz nawet wziąć resztę wódki. Ja spadam, nie chcę przed ślubem podpaść Dalili.

- Jasne. Rozumiem. W zasadzie też mam już na dzisiaj dość. Do jutra.

- Do jutra.

Kuba, potrącając wózką meble, wytoczył się z gabinetu. Alfred tymczasem umył zlewki, wyplukał usta, pozamykał drzwi i ruszył w kierunku domu. Okna mieszkania Dalili były ciemne, jego również. Nagle nabrał niczym nieuzasadnionego podejrzenia, że Dalila poszła na spotkanie z panem Franciszkiem Janeczko, że Stoją teraz pomiędzy klatkami z doświadczalnymi zwierzętami i naszła go chęć, żeby tam pójść i posłuchać, o czym rozmawiają.

- O, wchodzisz czy wychodzisz? - usłyszał za sobą głos Piotra Jakowa.

- Wchodzę.

- Stary, przyjmij od sąsiada dobrą radę. Najpierw szybko wskocz pod prysznic, potem w piernaty. Na kilometr widać, że zabaniaczyłeś. Przed ślubem kobietom lepiej nie ujawniać rozrywkowej strony swojej osobowości.

- Racja. Dzięki za dobrą radę.

Alfred z porady skorzystał połowicznie. Ledwie zamknął za sobą drzwi, jak stał padł na łóżko i po chwili spał kamiennym snem.

* * *

Nazajutrz obudził się koło dziewiątej z klasycznym syndromem dnia następnego. Wziął szybki prysznic, zmienił ubranie i wyszedł na śniadanie z nadzieją, że kochana pani Stenia uwolni go od kaca którąś ze swoich skutecznych mikstur. Przechodząc obok drzwi Dalili zapukał, lecz nie otworzyła. Uznał, że Dalila, nie budząc go, wyszła do pracy. W stołówce podeszła do niego pani Brygida Lass i poinformowała, że dyrektor oczekuje go w gabinecie. Alfred był nierad z takiego obrotu sprawy, lecz bez szemrania podążył za sekretarką.

Dyrektor Pijar wyszedł zza biurka, żeby się przywitać, po czym wskazał jeden z głębokich foteli obok niskiego stolika. Zanosilo się na dłuższą pogawędkę.

- Podać coś do picia, panie Alfredzie?

- Chętnie, może być zwykła woda.

Nie minęło pół minuty, gdy pani Brygida wniosła tacę z butelką mineralnej i dwie szklanki.

„Ona chyba ma uszy jak nietoperz albo porozumiewa się z szefem telepatycznie” - pomyślał Alfred, napełniając szklanki.

- Panie Alfredzie, z wielkim trudem zdobyłem niepublikowane materiały na temat prawie doskonałego sztucznego białka. Są to najdalej posunięte badania na świecie. Jako laik nie potrafię mówić o szczegółach, ale od najlepszych fachowców wiem, że są to informacje niebywale cenne. Zależy mi, rzecz jasna, żeby do czasu zakończenia prac nad pierwiastkiem zero zachował pan w tajemnicy wszystko, co pan w tych materiałach wyczyta. Jest to dżentelmeńska umowa między nami, rozumiemy się?

- Oczywiście.

- Jest tylko jeden problem, zapiski czynione są po francusku. Wiem, że zna pan dobrze ten język, ale gdyby potrzebna była pomoc, proszę się zwracać bezpośrednio do mnie.

- Dziękuję.

Alfred odetchnął z ulgą. Na razie był bezpieczny Z przejęcia zapomniał o kacu i pobiegł do swojego gabinetu. „Cholera, co ja ukryłem w bankowej skrytce, jeśli Pijar dał mi notatki zawierające efekty pracy Denisa?”. Nie zdejmując kurtki przystąpił do przeglądania materiałów. Różnego formatu kartki pokryte chemicznymi wzorami, wydruki komputerowe, fragmenty artykułów z pism naukowych, jakieś zdjęcia, wykresy spisy literatury i inne zapisane odręcznie świstki były przemieszane bez ładu i składu. Największą niespodziankę stanowiła przypięta biurowym spinaczem do ostatniej strony celofanowa torebka zawierająca coś, co przypominało fragment ludzkiej skóry. „Sztuczne białko prawie doskonałe? Niebywałe!” - Przeniósł pincetą tajemniczy płat na szalkę Petriego. Miał ochotę obejrzeć go pod mikroskopem, lecz postanowił najpierw przeanalizować tekst.

Alfred zaparzył sobie mocnej kawy i zagłębił się w lekturze. Autor rozważał dwie metody otrzymywania białka: pierwszą, z pojedynczych aminokwasów łączonych w polimery, i drugą, za pośrednictwem sztucznego DNA wprowadzanego do żywych komórek. Na jednym ze świstków wyczytał pojedynczą uwagę, że Denis operował całymi sekwencjami atomów, co świadczyło, że musiał posłużyć się nanotechnologią. Ta informacja zelektryzowała Alfreda. Zaczął nerwowo przerzucać kartki w poszukiwaniu potwierdzenia tej tezy, lecz znalazł jedynie dziwne skróty i piktogramy. Niewątpliwie pełna informacja była

ukryta w opasce, którą dał mu Jarema i która teraz spoczywała bezpiecznie w bankowej skrytce.

Metoda polimeryzowania, a dokładniej polikondensacji aLaminokwasów, została opisana w sposób dokładny, brakło jedynie elementu zasadniczego: jakim związkim zastąpił wyspecjalizowane kompleksy enzymatyczne, które w warunkach naturalnych umożliwiają tę reakcję? A musiał je czymś zastąpić, skoro zapiski sugerowały, że ów proces został powtórzony w warunkach laboratoryjnych.

Alfred wyjął z szuflady szkło powiększające i z jego pomocą zaczął badać tajemniczy płat leżący na szalce. Przez półotwarte drzwi do gabinetu zajrzał Kuba.

- Szeffie, masz dla mnie jakąś pilną robotę? Uprzedzam, że wolałbym, żebyś nie miał. Pęka mi głowa. Chyba jestem meteopatą - zażartował.

- Mam. Ale możesz ją zlecić laborantom. - Odciał kawałek sztucznego białka i włożył do drugiej szalki. - Mają zrobić superdokładną analizę jakościową, ilościową i określić strukturę tego tworzywa. Potem zrób sobie fajrant. - Alfred uważnie obserwował twarz Kuby, lecz nie dostrzegł najmniejszych oznak zaskoczenia, zdziwienia czy świadomości, że ma do czynienia z czymś wyjątkowym.

- Dopilnuję. Aha, jutro przywożą spektrograf. Proponuję postawić go w pomieszczeniu naprzeciw pokoju wagowego. Stoją tam tylko pHmetry

- Jasne.

Kuba położył płytkę z próbką na kolanach i wyjechał z pokoju. Alfred znów utkwiał oczy w płatku sztucznego białka, po czym przeniósł wzrok na własną rękę. „Moja skóra, mięśnie, ścięgna, nerwy, krew, niezliczone ilości enzymów, których nawet nie potrafię nazwać, zbudowane są z białka syntetyzowanego na podstawie

DNA. Każdego dnia bezwiednie wytwarzam miliony żywych komórek, dlaczego więc nie mogę tego powtórzyć z udziałem intelektu? Jakie prawo stoi temu na przeszkodzie? Jeżeli w niemal doskonale białko Denisa wkomponuję pierwiastek zero, czy zacznie się ono powielać?” - Już na samą myśl o takiej możliwości poczuł w palcach mrowienie. Tylko nadal pozostawał do rozwiązania problem, jak to zrobić.

Alfred spojrział w okno. W gnanych ostrym wiatrem chmurach powstała szczelina, przez którą wyjrzało jaskrawe słońce i ozłociło surowe w swym pięknie góry Jego mózg przeciążony skomplikowaną dedukcją dokonał wolty i wydobył gdzieś z głębin hipokampu piosenkę śpiewaną podczas studenckich rajdów: „Połonin step na szczytach gór, tam trawa w pas się podnosi, tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur, tam żaden pan ich nie kosi...”.

Alfred nucąc wstał od biurka, włączył czajnik i powrócił do naukowego wątku przerwanej melodii. „Może na przeszkodzie stoi nieznaną jakiegoś prawa oddziałującego na energię? Bo czymże energia jest?

Wiemy o niej tyle, ile pilot samolotu o życiu w oceanie, nad którym przelatuje raz w tygodniu. Ten świat potrzebuje dopiero swoich Archimedesów, Newtonów czy Mendelejewów, którzy na nowo zdefiniują zasady rządzące sferą energii, ułożą z niej nową tablicę okresową, znajdą i opiszą wzorami tajemnicze parametry ściskające energię w materię... Samo określenie, że energia jest tylko zdolnością do wykonywania pracy, to absolutnie za mało. To tak, jakby jakiś uczony zbudowany z fotonów, kwarków i gluonów twierdził, że materia jest zdolnością do pochłaniania energii. Absurd.”.

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili do gabinetu wszedł ksiądz Potępski.

- Niech będzie pochwalony... Można?

- Proszę. Ksiądz tutaj?

- A tak, przyszedłem spytać o sprawę formalną, związaną ze ślubem, ale będę rad, jeśli uchyli pan rąbka tajemnicy o swojej pracy. Wśród personelu pomocniczego krążą na ten temat najdziwniejsze pogłoski.

- Proszę usiąść. Jak dziwne są to pogłoski?

- Tak dziwne, że nie sposób ich powtórzyć. - Alfreda uderzyło, że ksiądz również w najmniejszym stopniu nie zainteresowało sztuczne białko leżące na blacie biurka.

- Kawy? Właśnie zagotowała się woda.

- Chętnie. Co jakiś czas uzupełniam kartotekę swoich wiernych, a pana kartoteka jest prawie pusta. Podczas naszego pierwszego spotkania wspomniał pan, że skłania się ku ateizmowi, więc sobie odpuściłem. Teraz jednak, gdy zamierza pan zawrzeć sakramentalny związek małżeński, mniemam, że postanowił pan powrócić na łono Kościoła.

Alfred był w kłopotcie. Wstydził się przyznać, że uległ Dalili, że na motywy jego działania wpływ miały wyłącznie hormony. Że nie szare komórki, a jakaś prolaktyna, cholecystokina, oksytocyna, progesteron i inne dziwacznie ochrzczone związki kierowały jego wolą.

- No tak, tylko krowa nie zmienia poglądów - rzucił ugodowo.

- Już przy pierwszym spotkaniu wiedziałem, że tak będzie. Ludzkiej istoty nie sposób zinterpretować wyłącznie w kategoriach przyrodniczych. Przynajmniej jak dotąd. Jeżeli odebrać człowiekowi sacrum, co pozostanie?

- Nie wiem, ale domyślam się, że marność nad marnościami, więc ktoś musi stać na straży duchowości - powiedział Alfred z lekką nutą ironii.

- A tak! Owego sacrum, które wywyższa człowieka ponad inne formy życia. Najlepiej byłoby dowieść istnienia duszy eksperymentalnie. Lecz to niemożliwe.

- Jeszcze kilkadziesiąt lat temu nic nie wiadano o genach, więc zapewne przyjdzie kolej i na duszę. Podejrzewam jednak, że takiej wiedzy Kościół nie przełknie, zaś samo odkrycie, śladem intelektualnego dorobku Kopernika czy Galileusza, trafi na kościelny Indeks dzieł zakazanych.

- Oj, nieładnie - ksiądz pogroził Alfredowi palcem. - Od drugiego Soboru Watykańskiego Indeks przestał obowiązywać wiernych²⁹. Cóż, kto wie, jakie jeszcze tajemnice Bóg ukrył w swoich człowieczych synach? Gdybym był biologiem, zająłbym się mózgiem.

- Tak, jako chemik przyznaję, że życie jest cholernie skomplikowaną reakcją, a sacrum, cokolwiek ono znaczy, komplikuje je jeszcze bardziej.

- Panie Alfredzie, wyczuwam w pana głosie nutkę sceptycyzmu, ale rozumiem.

- Takie są skutki egzystencji w świecie dwóch prawd. Prawda nauki coraz bardziej oddala się od prawdy religii - powiedział Alfred licząc, że tym stwierdzeniem zakończy dyskusję, tymczasem dał księdzu asumpt do dalszych wywodów.

- Bo wy, uczeni, jesteście zarażeni agnostycyzmem poznawczym filozofii Kanta³⁰. To jego szarlatańskie dywagacje sprawiły, że nauka poszła niewłaściwym torem. Bo brak Boga w każdym ludzkim działaniu prowadzi donikąd, panie Alfredzie.

29 14 czerwca 1966 r. papież Paweł VI, po Soborze Watykańskim II, uznał Indeks za dokument historyczny.

30 Immanuel Kant (1724-1804) - filozof niemiecki, twórca filozofii krytycznej.

- Nie rozumiem, co ma do tego Kant?

- Przecież to on przekonywał, że czas i przestrzeń nie są obiektywnie istniejącymi bytami, a jedynie subiektywnym sposobem widzenia rzeczywistości przez człowieka, prawda?

- To oczywiste.

- Nie. Bóg stworzył świat jako spójną jedność we wszystkich aspektach, tymczasem za sprawą Kanta dla nauki świeckiej istnieją obok siebie dwa niezależne światy: zmysłowy i umysłowy, czyli wypełniony pojęciami ludzkiego intelektu. Do pierwszego należą nauki przyrodnicze, odwołujące się do obserwacji, do drugiego metafizyka, czyż nie tak?

- Dokładnie tak. Nie dostrzegam w tym nic złego.

- Jest pan w błędzie, panie Alfredzie, gdyż z tego wynika całe zło świata. Stąd tylko krok do stwierdzenia, że religia, tak jak dobro, piękno i moralność, jest wiedzą rzekomą, więc powinna być traktowana jako jeszcze jeden mit.

- Albo użyteczna hipoteza służąca utrzymaniu dyscypliny w społeczeństwie. Zapamiętałem skądś takie zdanie.

- Czy uważa Pan, że Bóg popełnił nadużycie dając ludziom kodeks? Przecież cały wszechświat opiera się na jakichś prawach. Czyż pańskie eksperymenty nie polegają na badaniu tych praw? Bo tak naprawdę, czego pan chce dowieść?

- Nie rozumiem, co ma do tego Kant?

- Przecież to on przekonywał, że czas i przestrzeń nie są obiektywnie istniejącymi bytami, a jedynie subiektywnym sposobem widzenia rzeczywistości przez człowieka, prawda?

- To oczywiste.

- Nie. Bóg stworzył świat jako spójną jedność we wszystkich aspektach, tymczasem za sprawą Kanta dla nauki świeckiej istnieją obok siebie dwa niezależne światy: zmysłowy i umysłowy, czyli wypełniony pojęciami ludzkiego intelektu. Do pierwszego należą nauki przyrodnicze, odwołujące się do obserwacji, do drugiego metafizyka, czyż nie tak?

- Dokładnie tak. Nie dostrzegam w tym nic złego.

- Jest pan w błędzie, panie Alfredzie, gdyż z tego wynika całe zło świata. Stąd tylko krok do stwierdzenia, że religia, tak jak dobro, piękno i moralność, jest wiedzą rzekomą, więc powinna być traktowana jako jeszcze jeden mit.

- Albo użyteczna hipoteza służąca utrzymaniu dyscypliny w społeczeństwie. Zapamiętałem skądś takie zdanie.

- Czy uważa Pan, że Bóg popełnił nadużycie dając ludziom kodeks? Przecież cały wszechświat opiera się na jakichś prawach. Czyż pańskie eksperymenty nie polegają na badaniu tych praw? Bo tak naprawdę, czego pan chce dowieść?

Alfredowi zapaliła się w głowie ostrzegawczo czerwona lampka.

- Szukam nieznanego nauce pierwiastka, jednak zapewniam, w razie sukcesu nie zagrozi on wartościom chrześcijańskim - próbował nadać głosowi żartobliwy ton.

- Ciekawe. Myślałem, że tablica Mendelejewa została już skompletowana. W którym miejscu Układu Okresowego mógłby się ów pierwiastek znajdować?

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, ale przejdźmy do sprawy, w której ksiądz się do mnie fatygował.

ROZDZIAŁ XXI

Bieszczadzka szaruga, ta prawdziwa królowa wszystkich szarug i patronka najgłębszych chandr, wzięła Moczarzysko w swe ponure posiadanie. Przenikliwy wiatr zacinał lodowatym deszczem, niskie, nostalgiczne chmury niczym stare szmaty zwisały z nieba zasłaniając najbliższe szczyty, a wszystkie czynniki razem odstręczały ludzi od jakiegokolwiek aktywności intelektualnej. Mimo to Alfred próbował przymusić się do pracy i zobaczyć, jak pod mikroskopem wygląda struktura białka Denisa. Najpierw jednak zadzwonił do Kuby i spytał o procedurę wykupu patentu na produkcję sztucznej skóry do potrzeb medycznych.

- Prosto, musisz uzyskać zgodę Centrali. Mam na tym polu pewne doświadczenie, gdyż swojego czasu Jarema miał plan kombinować z tym białkiem w zakresie bionanoelektroniki, czy coś w tym rodzaju. Poczyniliśmy nawet pewne kroki w Urzędzie Patentowym.

- I?

- Odbiła mu szajba. Oduścił sobie i stwierdził, że pomysł był chybiony. Mam zacząć załatwianie?

- Na razie nie.

Alfred wrócił do badania białka Denisa. Spreparował próbkę i usiadł przy mikroskopie skaningowym. W powiększeniu 200 000-krotnym jego strukturę stanowiły ciasno ułożone szare kulki o chropowatej powierzchni, przywodzące na myśl motki włóczki. „I co ja mam z tym dalej zrobić?” - zadał sobie bezradne pytanie i ziewnął szeroko. „Na razie prześpię się z tematem, potem zobaczę.”.

* * *

Alfred naciągnął głęboko czapkę na uszy, podniósł wysoko kołnierz kurtki i ruszył biegiem w kierunku domu. Wtem w oknie swojego pokoju dostrzegł nikłe światło. Ktoś musiał zapalić halogenową lampkę stojącą na biurku obok laptopa. Przyśpieszył kroku. Przeskakując po dwa stopnie wbiegł na schody. Sięgając ręką do kieszeni po klucz, zdołał zauważyć, że kontrolny papierek tkwi nienaruszony w szczelinie drzwi.

Mieszkanie było puste. „Cholera, mam omamy” - mruknął ze złością. Powiesił niedbale na oparciu krzesła wierzchnie okrycie, zdjął buty i rzucił się na łóżko. Jednak upragniony sen nie nadchodził. „Działam bezrozumnie. Uczepiłem się białka jak pijany płotu. Może lepiej wziąć na warsztat twory z pogranicza materii nieożywionej i ożywionej?” -

Alfredowi w tym momencie przypomniała się Dominika Gąbin z paryskiego Instytutu, która oczyszczała wirusy do postaci krystalicznej, by później wprowadzać je do organizmów myszy i obserwować występujące objawy chorobowe. „Może w świecie wirusów należy szukać związku katalizującego białka?” - Zamknął oczy próbując ze swych zwojów mózgowych wygenerować jakąś konkretną hipotezę. Przywołał przestrzenny obraz nici kwasu nukleinowego. Oczami wyobraźni widział atomy tlenu, wodoru, węgla, azotu... próbując wśród nich znaleźć miejsce dla pierwiastka zero, który sprawi, że wirus zbliży się o krok do królestwa życia. I... nic. Układanka była za trudna. „Cholera, nie będę na nowo wymyślał prochu!” - powiedział półgłosem, sięgnął po telefon i wystukał numer do Skalskiego. Skalski odezwał się po dwóch sygnałach.

- Witaj, Janku, mam do ciebie proste pytanie.

- Wpadnij, pogadamy.

- Może innym razem, teraz powiedz mi tylko, dlaczego wirusy rozmnażają się dopiero po wniknięciu do komórki.

- Wcale się nie rozmnażają. Wirusy są po prostu obojętnymi związkami chemicznymi, takimi jak sól, cukier czy alkohol etylowy.

- Skąd zatem epidemie, a nawet pandemie grypy?

- Wirus wnosi do komórki zaledwie recepturę. Wszystko inne, czyli materiał budulcowy, enzymy i energię dostarcza komórka.

- Czyli jednak można mówić o rozmnażaniu, tyle że pozaustrojowym.

- Nie. Zainfekowana komórka zamiast produkować własny kwas nukleinowy wykonuje instrukcje zawarte w kwasie nukleinowym intruza, czyli, krótko mówiąc, produkuje kolejne kopie wirusów.

- Sprytne bestie.

- A tak. Sprytniejsze nawet od kukulek. Wpadnij w sobotę do Akermana na partyjkę.

- Wpadnę.

- Przyjdź z Dalilą.

- Jasne. Do zobaczenia.

Wyjaśnienia Skalskiego uruchomiły kolejną lawinę pytań bez odpowiedzi. A najważniejsze z nich brzmiały: dlaczego żywa komórka daje sobie narzucić zalecenia cząsteczki chemicznej, która jest ponoć bardziej martwa od zdechłego kota? Jaki czynnik na pewnym etapie ewolucji wirusopodobną strukturę przekształcił w bakterię? Intuicja podpowiadała mu, że trop jest dobry

Rozległo się pukanie i do pokoju weszła Dalila.

- Kochanie, jesteś chory? - pocałowała go w usta.

- Skądże.

- Więc dlaczego siedzisz tu sam? Szukałam cię. Bardzo za tobą tęskniłam. Wiesz, w związku z tą pościelową pogodą mam dla ciebie propozycję. Zjemy obiad i pójdziemy do łóżka.

Stołówka była już prawie pełna. Dosiedli się do Jakowa i Akermana.

- Co dzisiaj serwuje kuchnia? - spytała z uśmiechem Dalila.

- Specjał nad specjały: zupę pomidorową, ziemniaki puree, mózdzek po wiedeńsku i kompot wiśniowy.

Przy drugim daniu na widok białawego kotlecika Alfreda dopadły refleksyjne myśli. „Mózg w 99 procentach składa się z wody, reszta to tłuszcz i białka. Co najmniej 99 procent cząstek składowych zawiera pierwiastek zero. Czy to wysokie nasycenie mózgowia tym pierwiastkiem czyni go tworem wyjątkowym?” - Alfred tak głęboko zagłębił się w rozważania, że zapomniał o jedzeniu, dopiero Dalila sprawiła, że wrócił do rzeczywistości.

- Kochanie, nie smakuje ci? Może wolisz rumsztyk w ziołach?

- Ależ wszystko w porządku - zapewnił i zaczął intensywnie pracować sztucami, żeby nadrobić stracony czas, lecz jego umysł nadal drążył temat. - Mam do ciebie gorącą prośbę - zwrócił się do Akermana.

- Oczywiście. Czym ci mogę służyć?

- Potrzebuję świeżego mózgu.

- Jak bardzo świeżego?

- Takiego, w którym nie zaczęły jeszcze zachodzić nieodwracalne procesy gnilne.

- Może być mózg królika?

- Jasne.

- Jutro poproszę pana Janeczko, żeby ci dostarczył próbkę. Nikt z taką sprawnością jak on nie potrafi uśmiercić zwierzęcia, a w preparowaniu organów osiągnął mistrzostwo świata.

- No nie, moglibyście przynajmniej przy stole darować sobie te okropne naukowe wątki - zgaśniła ich łagodnie Dalila.

- Racja, święta racja, tylko matematyka, królowa nauk, nie psuje apetytu - zawołał Jaków i pocałował Dalilę w koniuszki palców.

Wtem za oknami pociemniało, jakby zupełnie zgasło światło i rozszalała się burza. Deszcz z impetem bił o szyby wichura niemalże łamała gałęzie drzew. W tej sytuacji nikt nie chciał opuszczać ciepłej stołówki, zwłaszcza że pani Stenia podała wyśmienitą szarlotkę oraz kawę z likierem i bitą śmietaną. Tak więc tego dnia obiad trwał do samej kolacji. Gdy

wieczorem Alfred obejmował wspaniałe ciało Dalili, pomyślał, że jesienne niepogody mają swoje dobre strony szczególnie, gdy jest się do kogo przytulić.

* * *

Następnego dnia o godzinie dziewiątej do gabinetu Alfreda wszedł pan Janeczko. Ponieważ na zewnątrz wciąż padało, miał na sobie nieprzemakalną pelerynę z kapturem i gumiakami. Woda ściekająca z peleryny tworzyła na wypolerowanej podłodze brudne kałuże, zaś podeszwy gumiaków błotniste ślady Położył przed Alfredem zlewkę z małym, białawym mózgiem.

- Dziękuję panu.

Pan Franciszek skinął głową, po czym zdjął okulary, które pod wpływem ciepła zaszyły parą i zaczął je przecierać chusteczką. Alfred ujrzał martwe, zaciągnięte bielmem prawe oko. Lewe, władczy, diaboliczny wzrokiem oprawcy, wzbudziło w nim zwierzęcy lęk. Odetchnął z ulgą, gdy niesamowity gość zamknął za sobą drzwi.

Alfred nie chcąc odrywać laborantów od pracy, sam spreparował fragment króliczego mózgu i zaczął go badać pod mikroskopem skaningowym. Ku jego zaskoczeniu na ekranie ujrzał niemalże futurystyczny obraz przypominający ciasno ułożone pnie jakichś egzotycznych drzew, oplecionych bluszczowato białymi włóknami pełnymi rozetkowatych wypustek. „Mózg jest dla ciała czymś w rodzaju komputera. Kieruje funk-

203 cjami i procesami zachodzącymi w organizmie. Jak?” - Alfred zwiększył powiększenie, próbując wypatrzeć w tym układzie niezwiązane cząsteczki wody, lecz każdy element próbki zdawał się być stworzony z litej substancji. „Jaki rodzaj wiązania łączy tlenowódór z białkami i tłuszczami nie wchodząc z nimi w reakcje? Co się będzie dzieć z tymi włóknami przy narastającym deficycie wody? Sprawdź to.”. Wyciął z mózgu królika trzy fragmenty, każdy z nich umieścił w oddzielnej szalce Petriego i wstawiwszy je do suszarki, wezwał do siebie przez komórkę Kubę.

- Posłuchaj, Kuba. Wszystkie próbki mają się suszyć w temperaturze czterdziestu stopni, z tym że pierwsza przez trzydzieści minut, druga dwie godziny, trzecia całą dobę. Dopilnuj tego, dobrze? Po każdym etapie suszenia niech któryś z laborantów umieści próbkę w eksykatorze i natychmiast przyniesie mi do zbadania.

- Jasne, szefie.

Do pracowni zajrzała Dalila.

- Kochanie, mogę z tobą zamienić dwa słowa?

- Oczywiście.

Przeszli do jego gabinetu.

- Muszę cię o czymś pilnie uprzedzić. - Usiadła na skraju biurka zakładając nogę na nogę. - Chyba w Centrali myślą o cięciu kosztów. Na razie zażądali od Pijara szczegółowego raportu w sprawie postępów naukowych. Słyszałam przypadkowo jego rozmowę z Brygidą Lass. Był wściekły. Mówił, że wynalazki naukowe to nie produkcja kółek zębatych, tymczasem jemu każą wykazywać się czymś, na co nie ma wpływu. Krzyczał, że stworzył uczonym najlepsze z możliwych warunków pracy, lecz praca ich szarych komórek leży poza sferą jego możliwości. Z dalszej rozmowy wywnioskowałam, że Centrala najprawdopodobniej zrezygnuje z programów badawczych, które nie rokują szans na powodzenie.

Alfred słuchał w osłupieniu. Była to informacja ze wszechmiar zła. Po pierwsze, poza Moczarskim nie mógłby dokończyć swoich badań; po drugie, wątpił, czy nieprzydatnym naukowcom pozwolą pozostać przy życiu.

- Może źle interpretujesz słowa Pijara?

- Z pewnością dobrze. Zresztą, przyjęto mnie do pracy głównie po to, abym zlustrowała dokładnie finanse firmy

- I co z tego wynika?

- Koszty są kosmiczne. Od pięciu lat żaden program naukowy nie został zakończony. Z tego wniosek, że ani jednego wynalazku nie wdrożono do produkcji. Wiesz, co to znaczy?

- Proste. Albo te programy są chybione, albo uczonym daleko do geniuszu.

- Ja wierzę w ciebie i wiem, że bez względu na to, czy osiągniesz sukces czy nie, pójdę za tobą wszędzie. Chociaż, szczerze mówiąc, wolałabym, żeby ci się powiodło, bo wiem, ile dla ciebie znaczy praca.

Alfred patrzył z bliska w anielską twarz Dalili i widział w niej tylko oddanie i zatroskaną miłość. Zalała go nowa fala wstydu, że zdarza mu się powątpiewać w jej uczciwość.

- Jestem tu zaledwie od maja. To za krótko na rewolucyjne zmiany w chemii.

- Gdy pokażesz im, co zrobiłeś i co zamierzasz zrobić, będzie dobrze. Na razie tylko ty o tym wiesz. Kochasz mnie?

- Jak możesz w to wątpić? Szaleję za tobą.

- Pomogę ci pisać sprawozdanie. Nie mam zielonego pojęcia o chemii, ale potrafię robić zestawienia i różne takie nieskomplikowane prace.

Zanim Alfred zdążył odpowiedzieć, zabręczała jego komórka. Dyrektor Pijar prosił go na rozmowę.

Dyrektor już na pierwszy rzut oka wyglądał na mocno strapionego, jednak nie miało to wpływu ani na jego maniery, ani na serdeczny stosunek do Alfreda. Zwyczajowo usiedli w przepastnych fotelach przy niskim stoliku, a sekretarka podała im kawę i serowe paluszki. Zaczął ostrożnie.

- Panie Alfredzie, zanim przystąpię do meritum sprawy, chcę pana zapewnić o swojej wielkiej życzliwości. To, co powiem, wynika wyłącznie z obowiązku służbowego.

- Rozumiem. Sprawy przykre stanowią nieunikniony element każdej pracy zawodowej.

- Świetnie to pan ujął. Zatem przystępuję do rzeczy. Centrala chce poważnie ograniczyć liczbę finansowanych programów. Oczywiście na pierwszy ogień pójdą te najslabsze, które nie rokuja nadziei na pozytywny efekt końcowy.

- Rozumiem. - W głowie Alfreda szalał zamęt. Przewidywał, do czego zmierza dyrektor, lecz nie wiedział, jaką obrać taktykę.

- Centrala powołała komisję biegłych specjalistów, którzy ocenia przydatność i stopień zaawansowania poszczególnych badań, dlatego każdy musi sporządzić szczegółowy raport o osiągniętych wynikach i planie dalszych eksperymentów. Centrala życzy sobie również, żeby jasno sformułować hipotezy, które chce się udowodnić wraz z proponowaną metodyką ich realizacji.

Alfredowi zrobiło się duszno, jakby na jego gardle ktoś nagle zacisnął garotę³¹. Krótco mówiąc, musiał wyjawic szczegóły tego, co już odkrył i tego, co zamierza. Było dla niego jasne: jeśli wykona polecenie, będzie można przeprowadzić dowód na istnienie pierwiastka zero bez niego. Sprzeciw groził, że podzieli los Jaremy i być może Denisa. Nie miał wątpliwości: to był zakamuflowany podły szantaż. Przełknął nerwowo ślinę i w milczeniu pokiwał głową. Dyrektor Pijar po swojemu zinterpretował ten gest.

31 Garota - broń wykorzystywana od czasów starożytności przez zabójców do szybkiego duszenia ofiar.

- Doskonale. Zdradzę panu moją prywatną opinię. Jestem przekonany że badania nad pierwiastkiem zero Centrala traktuje priorytetowo przed innymi badaniami. Chociaż pojedynczych organów nie daje się w zastawy daję głowę, że subwencje na ten cel będą. Z czystej sympatii do pana pozwalam panu zwiększyć liczbę podwładnych. Proszę tylko określić, kogo pan potrzebuje

- Dziękuję. Do kiedy mam czas?

- Do końca marca.

Alfred zamiast wrócić do pracy poszedł prosto do domu. Czekala już tam na niego mocno przejęta Dalila, która jakby przewidziała jego ruch.

- Dobrze ci poszło? - spytała, gdy tylko otworzył drzwi.

- Świetnie - powiedział, walcząc z potrzebą podzielenia się z nią swoimi rozterkami. Z nią lub kimkolwiek innym.

- Wiedziałam, przecież jesteś brylantem rzadkiej czystości. Centrala zbyt dobrze liczy, żeby zmarnować taki talent. Żałuję, naprawdę mocno żałuję, że nie zostałam chemiczką. Pracowałabym razem z tobą. Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła mieszać w probówkach dziwne mikstury Chemia ma w sobie coś magicznego.

- Niewątpliwie.

- Często jestem zazdrosna o twoje laboratorium.

- Niepotrzebnie.

- Mam wrażenie, Alfredzie, że masz zmartwienie. Komu jak komu, ale mnie możesz wyznać, co cię trapi.

Dalila usiadła obok Alfreda i położyła mu głowę na ramieniu. Czuł z bliska zapach jej włosów, widział skrawek koronki biustonosza za lekko odchylonym dekoltem bluzki i gładkie jak alabaster kolana poniżej brzegu spódniczki. W przyćmionym świetle była tak zniewalająco piękna, że Alfred znów poczuł się zażenowany swoją nieszczerością wobec tej zjawiskowej, oddanej mu sercem istoty. Zawstydzął go fakt, że jego pamięć raz po raz, niczym memento, przywołuje postać Ireny, której oczy też były czyste, niewinne i pełne miłości, gdy zastawiała na niego pułapkę. No i te przestrogi Jaremy...

- Wolę przyjemniejsze zajęcia.

- Kochanie, wpadłam na doskonały pomysł. Zamieszkajmy razem. Przeprowadzę się do ciebie albo ty do mnie. Nikogo tym nie zgorszymy, a wszyscy i tak wiedzą, że jesteśmy parą.

- Przesadzasz. Mieszkamy w tym samym budynku, dzieli nas tylko strop. Możesz bywać u mnie, kiedy zechcesz, bez przenoszenia gratów.

- No tak. Gadam głupstwa. Mam rozumieć, że dasz mi swój klucz?

- Jasne, gdy tylko dorobię zapasowy

Godzinę później leżąc przy boku Dalili próbował usystematyzować zdarzenia ostatnich dni. Zastanawiał się, czy odwiedziny księdza Potępskiego, ostrzeżenie Dalili o niepokojących sygnałach z Centrali, wreszcie rozmowa z samym dyrektorem Pijarem to elementy tego samego planu. „Czy za tym wszystkim rzeczywiście stoi Watykan? Nie ma na

świecie bardziej bezwzględnej, przebiegłej i skutecznej instytucji. Muszę być wyjątkowo czujny” - doszedł wreszcie do konkluzji.

ROZDZIAŁ XXII

Alfred z Dalilą zastali u Akermana Jakowa, krótkowzrocznego mikrobiologa Skalskiego oraz dwie panie - asystentkę Alicję Fiszbach i laborantkę Joannę Fosch. Szara Alicja ze staroświeckim koczkiem na czubku głowy i płaska Joanna wyglądały jak dwa brzydactwa przy świetliście pięknej Dalili.

- Jest nas siedmioro. Jak gramy? - spytał Akerman, tasując od niechcenia talię kart.

- Ja nie mam zielonego pojęcia o brydżu. Będę kibicować swojemu mężczyźnie. - Dalila oznajmiła to z tak rozbijającym uśmiechem, że Alfred poczuł, jak ogarnia go fala samczej dumy

- My usiądziemy sobie z boku i będziemy układać pasjanse - powiedziała Joanna, a Alicja jej przytaknęła. Gospodarz przywiózł z kuchni barek z kieliszkami do grappy i butelką Diamond Standard Vodki.

- Ejże, a z jakiej to okazji taki szpan? - zawołała z podziwem Dalila, co sprawiło Akermanowi wyraźną radość.

- Miłe towarzystwo zasługuje na wszystko, co najlepsze.

- Czy to prawda, że do produkcji tego trunku używa się prawdziwych diamentów?

- Tak, ale zaledwie jednokaratowych. Za to w szyjce butelki umieszczony jest kryształ Swarovskiego. - Akerman pochylił się nad Dalilą, żeby z bliska pokazać jej to cacko. Alfred odniósł wrażenie, że w tej chwili wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia i poczuł niepokój. Nie zazdrość a właśnie niepokój.

- Borysie, jestem pod wrażeniem.

- Czyżby niewidzialna ręka rynku sprawiła, że alkohol dla wybrańców losu można już kupić w leskim monopolowym? - zaciekawiał się Jaków.

- No nie. Brat mi przywiózł ze Stanów.

„Brat? Kiedy? I co się z nim stało? Przeżył?” - Alfred postanowił przy kolejnej nadarżającej się okazji uzyskać odpowiedź na te pytania. Na razie trwała ożywiona rozmowa na temat najdroższych trunków. Alfreda zaskoczyło, że wódka, której butelka kosztuje sto dolarów robi na osobach dobrze zarabiających większe wrażenie niż lustracja programów badawczych i zapowiedzi cięcia kosztów w firmie. To ten temat powinien wywołać wrzenie, lecz nikt nawet go nie wspomniał. Tryskający humorem Akerman zachwalał bukiet zapachowy alkoholu, Joanna rozważała, czy Diamond Standard Vodka powinno się tak jak whisky pić z kostką lodu. Jaków przekonywał, że owszem, docenia wysokogatunkowe trunki,

ale nie ma to jak wpaść z kumplami do baru na „trzy szybkie zwykłej wyborowej”, Skalski zrobił wykład o jakimś rewelacyjnym szczepie drożdży winnych, a Alicja opowiedziała o pewnym profesorze, który po pijanemu rozebrał się do naga. Wreszcie koło dwudziestej pierwszej przystąpiono do brydża.

Alfredowi znów wypadło grać z Jakowem, zaś Akermanowi ze Skalskim. Po dwóch robrach dobry humor Akermana prysł jak mydlana bańka. Ślepawy mikrobiolog najpierw niewłaściwą licytacją popsuł ewidentnego szlemika w kiery, potem źle zawistował i przeciwnicy, zamiast leżeć bez jednej, wyszli na swoje. Alfred zauważył, że na Skalskiego w tak fatalny sposób działa bliska obecność Dalili.

Podejrzanie, że dyrektor tylko z nim rozmawiał na temat decyzji w sprawie cięcia kosztów jeszcze bardziej rozchwiało wewnętrzny niepokój Alfreda, a wspomnienie zbryzganej krwią kryjówki Jeremy przybierało formę obsesyjnego natręctwa. Jednak do szaleństwa doprowadzała go myśl, że spiskować przeciwko niemu mogłaby ta, bez której nie wyobrażał sobie dalszego życia. Niepewność serca dręczonego koszmarami podejrzliwych pytań usypiała jedynie bliskość Dalili, ale nie na tyle, by podzielić się z nią swoimi obawami. Co gorsza, nachodziły go wówczas refleksje sprawiające niemalże fizyczny ból duszy: niewinna Dalila podzieli los Anny...

Alfred o planach Centrali postanowił porozmawiać również z Kubą, więc po prostu zadzwonił do niego i poprosił, żeby przyszedł.

- Masz dla mnie nowe zadanie, szefie?
- Na razie cierpię na chroniczny brak pomysłu. Napijesz się czegoś?
- Chętnie, najlepiej koktajl. Obojętnie jaki.

Alfred wlał do zlewki po pięćdziesiąt mililitrów spirytusu, uzupełnił tonikiem wyjętym z lodówki i zamieszał.

- Wkrótce skończy nam się spijanie służbowych odczynników, a szczególnie stężonego etanolu.

- Chyba żartujesz. Tutaj nigdy nikt nie dociekał, czy chemikalia są zjadane, wypijane czy wykorzystywane do badań. Jeśli potrzebowałbyś kilo kawioru z ikry stuletnich białych jesiotrów z Morza Kaspijskiego³², nikt by nawet okiem nie mrugnął. Więc bądź spokojny i każ sobie uzupełnić lodówkę. Tym bardziej, że idzie zima.

- Doszły mnie słuchy, że Centrala planuje poważne cięcia kosztów.
- Wątpię. Kto ci takich bzdur naopowiadał?
- Każda firma od czasu do czasu weryfikuje wydatki.

- Ale nie ta. Ja przynajmniej nigdy o takich zapędach nie słyszałem. Zresztą, nawet gdyby tak było, jak ponuro wieszczysz, ciebie nie ruszą. Za krótko pracujesz. Większy powód do strachu powinien mieć Jaków albo Skalski, albo nawet sam Akerman. Ale ty? Twoja pozycja jest i jeszcze długo będzie niezagrożona.

- Miło słyszeć.

- Popatrz, Jarema przez ostatni rok poza piciem na umór nic nie robił i co? Pstro! Jeżeli już kogoś wypieprzą, to mnie.

- Bzdura. Za bardzo jesteś firmie przydatny.

- Chciałbym, żeby to była prawda. Pieprzone życie! - krzyknął, uderzając nadgarstkiem w blat biurka.

- Ej, co się dzieje? Coś nie tak? - spytał Alfred zaniepokojony nagłym wybuchem Kuby.

32 Beluga - najdroższy kawior świata.

- Człowiek wysiłkiem całej swojej inteligencji skleca dla swojego kalekiego życia piramidę sensu i okłamuje się, że taka jest wola Boga, a to jest oczywista bzdura. Gdyby Bogu zależało na człowieku, dałby mu nieśmiertelność zamiast uczynić go przejściowym elementem natury Zgnijemy jak każda padlina, a z atomów naszego ciała powstanie jakieś drzewo, trawa albo zwykłe błoto. W porządku, miał taki kaprys, ale, do diabła, po cholere w ten chemiczny proces wkomponował jeszcze cierpienie? Myślisz, że Bóg ma sadystyczne upodobania?

- Kuba, skąd ta depresja?

- Sypię się od środka. Kiedyś ksiądz Potępski był dla mnie psychicznym wsparciem. Rozmowy z nim dodawały mi otuchy i wiary w jakąś nadprzyrodzoną istotność. Z czasem przestawało to działać. Gorzej, zaczęło wnerwiać. Zrozumiałem, że choroba, kalectwo, poronione płody wojny i inne nieszczęścia są w istocie wodą na młyn Kościoła, bo jak nic nakręcają mu interes sprzedawania obietnic szczęścia pozaziemskiego. Teraz dorabianie najbardziej strzelistych filozofii do kulawego życia na wózku wzmaga tylko moje poczucie bezsilności. W końcu egzystuję tu i teraz, a cuda na kiju obiecuje mi się, gdy przyroda z niewzruszoną obojętnością wymaże po mnie wszelki ślad, jak po szcurze, wilku czy śledziu.

Alfred słuchał pełnych goryczy słów Kuby i zastanawiał się, jak zareagować. Kuba był zbyt inteligentny, żeby zadowolić go banalnym pocieszeniem, że będzie dobrze... że powinien znaleźć sobie konkretny cel... że życie jest wartością samą w sobie... lub wygłosić inną, równie wyświechtaną mądrość.

- Doskonale rozumiem. Nigdy cię nie spytałem, czy masz rodzinę.

- Nie mam. Po urodzeniu zostawiono mnie w szpitalu. Krótko mówiąc, jestem podrzutkiem.

- Przykro mi. Bardzo chciałbym ci pomóc.

- Myślisz, że to, czego szukasz daje taką nadzieję?

- Nie wiem, prawdopodobnie tak.

ROZDZIAŁ XXIII

Nazajutrz Alfred zabrał się ostro do pracy, żeby nadrobić zmarnowany czas. Wrócił do bilansowania zestawień składu chemicznego zarodków różnych roślin i uświadomił sobie, że choćby nie wiadomo jak się spręzał, zajmie mu to co najmniej rok. Potrzebował odpowiedniego programu komputerowego, który uwinąłby się z tematem w dwa dni, więc przełamał niechęć do ujawniania swojej wiedzy komukolwiek i zadzwonił do Jakowa. Jaków odebrał telefon dopiero po czwartym sygnale.

- Ty? Czemu dzwonisz zamiast odwiedzić sąsiada?

- spytał, gdy tylko usłyszał w słuchawce głos Alfreda.

- Siedzę w swoim gabinecie i potrzebuję twojej pomocnej dłoni. Wpadniesz do mnie?

- Jasne. Nastawiaj już kawę.

Zjawił się dokładnie w chwili, gdy zagwizdał czajnik. Ociekający wodą parasol wstawił do sanitariatu, buty zostawił za drzwiami na wycieraczce, a kurtkę powiesił na oparciu fotela.

- Daj, to nie buddyjska świątynia, żebyś musiał wchodzić w samych skarpetkach.

- Do rzeczy, stary, po co ci jestem potrzebny?

- Muszę zrobić pewne obliczenia. Niezbyt skomplikowane, ale pracochłonne. Gdybyś opracował mi odpowiedni program obliczeniowy, byłbym wdzięczny

- powiedział Alfred, stawiając przed gościem filiżankę z kawą.

- A ściślej?

- Mam tutaj skład chemiczny różnych próbek. Należy teraz wszystkie pierwiastki przyporządkować różnym związkom i je policzyć. Rozumiesz?

- Ani słowa. A muszę zrozumieć, żeby właściwie ustalić korelacje między kodem źródłowym a kodem maszynowym.

- To proste. Mam pewną liczbę pierwiastków, które są składnikami kwasów, białek, enzymów i tak dalej. Wiem dokładnie, czego ile mam, ale chcę wiedzieć...

- Jak to jest porozmieszczane?

- Dokładnie.

- Czyli mam wykonać coś w rodzaju bilansu?

- Mniej więcej.

- Stary, to robota dla buchaltera, a nie poważnego matematyka.

- Nie żartuj. Wiesz, ile tu jest składowych?

- No dobrze, ale zrobisz mnie drużbą na swoim weselu.

- Załatwione.

-1 jeszcze jedno, dane będziesz musiał sobie wklepać sam. Tej roboty nie znoszę - mówiąc to, przeglądał od niechcienia niekończące się kolumny cyfr i symboli. - A swoją drogą, odnoszę wrażenie, że chemicy z maniackim uporem rozkładają świat na atomy, kwarki, molekuły, żeby dociec, jak to wszystko działa.

- To chyba oczywiste.

- Dla mnie nie. Przecież pojedyncza cząsteczka złożona z atomu tlenu i dwóch atomów wodoru nie posiada właściwości takich samych jak szklanka czy ocean wody

- Rzeczywiście tak jest, ale już w latach sześćdziesiątych Prigogin³³ zauważył, że złożone wyłania się z prostego.

33 Ilya Prigogin - belgijski chemik, laureat Nagrody Nobla z 1977 r. 218

- Zapomniałeś o teorii wzrastającej złożoności Diraca³⁴. - Jaków podrapał się długopisem po głowie i po chwili namysłu dodał: - Wszechświat jest twórczy, więc może zamiast nieustannie rozkładać wszystko na czynniki pierwsze, lepiej badać spontaniczną zdolność materii do tworzenia coraz bardziej skomplikowanych struktur?

- Obawiam się, że wszedłbym w twoją dziedzinę. Przecież to ty pracujesz nad superwzorem na wszystko.

- Spokojna głowa. Ja w przeciwieństwie do Jaremy uważam, że jeśli moje przemyślenia mogą pomóc innym, to bardzo dobrze. I liczę rzecz jasna na wzajemność. A wracając do meritum, program będzie gotowy za jeden, najdalej dwa dni.

* * *

Alfred resztę dnia poświęcił analizie suszonego sukcesywnie mózgu królika. „Nasza inteligencja ma wyjątkowo wodnisty charakter” - pomyślał z rozbawieniem, ale zaraz nasunęło mu się pytanie: „Dlaczego? Dlaczego ewolucja neurytów, synaps, dendrytów i pozostałych elementów mózgu nie została zbudowana z miedzi, złota lub innych, równie dobrych przewodników? Czyżby natura nie miała tych pierwiastków pod ręką? A może było ich za mało? A może... zadziałała ekonomia? Mózg musiałby wytwarzać o wiele silniej sze impulsy żeby przesyłać je po metalowych przekaźnikach do mięśni i gruczołów! Jasne! Tylko łańcuch utworzony przez atomy pierwiastka zero pełni rolę doskonałego przewodnika. To jego energetyczna natura sprawia, że najlepiej, bo prawie bezoporowo, przesyła energię, tak jak fala radiowa przenosi głos. Woda w komórkach mózgowych tworzy hydraty, więc... wszystko jasne!”.

34 Paul Dirac - jeden z twórców mechaniki kwantowej. Laureat Nagrody Nobla z 1933 r.

Ta konkluzja była tak oczywista i jednocześnie tak odkrywczą, że Alfred aż krzyknął z wrażenia. W notatniku kupionym w Rzeszowie rozrysował helisę kwasu nukleinowego, wkomponował w niego cząsteczkę wody z zaznaczonym pierwiastkiem zero i nagle wzór ułożył się w logiczną całość. Ale to nie był koniec cudów. Zauważył, że gdy atomy wodoru i grupy hydroksylowej spolaryzuje się przestrzennie, molekuly pierwiastka zero utworzą ciąg, zaś związki białek i tłuszczów będą stanowiły dla niego rodzaj rusztowania.

Alfred wstał od biurka i zaczął nerwowo chodzić po gabinecie. „Czy to możliwe? Dlaczego od tysięcy lat tysiące uczonych zgłębiających tajemnice mózgu nie zainteresowały się jego głównym składnikiem, wodą?”. Kartkę z notatkami podarł na małe kawałeczki, te zawiązał w papier toaletowy, wrzucił do sedesu i spuścił wodę.

Piotr Jaków dostarczył Alfredowi program już następnego dnia rano.

- Masz. Gdy już dokonasz przewrotu w nauce, wspomnij tu i ówdzie, że pewien znajomy matematyk ma w tym sukcesie bodaj ułamkowy udział. Będzie mi miło, jeśli wymienisz moje nazwisko.

- Dzięki. Masz to jak w szwajcarskim banku.

Alfred usiadł do komputera. Zadanie było proste, chociaż pracochłonne. Kolumna po kolumnie, pozycja po pozycji wpisywał ilość fenoli, estrów, aldehydów, kwasów organicznych, olejków eterycznych, seskwiterpen... Nie zauważył, że minął czas obiadu i zapadł wczesny grudniowy zmierzch.

Zadzwoił telefon.

- Kochanie, czy ty nie przesadzasz z tą pracą? - w głosie Dalili brzmiał łagodny wyrzut.

- Zaraz skończę.

- A ile u ciebie trwa to „zaraz”? Znając cię, zapewne cztery godziny. Mogę ci w czymś pomóc?

- Niestety, nie.

- W takim razie zrobię kanapki i wpadnę do ciebie.

Zanim zdążył zaprotestować, Dalila odłożyła słuchawkę. Dziesięć minut później weszła do gabinetu z talerzem przykrytym termiczną folią.

- Pani Stenia przygotowała specjalnie dla ciebie ruskie pierogi. Jedz, póki ciepłe, ja w tym czasie zaparzę herbatę. - Zdjęła swój biały kożuszek, nalała do czajnika wody po czym

usiadła na skraju biurka i spojrzała na monitor komputera. - Z tego, co widzę, twoja praca polega na wklepywaniu zwykłych cyferek, więc ci pomogę. Możesz sobie protestować.

Alfred poczuł niepokój. To, co robił wydawało mu się tak logiczne i oczywiste, że każdy bez trudu mógłby odgadnąć cel, do którego zmierzał. Kochał Dalilę, ale...

- Masz rację. Dosyć na dzisiaj. Idziemy do domu. - Wyłączył komputer i zabrał się za pałaszowanie pierogów.

Gdy pół godziny później znaleźli się w pokoju Alfreda, Dalila niespodziewanie powiedziała:

- Niepokoi mnie, Alfredzie, że za mało interesujesz się sprawami związanymi z naszym ślubem. Czasem mam wrażenie, że tylko czekasz, aby zerwać zaręczyny

- Skąd ci przyszła do głowy taka niedorzeczność?

- Kobięca intuicja. Może jestem niemądra, ale miłość do ciebie chwilami odbiera mi rozum. Chcę cię mieć wyłącznie dla siebie. I na zawsze. Nie uzyskam spokoju duszy, dopóki będzie istniał cień obawy, że możesz mnie porzucić.

- W święta przedstawię cię mojej rodzinie. Czy tak postępuje facet, który ma niecierpliwość?

- Wolę dmuchać na zimne. - Dalila mówiąc to, z wdziękiem striptizerki zrzuciła z siebie kolejne części garderoby, a gdy została zupełnie naga, położyła się na wersalce. - No chodź, kocurku. Czas bez twojej obecności obok uważam za zmarnowany. Tak długo czekałam... No chodź...

Alfred poczuł, jak zalewa go fala testosteronu, jak w głowie narasta szum i jak serce niby smagnięte batem rusza opętańczym galopem. W tej chwili jedynym pragnieniem było osiąść tę fascynującą kobietę o ciele, jakiego mogłaby jej pozazdrościć sama Afrodyta. Wszystkie dotychczasowe wątpliwości i podejrzenia zostały wyparte z jego psychiki bez śladu, a w ich miejsce pojawiło się czyste, tkliwe uczucie i wszechogarniające szczęście.

* * *

Dla Alfreda nastały dni morderczej pracy a przekonanie, że lada chwila uzyska dowód, że jego kolejna hipoteza jest słuszna, wyzwalała w nim tytaniczne siły Program opracowany przez Jakowa sprawił, że tysiące danych posegregowanych w surowe rzędy i kolumny cyfr zaczęły zdradzać zapisane w nich sekrety Bardzo szybko zauważył, że w ostatniej rubryce, przeznaczonej dla pierwiastków „bez przydziału”, odnotowuje najwięcej wodoru i... deuteru³⁵. Zaskakiwał szczególnie deuter, który w naturze występuje w ilości dwóch setnych procenta, tutaj było go dziesięć razy więcej.

Odsunął się od ekranu i sięgnął po notes kupiony w Rzeszowie. Spodziewał się nadwyżki fosforu, siarki, potasu, chloru, magnezu... Ale wodoru i dekstranu? Zgodnie z obecnym stanem wiedzy, w stanie wolnym wodór i deuter tworzą cząsteczki dwuatomowe. Alfred zaczął rozważać, czy są również zdolne dokooptować pierwiastek zero. „Jeżeli tak, to aktywność takiego związku byłaby niewyobrażalna.” - Jego długopis znieruchomiał bezradnie nad czystą kartką - nie wiedział, jakiego rodzaju byłoby to wiązanie³⁶, lecz jedno było w tym wszystkim najwspanialsze: uchwycił koniec nitki, która doprowadzi go do celu. Ścierpł mu kark i rozboleła głowa. Musiał odpocząć, żeby powrócić do tematu z zapasem świeżych sił.

35 Deuter - izotop wodoru.

ROZDZIAŁ XXIV

Alfred zastał Dalilę w jej mieszkaniu przy przeglądaniu zawartości szafy

- Ach, kochanie, nie wiem, w co się ubrać, a chciałabym zrobić na twojej rodzinie jak najlepsze wrażenie.

- Przecież do świąt jest jeszcze sporo czasu.

- Taka uroczystość wymaga długich i starannych przygotowań. Nic na łapucapu.

- W cokolwiek się ubierzesz, wyglądasz ślicznie.

- Och, jak możesz tak mówić. Czy nie rozumiesz, że pierwsze wrażenie jest najważniejsze? Bardzo bym chciała, aby twoja mama mnie zaakceptowała. Jaka ona jest?

- Skromna i pobożna.

- Czyli najlepsza będzie spódnica za kolana i jasna bluzka z kołnierzykiem.

- Akceptuję.

- A buty?

- Te czerwone na szpilce.

- Myślisz, że mamie się spodobają?

- Nie wiem, ale z pewnością spodobają się mnie.

Dalila parsknęła śmiechem i usiadła mu na kolanach.

- Boże, jak ja cię kocham. Błogosławię dzień, w którym uległam namowom na przyjazd do Moczaryzyska. Zmarnowałamby życie, gdybym powiedziała „nie”.

36 Ponieważ wiązania chemiczne są zjawiskami kwantowymi, obecnie ich podział jest dyskusyjny

Alfreda naszła ochota, żeby już teraz zdradzić jej swój plan, ale rozległo się pukanie do drzwi. Chwilę później wszedł Piotr Jaków.

- Jeżeli przeszkadzam, przyjdę później.

- Ależ skąd. Usiądź - Dalila wskazała mu krzesło. - Napijesz się czegoś?

- Nie rób sobie kłopotu. Chciałem cię prosić o umycie pleców, ale ten zazdrośnik pewnie nie pozwoli, w tej sytuacji pożycz mi, jeśli masz, rocznik statystyczny za ubiegły rok, bo mój gdzieś przepadł.

- Wiem nawet gdzie. - Sięgnęła na półkę nad biurkiem. - Zapomniałeś, że ja go od ciebie pożyczałam.

Ach, wy roztargnieni uczeni. Powinieneś znaleźć sobie jakąś porządną panienkę.

- Pomyślę. Alfredzie, jak się sprawuje program?

- Bez zarzutu.

- Przypomnę ci, gdybyś przypadkiem zapomniał, co mi w zamian obiecałeś - Jakób nie odrywając wzroku od Dalili wycofał się za drzwi.

Kiedy dwie godziny później Alfred obejmował czule śpiącą Dalilę, jego myśli wciąż umykały w stronę laboratorium, jakby uparta podświadomość wołała: Uczyń intelektualny wysiłek! Skup się! To ważne!

Z maniakalnym uporem jego wyobraźnia wciąż przywoływała obraz molekuł wodoru i deuteru krążących w studni utworzonej z helisy dwóch nici DNA. „Cholera, tańczyły dwa Michały, jeden duży, drugi mały!” - Parsknął ze złością, wstał i poszedł do kuchni napić się wody. Stał przy oknie i spoglądał na nocny krajobraz. Czarne sylwetki majestatycznych świerków odcinały się ostro od szczytów rozjaśnionych światłem księżyca przenikającego przez pierzaste cirrusy³⁷. Alfreda od dziecka frapował swoisty teatr, jaki odgrywały obłoki. Zawsze był pod wrażeniem bogactwa ich kształtów i odcieni oraz sposobu, w jaki pobudzały umysł do wyszukiwania w nich konkretnych form, zaś w fakcie, i że cumulusy³⁸ samego Michała Anioła zainspirowały do namalowania genialnego fresku Stworzenie Adama, dopatrywał się niemalże mistycyzmu. Teraz on sam patrząc na nocne niebo doznał olśnienia. „Tam wysoko, w troposferze, gdzie powstają lodowe chmury, nieustannie trwa kosmogenna produkcja radioaktywnego węgla czternaście³⁹! Organizmy żywe go pochłaniają. Dlaczego? Czy dlatego, że po prostu istnieje, czy też jest on niezbędny materii ożywionej? Czy ma on jakiś związek z deuterem? Woda może składać się z tlenu i kombinacji atomów wodoru i deuteru. Czy w każdej z tych cząsteczek występuje jeden pierwiastek zero, czy może jest ich więcej? Węgiel z wodorem tworzą związki organiczne, czy ożywia ją pierwiastek zero, czy dodatkowo potrzebne są ich izotopy?”.

³⁷Cirrusy chmur powstają w górnej troposferze, zbudowane z kryształków lodu.

Zakradł się do sypialni, wyjął ze spodni swój notes i długopis, wrócił do kuchni, usiadł przy stole i zaczął rozrysowywać chemiczne konstrukcje. Najpierw wrócił do wcześniejszej hipotezy, że atomy pierwiastka zero w odpowiednio skonfigurowanych cząsteczkach wody tworzą swoistą strukturę wewnątrz rusztowania utworzonego z kwasów nukleinowych i innych związków, których dokładne wzory nie miały teraz znaczenia. Następnie w miejsce atomów wodoru wstawił atomy deuteru, a w miejsce węgla 12 węgiel 14.1 nagle wszystko zaczęło się układać jak w puzzlach. Gdy już jako zwiastun sukcesu pojawiło się łaskotliwe podniecenie, przyszła myśl, która podziałała jak kubek zimnej wody: struktura była stabilna. Nie powodowałyby ani przyrostu ani ubytku masy przy wzroście bądź umieraniu organizmów żywych.

38Cumulusy - chmury kłębiaste powstające na wysokości 600-2500 m. Tworzą je krople wody

39Węgiel 14 - powstaje w wyniku pochłonięcia neutronu przez atom azotu.

Alfred zamknął oczy i uruchomił wyobraźnię: cząsteczki pentozy, reszty kwasu fosforowego, zasady azotowe... Widział każdy atom wibrujący w siatce wiązań, każdy promień wartościowości trzymający w uścisku bratnie pierwiastki, widział każdą skonfigurowaną cząsteczkę wody tkwiącej w tym układzie niczym grafitowy pręt w ołówku. Obracając powoli tę przestrzenną kompozycję, poszukiwał dodatkowych miejsc dla swojego pierwiastka. „Może pierwiastek zero tworzy grupy funkcyjne⁴⁰? Może oprócz grupy karboksylowej czy aminowej jest jakaś charakterystyczna grupa zeropierwiastkowa decydująca o własnościach chemicznych całości? Może tworzy ją z którymś z izotopów?” - pomyślał i nagle uświadomił sobie, że 83 pierwiastki z całej Tablicy Mendelejewa, nie wyłączając tlenu, posiadają swoje odmiany.

„A może to jest tak, że każdy izotop może reagować z pierwiastkiem zero?” - pomyślał, po czym znów pochylił się nad swoim szkicem. „Skoro życie wyszło z wody z deuteru. Ile pierwiastków zero mógłby przyłączyć? Jeden? Dwa? Trzy? Lód ma strukturę heksagonalną, więc może sześć?”. Na kartce od dodatkowych symboli „Z” robiło się aż ciasno. I wtedy Alfred spostrzegł, że gdyby związek pierwiastka zero i deuteru był nietrwały, w obecności innego aktywnego związku z deuterem zachodziłaby reakcja redukcji i... tej pięknej, przestrzennej struktury nie można byłoby zakończyć. Układ wciąż pozostawałby w stanie nienasycenia, a to oznaczało gotowość przyłączenia kolejnych cząstek w określonej konfiguracji. Czuł się jak uczeń, który rozwiązał długie i skomplikowane zadanie matematyczne, a w wyniku otrzymał zwycięznie jeden.

40 Grupa funkcyjna - w chemii szczególnie aktywna część cząsteczki (decydująca również o jej właściwościach).

Nieświadomie zmierzwił włosy i jeszcze raz sprawdził rysunek. W swojej precyzji był piękny jak dzieło sztuki. Ta niewielka karteczka wyrwana z notesu za kilka złotych miała teraz wartość miliona dolarów noblowskiej nagrody i ponadczasowego prestiżu na niwie naukowej. Alfred wiedział, że zapiski powinien zniszczyć, lecz ogarnął go strach, że to, co przed chwilą objawiło mu się w przebiegu geniuszu, może ulec zapomnieniu. Wiele już razy zaprzepścił nocne pomysły, których nie zapisał licząc na niezawodność pamięci.

- Dlaczego nie śpisz, kochanie?

W drzwiach, oparta o futrynę, stała Dalila. Była naga. Jej wspaniałe kasztanowe włosy tworzyły na głowie artystyczny nieład.

- Długo tu stoisz?

- To fascynujący widok patrzeć, jak pracujesz. - Podeszła do Alfreda i taksując spojrzeniem jego zapiski, usiadła mu na kolanach. - Jeśli powiesz, że te bazgroły są bardziej interesujące ode mnie, wpadnę w kompleksy

Alfred z trudem zdusił w sobie chęć pochwalenia się swoim sukcesem. Zmiał niedbale kartkę, schował do kieszeni piżamy i powiedział:

- Masz rację, kochanie. Każda chwila bez ciebie to chwila stracona.

* * *

Podniecenie odkryciem nie opuszczało Alfreda przez następny dzień. Raz po raz wyjmował z kieszeni pomięte notatki, żeby przyjrzeć im się dla samej przyjemności patrzenia i za każdym razem uświadamiał sobie, że musi je dobrze ukryć. Miał jednak świadomość, że kolejna wyprawa do Rzeszowa może wzbudzić czyjeś podejrzenia, ale wyjazd do Leska pod pretekstem skorzystania z usług fryzjera była bezpieczna, tym bardziej, że jego włosy aż się prosiły o nożyczki.

- Właśnie jadę do Sanoka. Jestem umówiony na konkretną godzinę, ale gdyby pan zdążył zebrać się w pięć minut, nie ma sprawy - usłyszał od kierownika Noskowskiego, do którego zwrócił się z prośbą.

- Już jestem gotowy Proszę podjechać pod laboratorium.

Prosił drobny śnieg, co w najmniejszym stopniu nie utrudniało firmowemu jeepowi rozwinięcia szybkości. Kierownik prowadził samochód z pewnością kierowcy, który wielokrotnie przemierzał tę trasę. Jechali w milczeniu. Alfred z zapartym tchem obserwował mijane krajobrazy Bezlistne drzewa poszerzały pole widzenia, odsłaniając omszałe głązy, poskręcane konary, odkryte korzenie wiatrołomów, zielone na przekór zimie sosny, świerki i jałowce, a gdzieniegdzie, w prześwitach, daleką panoramę przesłoniętych niebieską mgłą górskich masywów. Blaski zimowego słońca odbijały się w zamrzniętych kałużach i soplach zwisających z gałęzi niczym kryształowe lambrekiny Alfred uświadomił sobie, że pokochał tę jedyną w swoim rodzaju świeżość nieskalanej cywilizacją dzikości i poczuł niemęski żal, że wkrótce ucieczka uniemożliwi mu powrót w Bieszczady.

- Będę wracał mniej więcej za dwie godziny - powiedział Noskowski, zatrzymując samochód przed leskim Ratuszem. - Pogoda jest nieszczerólna, proponuję, aby czekał pan na mnie w jakimś lokalu. Może w Ratuszowej? To tam.

Gdy jeep zniknął za najbliższym zakrętem, Alfred skierował się w kierunku najstarszego w mieście zakładu fryzjerskiego. Pan Zygmunt przywitał go jak długo oczekiwanego gościa.

- O, jakże się cieszę, że szanowny pan sobie o mnie przypomniał. Zapraszam, zapraszam na fotelik. Strzyżenie, prawda?

- Oczywiście. Coś pusto dziś u pana.

- W taką pieską pogodę ludzie wolą siedzieć w domach przy ciepłych kaloryferach.

Jak strzyżemy?

- Krótko. Jak najkrócej.

- Czy na długo zawitał pan znów w nasze strony?

- Na kilka dni.

- Czy odnalazł szanowny pan swojego przyjaciela?

- Niestety nie, ale nadal próbuję.

- W dzisiejszych czasach dzieją się okropne rzeczy, proszę pana, chociaż podobno osiągnęliśmy cywilizacyjny szczyt.

Alfred słuchając jakiejś przejmującej historii czekał na stosowny moment, żeby wyłuszczyć swoją sprawę. Miał w kieszeni marynarki dwie koperty z cennymi zapiskami. Jedną kopertę zamierzał wysłać na adres swojej skrzynki pocztowej, drugą pozostawić u pana Zygmunta. Wtem w mózgu Alfreda odezwał się wewnętrzny sygnał alarmowy, że ktoś podsłuchuje ich rozmowę. „Cholera, mam pluskwę czy manię prześladowczą?” - zadał sobie pytanie, a odpowiedź podyktowała wrodzona ostrożność. „Lepiej dmuchać na zimne.”. Wyobraził sobie, że gdzieś w pobliżu zakładu stoi zaparkowany samochód firmy naszpikowany aparaturą podsłuchową, a superczułe magnetofony rejestrują każde jego słowo.

Tymczasem fryzjer skończył strzyżenie i podszedł do bocznego stolika, żeby wypełnić paragon. Alfred podążył za nim. Położył na blacie koperty, na nich banknot stużłotowy i gestem nakazał milczenie, wyrwał z notesu kartkę i napisał:

Kopertę z adresem proszę wysłać listem zwykłym. Kopertę bez adresu proszę zatrzymać. Zgłoszę się po nią za jakiś czas.

Pan Zygmunt skinął głową, że zrozumiał, po czym gładko powrócił do swojej roli:

- Dziękuję szanownemu panu i polecam swoje usługi na przyszłość.

Alfred z lekkim sercem opuścił zakład i pewnym krokiem ruszył w stronę Ratuszowej.

ROZDZIAŁ XXV

Dalila boczyła się nieco na Alfreda, że pojechał do Ł - Leska bez informowania jej o tym.

- Obawiam się, kochanie, że świadczy to o twoich tendencjach do skoków w bok. A ja jestem zazdrosna.

- Niepotrzebnie. Poszedłem tylko do fryzjera. Nawiasem mówiąc, do mężczyzny.

- Pojechałabym z tobą.

- W taką pogodę, żeby się przeziębic? Wykluczone.

Siedzieli przy koniaku w mieszkaniu Dalili i oglądali telewizję. Alfred udając, że śledzi akcję filmowego kryminału przez cały czas zastanawiał się, w jaki sposób po zerwaniu współpracy z Corporation Medikament Laboratories napisać elaborat, aby przekonać naukowe autorytety o odkryciu pierwiastka zero. Nie tylko to go niepokoiło. „Jest oczywiste, że jeśli największe laboratoria na świecie rzucą się na poszukiwanie metody, która pozwoli chemicznie sterować pierwiastkiem, wcześniej czy później ktoś wydrze tę tajemnicę przyrodzie i zbije na tym fortunę. Jak sensownie zabezpieczyć swój finansowy udział w patencie i laurach?” - rozważał. „Jeżeli poślubię Dalilę, a wszystko na to wskazuje, muszę zapewnić jej komfort najwyższej klasy zaś królewskie dochody, które osiągam teraz, się skończą.”

- Nie interesuje cię film, kochanie? - spytała Dalila.

- Interesuje. Jest bardzo ciekawy.

- Alfredku, powiedz, co cię dręczy

- Nic.

- Przecież widzę.

- Dalilo, mówiłaś, że firma zaczyna liczyć koszty, bo od pięciu lat nie odnotowano żadnego znaczącego wynalazku.

- No tak, ale serce i rozum mi mówią, że twoja pozycja jest bezpieczna.

- A jaki wielki wynalazek był ostatni?

- Nie wiem, mój Einsteinie. Nawet gdybym miała go przed nosem, niewiele bym z tego pojęła. Jednak coś cię trapi.

- Powiedziałbym ci, gdybyś była chemiczką.

- Po prostu mów. Problem nazwany łatwiej rozwiązać. Gdy jako dziecko nie radziłam sobie z matematycznym zadaniem, ojciec kazał mi czytać je na głos. Wyobraź sobie, skutkowało.

Alfred dałby wiele, żeby ktoś podzielił z nim ciężar decyzji, a tu patrzyły w niego oczy tak szczere, tak pełne miłości i oddania, a najśłodsze na świecie usta same sformułowały upragnione pytania. Tylko ostrzeżenia Jaremy pozwoliły mu poskromić chęć do wyznań.

- Kotku, na moje problemy najlepsza jesteś ty

- Ach, czuję dyskomfort, gdy wiem, że coś cię gryzie.

- Przestanie mnie gryźć, gdy będę myśleć tylko o tobie.

* * *

Umysł Alfreda nieustannie pracował nad koncepcją kolejnych eksperymentów, chociaż było mało prawdopodobne, że zdąży je przeprowadzić jeszcze przed świętami. Jednak chwilami żał mu było porzucać doskonale wyposażone laboratorium, sprawnych i fachowych współpracowników oraz tę niemalże fizycznie namacalną atmosferę akceptacji dla jego geniuszu.

Tego wieczoru po kolacji wracał z Dalilą do domu.

Padający od rana śnieg pokrył puszystą bielą Bieszczady nadając ich dzikiej urodzie niemalże pocztówkowej poetyki. Rozmawiając o zbliżających się świętach szli nieśpiesznym krokiem główną uliczką rozświetloną żółtymi światłami latarń. Wtem Alfreda zmroziło. W oknie swojego pokoju ujrzał słabe światło, chwilę później poruszający się na tle szyby cień. Spojrzał uważnie na Dalilę, ta jednak, trzymając go pod ramię, patrzyła pod nogi. Alfred z trudem zapanował nad żywiołową reakcją. Miał świadomość, że każdy mijany dom jest doskonałym punktem obserwacyjnym i tylko kamienny spokój dawał mu szansę przyłapać intruza. „Ten ktoś, kto do mnie wszedł, musi jakoś wyjść, zobaczę, kto to będzie” - szykował się niecierpliwie na rychłe rozwikłanie zagadki. Byli już prawie u celu, gdy światło na piętrze zgasło. Alfred spojrzał odruchowo w okna Jakowa i zobaczył go poprzez firankę, jak gestykulując rozmawia z kimś niewidocznym w głębi pokoju. Również za oknami Dalili panowały głębokie ciemności, których nawet na moment nie rozjaśniła poświata, która powinna paść z oświetlonego korytarza przez otwierane do mieszkania drzwi. Alfred poczuł napięcie trudne do zniesienia. „Ten, kto teraz wyjdzie, będzie tym intruzem” - myślał, ale... nikt nie wychodził.

- Idziemy do ciebie, kochanie, czy do mnie? - spytała Dalila, otrzepując buty ze śniegu.

- Proponuję do mnie.

Otwierając drzwi wyjął niepostrzeżenie skrawek kontrolnego papierka. W pokoju wszystko leżało na swoim miejscu. W jego głowie panował zamęt, lecz wstrzymał się od dotknięcia lampki, żeby sprawdzić, czy ciepła.

- Kochanie, pójdziemy pod prysznic?

- Idź sama, zaraz do ciebie dołączę, muszę tylko coś pilnie załatwić.

- No nie. Ty potrafisz popsuć nawet najbardziej romantyczną atmosferę.

- To potrwa zaledwie dziesięć minut. - Alfred nie czekając na dalsze utyskiwania wybiegł z pokoju, zbiegł po schodach i szybkim krokiem ruszył w kierunku swojego laboratorium. Czekał, aż emocje opadną na tyle, by na trzeźwo ocenić sytuację. Określić, czy jest inwigilowany czy popada w szaleństwo, gdyż każda pomyłka byłaby kosztowna. Nie chciał popełniać błędów Jeremy Najbezpieczniejszy był jako facet, który niczego nie podejrzewa.

Wszedł do swojego gabinetu, włączył komputer i zaczął przeglądać zestawienia składu chemicznego zarodków nasion, jednak jego myśli niepodzielnie zajmowały tajemnicze światła i cienie. „Cudów nie ma, ktoś wchodzi i... i wychodzi przez ścianę? Duch?” - Alfred próbował przywołać w pamięci opowieści Jeremy, nawet te najbardziej niedorzeczne. „Tak czy owak, na wszelki wypadek przyjrzyć się ścianom.”

Tajne przejścia były dla Alfreda elementem powieści i filmów sensacyjnych, jednak miał świadomość, że życie przerasta najdziwniejsze fantazje, a ukryte drzwi to żaden cud techniki. Nie zdejmując kurtki wklepał do komputera kilka nic nieznaczących uwag i wyszedł. Żałował, że brakuje mu inżynierskiego wykształcenia, które pozwoliłoby wychwycić budowlane anomalie, a tymczasem mijane wolno domki aż kłuły w oczy sielankową zwyczajnością. Wtem uwagę jego. przyciągnął świetlny refleks w piwnicznym oknie i jednocześnie uświadomił sobie, że budynki nie są podpiwniczone. „Może tylko u mnie nie ma piwnicy?” - pomyślał, lecz już chwilę później z daleka wypatrzył w swoim domu tuż nad ziemią małe, zakratowane okienko z grubą, nieprzeźroczystą szybą.

* * *

Dalila spała z głową na otwartej książce. Alfred rozebrał się bezszelestnie i zaczął krążyć po mieszkaniu w poszukiwaniu zamaskowanych drzwi. Niestety, w łazience kafelki przylegały do siebie nieskazitelnie, wanna była osadzona w solidnej obudowie, lustro zbyt małe, aby ukryć odpowiedniej wielkości otwór, szafka na kosmetyki również. W kuchni, przedpokoju i obydwu pokojach ściany miały gładkość kartki papieru.

W grę mogła wchodzić jedynie szafa w sypialni, ale jej tylna ściana z litej płyty przylegała do ściany działowej z kuchnią. „Nikt z pomieszczenia do pomieszczenia nie będzie

przechodził przez szafę, gdy może przejść drzwiami. Jezu, czy tak się zaczyna paranoja?” - Usiadł przy kuchennym stole i wyjadając bezwiednie cukier z cukierniczki, zaczął się zastanawiać, jak on wykonałby tajemne przejście, gdyby musiał. „Oczywiście, zrobiłbym podwójną ścianę!” - nagle odkrywczą myśl niby błyskawica przeleciała mu przez głowę: „Kuchnia powinna być większa!!!”. Dopiero teraz jasno dostrzegł, że szerokość ściany między kuchnią a sypialnią z każdej strony jest inna. „Nie, nie będę opukiwał ścian. Zastawię pułapkę” - postanowił. Napięcie powoli zaczynało odpuszczać. Pogasił światła, położył się cicho obok Dalili i objął ją czule ramieniem.

Rankiem zostawił większy niż zazwyczaj bałagan. Kapcie kopnął pod szafę, jedno spodnie rzucił pod ścianę, drugie pod okno, w kuchni rozsypał po podłodze cukier, a wychodząc wrócił jeszcze od drzwi i na kartce wyrwanej «z notesu nabazgrał jakiś skomplikowany wzór chemiczny, położył na niej długopis i zapamiętał jego ustawienie. Jeden koniec znajdował się w środku symbolu tlenu, drugi - jedynego atomu sodu, skuwka była zwrócona do okna. Po drodze wstąpił po Dalilę, która jak co rano zaraz po przebudzeniu zeszła do siebie, żeby się przebrać. Chciał mieć stuprocentową pewność, że to nie ona w jego mieszkaniu cokolwiek przestawiła.

W pracy jeszcze na korytarzu natknął się na Artura Knapa.

- Dobrze, że cię widzę. Z tych króliczych mózgow, które leżą w lodówce wytnij próbki cztery na cztery milimetry i nie grubsze niż pięć milimetrów i dokonaj pomiaru na tym nowym spektrometrze.

- To pilne?

- Żeby było na dzisiaj. I poproś do mnie Kubę.

Alfred wszedł do gabinetu i zdejmując wierzchnie okrycie lustrował biurko, próbując sobie przypomnieć, w jakim stanie zostawił je poprzedniego wieczoru. Nie zauważył jakichkolwiek zmian, więc włączył komputer, otworzył plik z analizą zarodków nasion i zamarł w bezruchu. Myślał. Zakładał, że u kogoś, kto go ewentualnie obserwuje, jego głęboki namysł nie wzbudzi podejrzeń. Po dziesięciu minutach ściągnął stronę do paska i otworzył nowy plik, który zatytułował: RAPORT.

Teżę, że poniżej wodoru, na granicy materii i energii, istnieje przejściowy pierwiastek zero można udowodnić za pomocą wagi o bardzo wysokiej czułości...

Do gabinetu wtoczył się Kuba.

- Dzień dobry, szefie. Jestem.

- Muszę dla Centrali napisać raport ze swoich osiągnięć naukowych i...

- Oczekujesz mojej pomocy

- Problem polega na tym, że nie mam tego, co najważniejsze. Cały czas drepczę w kółko w sferze hipotez i chybionych pomysłów. Czuję, że góra tego nie zaakceptuje.

- Doświadczenia wykonane na wadze nic nie dały?

- Potwierdziły tylko słuszność moich założeń.

- A co wynikło z analizy zarodków nasion i mózgu królika?

- Nic - skłamał gładko.

- Czyli wiesz, że ta substancja istnieje, lecz nie potrafisz tego udowodnić w sposób wystarczający?

- Dokładnie.

- Moim zdaniem i tak odniosłeś sukces. Wystarczy, jeżeli wyliczysz, jakie nieskuteczne metody już zastosowałeś i jakie zamierzasz wypróbować. Byliby idiotami, gdyby zrezygnowali, zanim wyczerpiesz wszystkie pomysły. Mam ci pomóc?

Oczywiście, jednak pod warunkiem, że moje naukowe kłopoty zachowasz w tajemnicy.

- Jak możesz w to wątpić?! Cieszy mnie twoje zaufanie. Domyślam się, że związek, którego szukasz stymuluje komórki do mnożenia się.

Alfred uznał, że wygodnie byłoby potwierdzić to przypuszczenie, jednak gdyby ktoś ich podsłuchiwał, wiedziałby, że kłamię.

- Również i to. Na razie mam wrażenie, że ta cholera jest wszędzie i nigdzie.

- Może moja wiedza będzie przydatna?

- A co proponujesz?

- Tak z marszu trudno powiedzieć. Muszę mieć jakieś materiały.

W głowie Alfreda zapaliła się ostrzegawczo czerwona lampka. Kuba był zbyt dobrym chemikiem, żeby go wtajemniczać w meritum badań.

- Najpierw posegreguję ten bałagan, ale może wiesz, jak uzyskać wgląd w jakieś stare raporty pisane przez innych? Sprawdzony wzór ułatwiłby mi pracę.

- Mówiłem już, wcześniej nikt żadnych raportów nie pisał. Przynajmniej ja o tym nic nie wiem.

Do gabinetu wszedł Artur Knap ze stosem płytek fotograficznych i atlasem widm.

- Szefie, przejrzy pan to sam? Doktor Akerman zlecił mi pilną analizę.

- Zostaw.

Kuba skorzystał z okazji, żeby wyjść razem z Kna- pem, tymczasem Alfred zaczął przeglądać klisze. Było dla niego oczywiste, że pierwiastek zero musiał odcisnąć na nich swoje delikatne piętno, którego nie uwzględniono w żadnym atlasie. Zakładał, że

najprawdopodobniej objawia się jako niewielka anomalia, którą próbował wypatrzeć w gąszczu prążków różnej grubości. Mógłby wykorzystać program komputerowej obróbki, by zwiększyć selektywność, ale wtedy zniszczyłby wszystkie niezidentyfikowane ślady

Mimo wysokiej dokładności badania nie znalazł nic. Zapalił dodatkową lampkę na biurku i sięgnął po szkło powiększające. Bez skutku. „Skoro energia wymyka się naszym zmysłom, skoro określamy ją fizyczną wielkością skalarną, która jest swoistym paliwem do wykonywania zmian w świecie materii, to może nie sposób za pomocą ułomnej definicji udowodnić prawa nigdy niezdefiniowane?” - rozważał.

Praca tak go zaabsorbowała, że dopiero telefon od Dalili przypomniał mu o otaczającym świecie.

- Kochanie, idę już do stołówki. Zrób sobie przerwę.

Dalila siedziała przy stoliku wraz z Jakowem i Akermanem. Usiadł na wolnym krześle.

- Już zamówiłam ci zupę jarzynową i bryzol. Mój Boże, gdybym mojego Alfreda nie przypilnowała, pewnie umarłby z głodu przy jakimś mikroskopie czy innym pHmetrze. To niebywałe.

- Pracoholik przy takiej kobiecie przynosi wstyd całemu rodzajowi męskiemu. Zastanów się, Dalilo, nad swoim wyborem - westchnął komicznie Jaków, a gdy ucichł śmiech, niespodziewanie zmienił temat. - Czytaliście ogłoszenie w holu? Kuchnia prosi, żeby zgłaszać, kto wyjeżdża na Gwiazdkę. Informacja dla nowych. Firma zimą zezwala, a nawet nalega, żeby pracownicy brali świąteczne urlopy aż do Trzech Króli.

„Dwa tygodnie to wystarczający czas na szczegółowy remanent informacji, których uczeni tak zazdrośnie strzegą” - nasunęła się Alfredowi refleksja.

- Czy w ogóle są tacy, którzy nie wyjeżdżają?

- Niezbędna obsługa, rzecz jasna. Takiego ośrodka nie sposób po prostu zamknąć na klucz.

Z niewiadomego powodu Alfred pomyślał o panu Franciszku Janeczce i wyobraził go sobie, jak Wolno przechadza się pomiędzy klatkami z królikami i szczurami.

- Czy ludzi do obsługi zatrudnia się spośród miejscowej ludności?

- Prawdę mówiąc nigdy nie pytałem. Zresztą, to dla nas bez znaczenia. - Akerman wzruszył ramionami.

Wtem Alfredowi wydało się niepojęte, że dotąd z obsługi zaniepokoił go tylko budzący respekt Dalili, ponoć głuchy i ślepowy dozorca zwierząt, biegle władający łaciną. Natomiast obojętnie przeszedł nad faktem, że kucharka posiada specjalistyczną wiedzę z

chemii, a ksiądz swobodnie dyskutuje nie tylko o filozofii, ale i splątaniu kwantowym. „Ciekawe, czego jeszcze nie wiem o tych skromnych ludziach drugiego planu?” - pomyślał i z zaciekawieniem rozejrzał się po jadalni, jakby tego dnia ujrzał ją po raz pierwszy. Większość miejsc była zajęta. Naukowcy i laboranci zajmowali środkowy rewir tuż przy samym oknie. Pod ścianą, bliżej kuchni, siedziała administracja, z drugiej strony na lewo od drzwi - personel pomocniczy, wśród którego rozpoznał tylko Adasia i bezimiennego strażnika widywanego przy bramie.

Obserwowani ukradkiem ludzie nie wyglądali na tutejszych górali. Byli uprzejmi, wyciszeni i precyzyjnie sprawni jak trybiki w szwajcarskim zegarku. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek zamienił bodaj zdanie z jakimś sprzątaczem, praczką, magazynierem, zaopatrzeniowcem, z pracownikiem dokonującym drobnych napraw, obsługujących hydrofornię czy węzeł grzewczy... Byli, ale jakby ich nie było. Nawet podczas posiłków zachowywali dziwną wstrzemięźliwość.

Do jadalni wszedł pan Franciszek Janeczko i skierował się do rewiru „fizycznych”. Choć Alfred bywał tu codziennie, dopiero teraz dostrzegł, że osoby siedzące przy stole, do którego się zbliżał, na jego widok z szacunkiem wstały. Rzecz niebywała nawet w przypadku dyrektora Pijara. „Czy wśród tych ludzi siedzą zabójcy Jaremy?” - zadał sobie nieme pytanie, a intuicja podpowiedziała mu „tak”. Na myśl, że ci sami bezwzględni mordercy niby sępy krążą za ścianami jego mieszkania, przetrząsają jego rzeczy, rejestrują jego rozmowy, przeszukują jego komputery podglądają, jak się kocha z Dalilą... doznał wrażenia, że wpadł w pułapkę. Lada moment zatrząśnie się za nim zapadnia i będzie już po nim.

- Kochanie, po obiedzie muszę jeszcze wrócić do biura i popracować trochę dłużej. - Dalila ujęła go czule za dłoń, jakby tym gestem chciała przeprosić za tę przykrość.

- Trudno. Ja też mam dzisiaj zajęcie. Mało prawdopodobne, że skończę przed kolacją.

Po wyjściu ze stołówki Alfred najpierw skierował się do laboratorium, potem niespodziewanie przystanął, pomyślał chwilę i ruszył w kierunku domu. W sypialni stwierdził, że kapcie odsunięte są od szafy prawie pod ścianę. W kuchni długopis nadal leżał na notatkach, nadal był skierowany skuwką do okna, lecz jego końce dalekie były od symboli tlenu i sodu. Na podłodze nie dostrzegł żadnych śladów, ale cukru było jakby więcej. Gdzieś w głębi brzucha poczuł narastający z każdą chwilą dygot. Jednym ruchem zgarnął kartki ze stołu, schował do kieszeni i pośpiesznie wyszedł. Kiedy znów usiadł w swoim gabinecie przy biurku, trząsł się jak w febrze. Intuicja podpowiadała mu, że coś złego się święci, a zdrowy rozsądek nakazywał maksymalną ostrożność.

Alfred nalał pół szklanki spirytusu, dopełnił tonikiem i wstrząsnawszy lekko mieszaniną, pociągnął kilka długich łyków. Już wkrótce poczuł uspokajające skutki koktajlu - powracała jasność rozumowania. „Ja na ich miejscu utworzyłbym zespół zaufanych uczonych, którzy na bazie moich ustaleń z sukcesem dokończyliby badania. Byliby głupcami, gdyby postąpili inaczej. Prawdopodobnie w równoległych ośrodkach prace nad pierwiastkiem zero już idą pełną parą. Gdy pierwsi znajdą rozwiązanie, będę skończony a nawet martwy. Nie mam w ręku żadnych atutów Muszę brać nogi za pas i jak najprędzej ogłosić drukiem swoją teorię. Najbezpieczniejszym terminem ucieczki będzie Boże Narodzenie. W nikim nie wzbudzi podejrzeń fakt, że chcę przedstawić narzeczoną rodzinie” - postanowił.

Decyzja o ucieczce podniosła Alfreda na duchu. Zaczął poszukiwać najskuteczniejszej metody, by ogłosić wszem i wobec swoje odkrycie. Na świecie wydawanych było ponad pięćdziesiąt tysięcy czasopism naukowych, w których publikowano z milion artykułów rocznie, lecz w każdym musiały one przejść żmudny proces naukowego recenzowania. Alfred doskonale zdawał sobie sprawę, że żaden prekursor nie ma łatwo. Rozważał wszystkie „za” i „przeciw”, ale nie była możliwa ocena ryzyka bez odpowiedzi na dwa zasadnicze pytania: czy uczeni recenzenci zaaprobują naukową rewolucję, która zaprzepaści dorobek ich życia, na który ciężko pracowali? Czy zezwolą, aby wszystkie napisane przez nich książki i mądre artykuły okazały się tylko makulaturą? Było wysoce prawdopodobne, że świat nauki sprzysięgnie się przeciwko niemu, by nie dopuścić, aby myślenie o wszechświecie rozpoczynać od nowa. Dla Alfreda sztandarowym przykładem takiego obrotu sprawy był przypadek genialnego Tesli⁴¹, którego niewiele pomysłów ujrzało światło dzienne. Gdy umarł, wojskowe służby specjalne skonfiskowały i zamknęły w sejfach jego notatki, by wykorzystać je potem w tajnych projektach.

„A może wręcz przeciwnie? Może dopiero moja teoria da asumpt do kolejnych badań? Może naukowcy porzucą ścieżki prowadzące donikąd i z zapalem rzucają się do zgłębiania pionierskiej dziedziny wiedzy? Nowo odkryte przestrzenie stwarzają najwięcej szans na sukces. Przecież to dzięki doktrynie Kopernika Galileusz skonstruował lunetę, Kepler sformułował trzy reguły rządzące ruchem planet Układu Słonecznego, a Hubble udowodnił, że Wszechświat się rozszerza.”

Rozważania te doprowadziły Alfreda do wniosku, że jego teoria na temat pierwiastka zero, jak to w życiu bywa, napotka zarówno zajadłych oponentów, jak i gorliwych zwolenników, ale historia ludzkiej myśli dowodziła, że ostatecznie triumfuje prawda. I ta konkluzja przywróciła mu równowagę wewnętrzną.

Do godziny osiemnastej Alfred obmyślał szczegóły planu, potem zamknął swój gabinet i udał się na stołówkę. Zamierzał sprawdzić, kto już się wpisał na listę osób wyjeżdżających na święta, a przy sposobności umieścić na niej siebie i Dalilę. Ze zdziwieniem stwierdził, że żadnej listy nie ma, a deklarację o wyjeździe należy zgłaszać u pani Steni.

41 Nikola Tesla (1856-1943) - serbski wynalazca, poeta i malarz. Był autorem 112 patentów, głównie urządzeń elektrycznych (silnik, prądnica prądu zmiennego, radio, elektrownia wodna, dynamo itp.).

* * *

Na potrzeby planowanej ucieczki Alfred chętniej niż zwykle rozmawiał z Dalilą o wyjeździe, opowiadał o swojej rodzinie, a nawet razem z nią układał listę weselnych gości. Podszuchujący nie mogli nabrać podejrzania, że coś knuje.

- Zdradzę ci coś, kochanie. Fajnie tutaj jest, ale czasami... nie wiem, jak to wyrazić... krótko mówiąc, chciałabym stąd wyjechać gdzieś daleko... Najlepiej byłoby, gdybyśmy nie wracali tu już po świętach. Proszę, pomyśl o tym... - Dalila tak niespodziewanie zmieniła temat rozmowy, a w jej głosie tyle było źle ukrywanego napięcia, że słowa te mimo woli wywołały w głowie Alfreda nową lawinę spekulacji. „Tak! Ją również uwikłano w jakąś nieczystą grę! Boi się i nie wie, komu zaufać...”. - Ogarnęła go fala tkliwości. Czuł, że jego obowiązkiem jest ochrona tej fascynującej, oddanej mu całym sercem istoty. Najchętniej objąłby ją, przytulił do siebie i wyznał, że spełni się jej pragnienie, lecz bał się podsłuchu, więc tylko powiedział:

- Kochanie, wyjedziemy, gdy skończę swoje badania. Przykro mi - powiedział i wyszedł do kuchni napić się wody, a właściwie żeby ukryć niemęskie łzy wzruszenia.

ROZDZIAŁ XXVI

Do Gdańska mieli lecieć samolotem z przesiadką w Warszawie. Na rzeszowskie lotnisko W Jasionce odwiózł ich Adaś. Siedzieli w poczekalni odlotowej, czekając na odprawę. Dalila tego dnia była wyjątkowo milcząca i strapiona. Alfred po swojemu wytłumaczył sobie ów stan - Dalila cierpi, gdyż nie znajduje oparcia w ukochanym mężczyźnie. Poczul wzmożony napływ wyrzutów sumienia, że wcześniej nie znalazł sposobu, żeby porozmawiać z nią szczerze, że nie wtajemniczył jej w swoje plany, że zamiast od razu wyjaśnić sens podsłuchanej rozmowy Dalili z Franciszkiem Janeczko, pozwolił, żeby w jego sercu leżały się podłe podejrzenia... Czuł, że musi wreszcie położyć kres tej sytuacji, aby nie oszaleć.

- Posłuchaj, Dalilo, wiem, że mnie kochasz, wiem, że chcesz odejść z firmy. Ja też chcę. Właściwie to już odeszliśmy. Zaraz po świętach pojedziemy do Szwajcarii, zamieszkamy w jakimś alpejskim kurorcie, a potem... potem będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Oczy Dalili były okrągłe ze zdumienia.

- Ależ Alfredzie... Tak się cieszę - przełknęła głośno ślinę. - Pójdę z tobą na koniec świata. Lecz teraz muszę na chwileczkę wyjść. Poczekaj. Wrócę za minutkę.

Alfred patrzył jak piękna, smukła i zgrabna idzie w kierunku toalet i był szczęśliwy. Kości rzucone, mosty spalone... ba, przekroczył Rubikon⁴², teraz mógł żyć po swojemu.

- Przepraszam, będzie pan tutaj siedział przez najbliższe pięć minut? - spytał jakiś starszy mężczyzna

Opocziwym wyglądzie wieśniaka w podróży

- Oczywiście.

- Muszę coś sprawdzić w Informacji, a nie mam już sił dźwigać tego majdanu.

Przypilnuje pan?

- Oczywiście, nie ma sprawy.

Mężczyzna postawił walizkę obok bagażu Alfreda

1Dalili, po czym pośpiesznie się oddalił.

Wtem z tłumu oczekujących wyłoniło się dwóch policjantów i ruszyło w stronę Alfreda. Targnęło nim złe przecucie.

- Alfred Mortus? - spytał starszy z trzema gwiazdkami na pagonach i skierował w jego stronę legitymację wyglądającą na policyjną.

- Tak, słucham?

42 Przekroczyć Rubikon - uczynić nieodwołalny krok. Związek frazeologiczny pochodzi od Juliusza Cezara, który w 49 r. po przekroczeniu z wojskiem Rubikonu rozpoczął wojnę domową.

- Komisarz Jan Zawadzki, a to sierżant Jan Wazacki. Jest pan podejrzany o planowanie zamachu terrorystycznego. Co pan przewozi w tym bagażu? - wskazał na walizkę pozostawioną przez nieznanego.

- Nie wiem, to nie moje.

- Każdy tak mówi. - Komisarz podniósł wieko walizki i Alfredowi z wrażenia pociemniało w oczach. Na jego własnych spodniach leżał pistolet, obok dwie wymienne lufy i tłumik oraz coś, co wyglądało na bombę własnej roboty Nagle, niemalże spod ziemi wyrosło czterech policyjnych komandosów: ochronne kombinezony, hełmy, kominiarki, kamizelki kuloodporne, gogle, nakolanniki, nałokietniki, pistolety, karabinki, granaty... wszystko to sugerowało, że akcja wymierzona jest w wyjątkowo niebezpiecznego przeciwnika, co wśród osób zgromadzonych w poczekalni odlotowej wywołało popłoch: kobiety piszczały, dzieci płakały, kilka osób rzuciło się ku drzwiom... Zanim Alfred zdołał ochłonąć, miał już wykręcone do tyłu i skute kajdankami ręce.

Zamieszanie przywabiło ochronę lotniska. Komisarz Zawadzki, ubiegłszy jej pytania, machając legitymacją oznajmił:

- To uciekinier ze szpitala psychiatrycznego, a do tego paranoiczny piroman i terrorysta. Złapaliśmy go w ostatniej chwili.

Alfreda z głową na wysokości kolan zawleczono do policyjnej suki i niczym wór wrzucono z tyłu na podłogę. Antyterrorysty, nadal z bronią gotową do strzału, usiedli na ławkach i samochód ostro ruszył z miejsca.

- To pomyłka. Ja wszystko wyjaśnię. - Pierwszy szok minął, więc Alfred spróbował podjąć mediację.

- Stul pysk, psycholu! - Najpierw otrzymał tak silne kopnięcie w zębra, że aż wrzasnął na całe gardło, potem ktoś przez ubranie wbił w jego bark igłę. Dookoła ukłucia rozeszło się gorąco, chwilę później nie czuł już nic.

* * *

Przebudzenie było koszmarne. Leżał na białej kozetce, a jego rozkrzyżowane ręce i nogi tkwiły uwięzione w metalowych obejmach przytwierdzonych na stałe do ram kozetki. Był nagi, jeśli nie liczyć założonego pampersa. Tuż przed oczami miał przeszkloną szafę pełną narzędzi chirurgicznych, strzykawek, igieł i różnych medykamentów. „Jestem w jakimś

szpitalnym ambulatorium” - pomyślał, lecz kiedy odwrócił głowę w drugą - stronę, wstrząsnął nim widok ściany obwieszanej piłami, pejcami, garotami, nożami, kleszczami i hakami. Niżej, na metalowym stole leżały wiertarki, palniki, lutownice, imadła i inne urządzenia, które z pewnością nie znajdowały zastosowania w oficjalnej medycynie. „Jezu Chryste, toż to prawdziwa sala tortur!” - Alfreda oblał zimny pot. Poszukał wzrokiem okna, ale we wnęce osłoniętej metalową siatką dostrzegł jedynie jarzeniówkę oraz obite grubą blachą drzwi bez klamki.

Czekał. Przez jego głowę przelatywało tysiące domysłów. Zastanawiał się, w którym miejscu popełnił błąd i dlaczego zawiodła go intuicja. Ale najbardziej bolało wspomnienie Dalili. Z jednej strony jego psychika ulegała jakżeż ludzkiej skłonności do zakłamywania bolesnych faktów, z drugiej nieubłagana logika wydarzeń odzierała go ze złudzeń. Gdy nadzieja szeptała: „To musi być pomyłka, źle interpretuję jej postępowanie. Przecież ona mnie kocha...” - sceptyczny rozsądek oponował: „Dałem się zwieść miłosnym zakłębom bez pokrycia. Po historii z Ireną powinienem zmądrzeć. Jestem durniem...”.

Mijały długie godziny. Od nieruchomego leżenia Alfreda rozboleły plecy i pięty, a ręce i nogi ścierpły. Czuł coraz większy głód i jeszcze większe pragnienie. Nasłuchiwał, ale nie mógł wyłowić znikąd najlżejszego dźwięku. Cisza była tak dojmująca, jakby cały świat zamarł, jakby zamurowano go żywcem w grobowcu, jakby o nim zapomniano. W jego mózgu powoli, ale systematycznie narastała bezrozumna, zwierzęca trwoga, by w końcu doprowadzić go do takiego udręczenia, że każdego, kto przerwałby tę straszną ciszę, powitałby jak zbawiciela. Bodajby to był kat, który przyszedł wykonać wyrok. Lecz kiedy po niepoliczalnych godzinach tortury ciszą do sali weszło dwóch osiłków w rzeźnickich fartuchach, Alfred zamiast spodziewanej ulgi poczuł, jak jego serce puchnie w gardle. Wyższy, łysy jak kolano, miał byczy kark i złamany nos boksera. Niższy brunet - czoło tak niskie, że jego zaczesane do tyłu włosy brały początek tuż nad zrosniętymi brwiami. Obaj zdawali się uosabiać kwintesencję demonicznego, prymitywnego zła, a świadomość, że ponadto dysponują oni szerokim wyborem narzędzi tortur, wprawiała Alfreda w popłoch.

- No, mów prawdę, gnojku - rzucił ostro łysol bez żadnych wstępów.

- Pewnie będzie rznął twardego - warknął brunet bez czoła, zanim Alfred zdołał wydusić z siebie jakiegokolwiek słowo.

- To pomyłka. Ta walizka z bronią nie jest moja.

- Bujaj las nie nas, jajogłowy dupku. Zaraz odechce ci się chojrakowania! - Brunet bez czoła wziął do ręki palnik, lecz po chwili zastanowienia odłożył go, sięgnął po wiertarkę,

włączył ją i zbliżył do kolana Alfreda. - Gadasz albo sprawię, że się zesrasz z bólu. Łaskotanie świdrem to zaledwie niewinna pieszczota wobec tego, co potrafię.

- Chcę rozmawiać z waszym szefem!

- Powolutku, i na szefa przyjdzie czas. Najpierw pogawędzisz z nami. A właściwie powiesz wszystko, co chcemy usłyszeć.

- Nie macie prawa! Chcę rozmawiać z szefem! - Bezsilność i poczucie jakiegoś kosmicznego bezsensu doprowadzały Alfreda niemalże do obłądu. Wiedział, że cokolwiek powie, będą go maltretować dla samego maltretowania, będą paść oczy jego cierpieniem, będą nadymać się poczuciem władzy i siły

- Nie mędrkuj, zaraz sprawimy, że będziesz śpiewał jak w kościelnym chórze. - Brunet bez czoła zamienił wiertarkę na kleszcze i uchwycił nimi pieluchę w okolicy kroczka Alfreda.

Niespodziewanie do sali wszedł... ksiądz Potępski.

- Panowie, dostałem pozwolenie, żeby porozmawiać z zatrzymanym. Proszę nas zostawić samych.

Dwaj osobnicy spojrzeli po sobie z niedowierzaniem, jednak wykonali polecenie.

- Ksiądz tutaj? - Alfred nie wiedział, czy to dobrze, czy wręcz przeciwnie.

- Tak, synu. Dotarło do mnie, że dopuściłeś się strasznego przestępstwa.

- Co ksiądz ma na myśli?

- Terroryzm.

- Ktoś mnie wrabia. Tę walizkę z bronią mi podrzucono.

- Uwierzyłbym, gdyby nie wyznanie twojej narzeczonej. Według niej wykradłeś wyniki badań i zamierzałeś uprowadzić samolot. Niestety, nie wiedziała dokąd. Błagała mnie, żebym ci przemówił do rozumu.

Alfred zamknął oczy w nadziei, że gdy znów je otworzy, ujrzy halę odlotów, a chwilę później usłyszy jak istota, którą kochał nad życie mówi: „Wróciłam, kochanie, a teraz podążę za tobą na koniec świata”. Ale koszmar trwał.

- Słucham cię, synu. Jeszcze nie wszystko stracone - przerwał przydługie milczenie ksiądz. Alfred postanowił zagrać *va banque*. Wątpił, czy zdoła wytrzymać tortury.

- Czego ode mnie chcecie?

- Jeżeli o mnie chodzi, chcę cię nawrócić na drogę cnoty. Jestem tylko skromnym kapelanem, a moje naukowe zainteresowania są dalekie od biznesowych zagrywek. Wiem jedno, próbowałeś oszukać firmę, która ci zaufała, z którą podpisałeś umowę i która ci sownie za pracę płaciła. A to grzech. Ciężki grzech, od którego nie uwolnisz się ani na tym,

ani na tamtym świecie. Niestety, wybitne umysły cechuje pycha. Uczni w swej bucie pozostawiają wiarę w Boga małuczkim i prostaczkom, chociaż sami nie potrafią stworzyć nawet najmniejszej żywej komórki. Może się myłę?

Alfred w lot odgadł, w jakim kierunku zmierza dyskusja i postanowił nieco pomieszać księdzu szyki.

- Rozumiem, że jestem straszony piekłem - parsknął wymuszonym śmiechem.

- Wiem, wiem - ksiądz pokiwał dobrotliwie głową - zaraz zacytujesz Woltera⁴³, że piekło zostało wymyślone, żeby tuszować niedostatki ziemskiego prawa. Albo Spinozę⁴⁴, że strach, oszustwo i zabobon jest podstawą religijnej tyranii.

- Jeśli już mielibyśmy się przerzucać cytatami, to raczej wolałbym Diderota⁴⁵, że trudno jest pogodzić dogmat o wieczności kar z nieskończonością boskiego miłosierdzia, ale nie sądzę, by akurat to zmieniło moją sytuację.

- No, powraca ci jasność myślenia.

- Chcę stąd wyjść. Chcę porozmawiać z kimś z kierownictwa.

- Wątpliwe, czy po tym, co zrobiłeś, ktokolwiek jeszcze da ci wiarę.

- W takim razie wyznam jak na spowiedzi, że jestem terrorystą i proszę o karę śmierci! - krzyknął Alfred w nadziei, że tym, którzy go uwięzili, bardziej zależy na jego wiedzy niż życiu.

- Spróbuję coś zrobić - ksiądz Potępski wygłosił kilka formułek o pokorze, miłosierdziu i przebaczeniu, i wyszedł.

Alfred z lękiem i nadzieją spoglądał na drzwi, lecz mijały kolejne przeraźliwie długie godziny i nikt się nie zjawiał. Znów powrócił narastający z każdą chwilą strach, aż wreszcie osiągnął poziom niemożliwy do zniesienia. Alfred zaczął krzyczeć.

- Co drzesz mordę, gnojku! - do pomieszczenia wszedł brunet bez czoła. Trzymał w ręku jednorazową strzykawkę napełnioną żółtym, oleistym płynem. Ignorując gwałtowne protesty Alfreda, wbił igłę w jego lewe ramię z taką siłą, że aż zgrzytnęła o kość. Chwilę później zapadła ciemność.

⁴³Wolter (1694-1778), francuski publicysta, filozof, dramaturg, poeta, historyk i prozaik. Czołowa postać Oświecenia. Wybitny wolnomyśliciel.

⁴⁴Baruch Spinoza (1632-1677) - filozof.

⁴⁵Denis Diderot (1713-1784) - francuski pisarz, krytyk literatury i sztuki, filozof i encyklopedysta Oświecenia.

ROZDZIAŁ XXVII

Kolejne przebudzenie przyniosło zmianę, jednak nie taką, jakiej Alfred pragnął. Leżał na lewym boku uwięziony w kaftanie bezpieczeństwa. Rękawy związane ciasno na plecach oraz parczany pasek dosyty u dołu uniformu i przeciągnięty przez krocze uniemożliwiały mu zmianę pozycji. Nadal miał założoną pieluchę. Świeżą. Chyba tylko z nadmiaru ostrożności brzegi łóżka zabezpieczono metalową barierką. Alfred, wykręcając boleśnie szyję, rozejrzał się dokoła. Ściany były wyłożone miękką wykładziną, drzwi nie miały klamki, jedynie, na wysokości oczu dorosłego mężczyzny, wizjer wielkości spodka. To pomieszczenie również nie miało okna, a świetlówkę pod sufitem zabezpieczała siatka.

Teraz dominującą udrękę stanowił głód i pragnienie. Alfred czuł się, jakby nie jadł i nie pił od tygodnia. Tym razem czekanie trwało krótko. Najpierw w wizjerze pokazały się czyjeś uważne oczy, potem do pomieszczenia wszedł brunet bez czoła, a chwilę później młoda, pulchna i uśmiechnięta pielęgniarka z niewielkim pakunkiem pod pachą.

Każdy mężczyzna z pieluchą zamiast spodni w obecności kobiety czułby się upodlony i wystawiony na pośmiewisko, toteż dla Alfreda sytuacja ta stanowiła wyjątkowo upokarzającą torturę. Wszystko w nim wyło w bezsilnym proteście, a racjonalna część jego osobowości z największym trudem narzucała mu spokój. Tymczasem pielęgniarz sprawnie usunął drabinki zabezpieczające łóżko, zdjął z Alfreda kaftan, wyszarpnął spomiędzy nóg pieluchę i burknął:

- Wstawaj, gnojku, dość leniuchowania!

Alfred opuścił nogi na podłogę i próbował się dźwignąć, lecz skazane na długi bezruch mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

- Przestań, pajacu, świrować, bo... - brunet jedną ręką chwycił go za gardło, uniósł z pół metra nad podłogę i potrząsnął jak szmacianą lalką.

- Ej że, odpuść sobie - wtrąciła pielęgniarka z ciepłym uśmiechem. - Widzisz przecież, że mu śleпка z orbit wyłażą.

- Z tobą tak zawsze - warknął osiłek i ze złością rzucił Alfreda na łóżko.

- Panie Mortus, teraz ubierze się pan w piżamkę, potem zje śniadanko, a po śniadanku pójdzie do doktora Mulle.

Pasiasta piżama była za krótka, za to kapcie o wiele za duże, lecz w Alfreda wstąpiła nadzieja, że wreszcie coś się zmieni.

Ruszyli długim, białym korytarzem. Rzędy drzwi z wizjerami po lewej i prawej stronie kazały się domyślać ukrytych za nimi następnych sal o miękko wyłożonych ścianach. Korytarz prowadził do przestronnego holu, od którego odchodziły dwa kolejne korytarze oraz schody prowadzące na wyższą kondygnację. Tu również nie było okien, a światło pochodziło od świetlówek pod sufitem, podobnie jak w stołówce, do której wkrótce dotarli, a która była dla Alfreda kolejnym źródłem depresji. Wśród trupio białych ścian, przy czterech białych stołach siedziało piętnaście osób widm, osób szkieletów, osób manekinów z pustymi oczami.

- Tu jest twoje miejsce. Siadaj - pielęgniarka wskazała Alfredowi miejsce obok kobiety o czarnych zmierzwionych włosach, łysego mulata o wystających kościach policzkowych i krótko ostrzyżonego blondyna o niepokojąco zielonych oczach. Nie zareagowali na jego widok.

Chwilę później z bocznych drzwi wytoczył się bema i dwie kobiety w białych fartuchach zaczęły rozstawiać na stołach talerze z owsianką oraz łyżki i kubki z kawą zbożową. Alfreda, któremu głód boleśnie skręcał jelita, widok jedzenia przyprawił o jeszcze większy ból. Czuł, że jeżeli w przeciągu najbliższych sekund nie napełni czymkolwiek żołądka, zemdleje, upadnie, umrze... Wszystko w nim dygotało, tymczasem żaden z pacjentów nawet nie drgnął, więc jego głowę przeszła straszna myśl, że jest to następna forma dręczenia. Rozejrzał się. Kobieta o zmierzwionych włosach spoglądała tępo w talerz, mulat o wystających policzkach wodził bezmyślnym wzrokiem za kucharkami, a krótko ostrzyżony blondyn utkwiał nieruchomy wzrok w suficie. Wtedy uśmiechnięta pielęgniarka powiedziała: - Życzę smacznego.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pacjenci mimowiednie zaczęli jeść. Alfred również drżącą ręką złapał za łyżkę. Owsianka była gorąca, gęsta i słodka, i z każdym kolejnym łykiem dawała cudowne uczucie sytości.

Kiedy wszyscy już zjedli, w drzwiach stanął brunet bez czoła.

- Ruszać dupska! Rekreacja! - wrzasnął.

Pacjenci jak automaty wstawali ze swoich krzeseł i ruszali ku wyjściu. Alfred, człapiąc kapciami, poszedł w ich ślady Smętny orszak przemierzając długie, białe korytarze, dotarł do obszernej sali bez okien. Na wysokości pierwszego piętra biegła dookoła galeria widokowa, pod sufitem, niczym wielka pajęczyna, rozpościerała się sieć. Podtrzymujący ją układ dźwigni świadczył, że w każdej chwili może być rzucona w dół. Pod ścianami ciągnął się rząd masywnych ławek przytwierdzonych śrubami do podłogi.

- Ma być spokój. Zrozumiało bydło?! - krzyknął brunet bez czoła i wyszedł, zatrzasnął za ostatnim pacjentem drzwi.

Pacjenci zajmowali miejsca na ławkach i albo zastygali z martwymi oczyma utkwionymi w przestrzeń, albo kiwali się, bełkocząc coś niezrozumiale. Alfred usiadł pomiędzy rozczochraną kobietą a zielonookim mężczyzną.

- Przepraszam, nazywam się Mortus, a wy?

- Amelia.

- Ja nic nie wiem. On wszystko wie. Ja tylko wiem o studni potencjału, ale już powiedziałem - mężczyzna mówił z wyraźnie francuskim akcentem.

- Kto wszystko wie?

- On. On to zabrał.

Alfred nie dowierzał własnym uszom.

- Przepraszam, Denis? - spytał po francusku i po francusku otrzymał odpowiedź, chociaż w formie pytania:

- My się znamy?

- Osobiście nie, ale też znam Jareme.

Spojrzenie zielonych oczu stało się bardziej przytomne. Mężczyzna zlustrował lękliwie otoczenie i położył palec na ustach.

- Ciii... Mów o nim fizyk, a jeszcze lepiej „F”. I lepiej zapomnij jego imię. Co u niego?

- Ukrył bezpiecznie twoje badania i... zniknął - Alfred postanowił zataić prawdę.

- Dzięki. Bo wiesz, układaliśmy... jak klocki, ale się nie dzieliło, więc spróbował z bramkami... Sam... Tylko on to potrafił... Jak cię pytają, to im powiedz, że ja naprawdę nie wiem. A ty? A kim ty jesteś?

- Chemikiem. Pracowałem tam...

- Nie kończ. Wszystko wiem. Co u ciebie rozpoznali? Paranoję czy schizofrenię? Zresztą, na jedno wychodzi. Po kilku miesiącach faszzerowania środkami otumaniającymi, stymulacji prądem, wywoływania drgawek padaczkowych, tortur fizycznych i psychicznych też staniesz się ogłupiałym z przerażenia i beznadziei zwierzęciem. Zapomnisz, kim jesteś. Najgorsze są elektrowstrząsy... - odrzucił głowę do tyłu i zamilkł. Jego otwarte szeroko oczy zrobiły się nagle puste i nieruchome, a z kącika rozchylonych ust wypłynęła strużka śliny. Po krótkiej chwili poczytalności Denis stracił kontakt z rzeczywistością.

- Aty, Amelio?

- Osobiście nie, ale też znam Jareme.

Spojrzenie zielonych oczu stało się bardziej przytomne. Mężczyzna zlustrował lękliwie otoczenie i położył palec na ustach.

- Ciii... Mów o nim fizyk, a jeszcze lepiej „F”. I lepiej zapomnij jego imię. Co u niego?

- Ukrył bezpiecznie twoje badania i... zniknął - Alfred postanowił zataić prawdę.

- Dzięki. Bo wiesz, układaliśmy... jak klocki, ale się nie dzieliło, więc spróbował z brankami... Sam... Tylko on to potrafił... Jak cię pytają, to im powiedz, że ja naprawdę nie wiem. A ty? A kim ty jesteś?

- Chemikiem. Pracowałem tam...

- Nie kończ. Wszystko wiem. Co u ciebie rozpoznali? Paranoję czy schizofrenię? Zresztą, na jedno wychodzi. Po kilku miesiącach faszzerowania środkami otumaniającymi, stymulacji prądem, wywoływania drgawek padaczkowych, tortur fizycznych i psychicznych też staniesz się ogłupiałym z przerażenia i beznadziei zwierzęciem. Zapomnisz, kim jesteś. Najgorsze są elektrowstrząsy... - odrzucił głowę do tyłu i zamilkł. Jego otwarte szeroko oczy zrobiły się nagle puste i nieruchome, a z kącika rozchylonych ust wypłynęła strużka śliny. Po krótkiej chwili poczytalności Denis stracił kontakt z rzeczywistością.

- A ty, Amelio?

Kobieta ze zmierzwionymi włosami nie zareagowała. Patrzyła z napięciem w jakiś punkt w górze. Alfred również spojrział w tamtą stronę i oniemiał z wrażenia. Na galerii stał... pan Franciszek Janeczko i patrzył na niego. Nawet z tej odległości jego zdrowe oko paraliżowało wolę i dusiło myśli w zarodku. Alfredowi zdawało się, że jeszcze sekunda, dwie tych niemych zapasów, a nie wytrzyma narastającego w nim napięcia. Na szczęście pan Janeczko odwrócił się i zniknął. Wtedy pani Amelia zaczęła szlochać i drzeć jak osika.

- Proszę, tylko nie ja...

- Czego się pani obawia?

- Tylko nie ja...

Inni pacjenci, którzy dotąd tkwili w otępieniu, zaczęli przejawiać objawy paniki. Niektórzy tak jak pani Amelia płakali, inni nerwowo wykręcali sobie palce, chowali się pod ławkami lub bezmyślnie biegali po sali.

Po plecach Alfreda przebiegł zimny dreszcz. Zrodziło się w nim podejrzenie, że ci wszyscy odmóždzeni, oszalali ze strachu pacjenci, zanim tu trafili, zanim rozchwiano im psychikę i złamano osobowość, byli znakomitymi uczonymi. Że nie tylko biolog Denis, zanim tu trafił, w swoich badaniach zaszedł dalej niż ktokolwiek inny na świecie.

- Jestem Samuel Simple, jeśli spotkasz moją matkę, to jej powiedz, że u mnie wszystko w porządku

- szepnął mu po angielsku za plecami Amelii mulat z wystającymi kośćmi policzkowymi, a jego przerażone oczy niemalże wychodziły z orbit.

- Też byłeś w Moczarzysku?

- To działa. Niech o tym wie.

Wtem jeden spośród biegających po sali przystanął i wskazując oskarżycielsko na Alfreda zawołał:

- Jest nowy! Niech idzie nowy!

- Niech idzie nowy!!! Niech idzie nowy!!! - Do mężczyzny z wyciągniętym palcem wskazującym dołączali pozostali i bezładne początkowo pokrzykiwania powoli przeistaczały się w regularne skandowanie o coraz groźniejszym wyrazie: - Niech idzie nowy! Niech idzie nowy! Niech idzie... Niech idzie...

- Cicho, cholerna hołoto! Mortus do mnie! - Do sali wszedł brunet bez czoła. Alfred zbliżył się do niego na miękkich nogach. - Za mną, zafajdana ofermo! Reszta na miejsca! I to już!!!

Ruszyli w kierunku holu, potem schodami weszli dwa piętra do góry. Tu hol był dużo mniejszy i ograniczony ze wszystkich stron drzwiami opatrzonymi mosiężnymi tabliczkami informacyjnymi. Mimo wysiłków Alfredowi nie udało się odczytać ich treści.

Pomieszczenie, do którego weszli bardziej przypominało pokój biurowy w jakimś urzędzie niż gabinet lekarski. Ono również było pozbawione okien. Za stołem siedział ludzako podobny do dyrektora Pasteura kostyczny szatyn w nienagannie skrojonym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i z przedziałkiem tak równym, jakby wytyczonym laserem.

- Proszę usiąść, doktorze Mortus - uprzejmym gestem wskazał mu krzesło po przeciwnej stronie biurka, zaś pielęgniarzowi dał znak, żeby wyszedł. - Przyznam szczerze, że wolałbym spotkać pana w innych okolicznościach.

- Wierzę, bo ja również.

- Nazywam się Romuald Mulle i jestem przedstawicielem Corporation Medikament Laboratories na Polskę. Przejdę od razu do sedna sprawy. Podpisaliśmy z panem kontrakt z przeświadczeniem, że jest on uczciwy i korzystny dla obu stron. Zainwestowaliśmy w pańskie badanie ogromne pieniądze, spodziewając się równie ogromnych zysków, ale i świadomi ryzyka, iż eksperyment może nie wypalić. Potwierdza pan moje słowa?

- W zasadzie tak.

- To „w zasadzie” świadczy o pewnych wątpliwościach. Wyjaśnijmy je sobie. Słucham.

- Proszę kontynuować.

- Z raportów dyrektora Pijara wynikało, że pierwiastek zero rzeczywiście istnieje i że rozpoczął pan pracę nad poszukiwaniem reakcji chemicznej, która go wiąże. W naszej ocenie już samo to było sukcesem, lecz pan nagle zaczął się dziwnie zachowywać.

- Czyżbym był śledzony?

- Powiedzmy raczej: dyskretnie nadzorowany. Chyba dopuszczał pan taką możliwość, skoro tak mocno dbał o zachowanie swoich badań w ścisłej tajemnicy. Cóż, wszyscy uczeni są zazdrośni o swoje dokonania, rozumiemy to, jednak żadnej próby wykiwania nas nie puszczamy płazem. Mam nadzieję, że sceny zaobserwowane w tutaj szym ośrodku pomogą panu wyciągnąć właściwe wnioski co do własnej przyszłości, gdyby przyszło panu do głowy trwać w swoim zamiarze.

Alfredowi przelatywały przez głowę tysiące myśli, lecz w żaden sposób nie mógł ustalić nawet najogólniejszej taktyki dalszego postępowania. Był na przegranej pozycji. Milczał w obawie, by jakimkolwiek lekkomyślnym zdaniem nie pogрузić się jeszcze bardziej. Tymczasem Mulle kontynuował.

- Jest pan wyjątkowo uzdolnionym młodym człowiekiem, zatem mam nadzieję, że skorzysta pan z możliwości rehabilitacji, jaką oferujemy panu w drodze wyjątku. Wiemy, że prawdopodobnie ukończył pan badania nad pierwiastkiem zero, a uzyskane wyniki postanowił sprzedać innej firmie za jeszcze większe pieniądze. Świadczą o tym skasowane pliki w komputerach i zniszczone notatki, a sama ucieczka tylko potwierdza te przypuszczenia. Czy mam rację?

Alfred słuchał w osłupieniu. Nie wiedzieli o jego spotkaniach z Jarema!

- Proszę kontynuować.

- Rozumiem, że na tym etapie kalkuluje pan, czy wrócić do współpracy z nami, czy nie. Zatem wyjaśnię, czym grozi odmowa. Jak już pan pewnie inteligentnie odgadł, jest pan w psychiatryku o wyjątkowo bogatym wachlarzu medycznych i fizycznych środków perswazji. Zapewniam, naszych metod wydobywczych dotąd żaden twardziel nie wytrzymał, a byli wśród nich osobnicy dużo solidniejszej konstrukcji niż pan. Zabawne, niektórzy przyznawali się nawet do grzechów niepopołnionych. Dziurki w kolanach to w naszym repertuarze naprawdę pieszczota, ale wracam do meritum sprawy. Gdy już wyciągniemy z pana wszystkie potrzebne nam informacje, będzie pan tu gnął do końca życia. Nie ma opcji, by jakikolwiek zdrajca wyszedł stąd na wolność z wiedzą, którą ma w głowie. Nawet jeśli ta głowa przypomina mocno otłuczony garnek z jajecznicą. A nam, rzecz jasna, nie zależy zbytnio ani na zdrowiu, ani na dobrym samopoczuciu tych wszystkich ludzkich wraków.

Alfred w lot ocenił swoją sytuację.

- Poddaję się - rzekł, unosząc ręce w geście rezygnacji.

- Słusznie. Z ludźmi inteligentnymi nawet kłopoty mają swoją klasę. Gdzie pan ukrył wyniki badań?

- W skrytce bankowej.

- Na razie jest pan wiarygodny, panie Mortus.

- Mulle wyjął z szuflady płaski kluczyk i położył go na blacie. - A teraz nazwa banku, numer skrytki i hasło.

Alfred poczuł, jak oblewa się zimnym potem. Spróbował wymyślonemu na poczekaniu wybiegu:

- Zastrzegłem sobie, że tylko ja, osobiście, mogę otwierać skrytkę.

Mulle zaśmiał się ironicznie i Alfred, na myśl, że jego rozmówca odgadł podstęp, poczuł, że słabnie.

- No cóż, panie Mortus, więc czeka pana jeszcze jedno zadanie, ale ponieważ utracił pan nasze zaufanie, musimy się zabezpieczyć - podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu i rzucił do niej krótko:

- Pluskwa.

Chwilę później do gabinetu weszła uśmiechnięta pielęgniarka i prymityw bez czoła. Na dany przez Mullego znak mężczyzna jednym ruchem chwycił Alfreda za kark i przycisnął jego głowę do stołu. Alfred najpierw usłyszał szcęknięcie jakiegoś urządzenia, potem poczuł pod łopatką rozdzierający ból.

ROZDZIAŁ XXVIII

Alfred z workiem na głowie leżał na podłodze furgonetki. Wydostał się z tego przerażającego szpitala psychiatrycznego, lecz jego sytuacja nadal była fatalna. Eskortowała go poznana na lotnisku para policjantów, komisarz Jan Zawadzki i sierżant Jan Wazacki, ale teraz ten pierwszy w długim, beżowym płaszczu z wielbłądziej wełny, pilśniowym kapeluszu i z elegancką walizką z szyfrowym zamkiem miał wygląd poważnego biznesmena; drugi, w stroju moro, wyglądał na kogoś, kim był w istocie, czyli na ochroniarza.

Gra zaczynała się komplikować. Na razie Mulle był przekonany, że osiągnął to, co chciał, lecz Alfredowi już cierpła skóra na myśl o konsekwencjach, jakie go dotkną, gdy fortel wyjdzie na jaw. Jednak mimo niemalże bolesnego wysiłku intelektualnego pomysł jak wybrnąć z tej sytuacji nie nadchodził.

Droga zdawała się nie mieć końca. Alfred zakonotował, że jadą asfaltową nawierzchnią, po czym zaczął uważnie łowić odgłosy dobiegające z zewnątrz. Najpierw ponad godzinę słyszał tylko pracę silnika furgonetki, którą jechali, później po krótkim odcinku pełnym dziur i wertepów szosa znów stała się gładka. Teraz, raz po raz dolatywał go modulowany warkot mijanych samochodów. To nasunęło mu na myśl przypuszczenie, że szpital psychiatryczny mieści się w Bieszczadach gdzieś w okolicy Moczarzyska. „Czyżby w podziemnych tunelach? Jakie jeszcze inne ponure tajemnice kryje ten obiekt?” - pomyślał i znów zaczął nasłuchiwać.

Pilnujący go mężczyźni zaczęli rozmawiać o... notowaniach giełdowych, co mocno zdumiało Alfreda, ponieważ w jego pojęciu ochroniarze w sposób fachowy mogli dyskutować najwyżej o parametrach kijów bejsbolowych.

Charakterystyczny wielkowiejski szum dochodzący z zewnątrz świadczył, że dotarli do Rzeszowa. Zanim samochód się zatrzymał, jeden ze strażników podniósł Alfreda jak lalkę i posadził na ławce, drugi zdjął mu z głowy worek.

- Posłuchaj, śmieciu, pójdziemy teraz do banku, opróżnisz dokładnie skrytkę i grzecznie oddasz nam całą jej zawartość. Gdy spróbujesz najmniejszych sztuczek, skręcimy ci kark. Zrozumiałeś? - spytał ochroniarz przebrany za biznesmena.

- Zrozumiałem. A teraz poproszę o klucz i dowód osobisty. - Mężczyźni spojrzeli po sobie z niedowierzaniem, a ponieważ temu w moro zaczęła na skroni nabrzmiewać niebezpiecznie żyła, Alfred dorzucił szybko: - Będzie podejrzenie wyglądało, że kluczem i dowodem tożsamości właściciela skrytki dysponuje dwóch osiłków, którzy...

- Stul pysk! Bez ciebie, gnojku, wiemy, co mamy robić. Wsiadaj - facet w moro chwycił go za ramię i brutalnie wyciągnął z samochodu.

Śnieg raził bielą oczy Bajecznie barwną od świątecznych dekoracji ulicą, pod girlandami kolorowych lampek przewalały się nieśpieszne tłumy. „Biznesmen” oddalił się kilka kroków, żeby porozmawiać z kimś przez komórkę, i wtedy Alfred dojrzał szansę na ucieczkę. „Mógłbym się wyrwać gwałtownym szarpnięciem i zniknąć w tłumie” - pomyślał, jednak jakiś niezrozumiały paraliż woli nie pozwolił mu wykonać żadnego ruchu.

Weszli do budynku banku. Zaraz za drzwiami ochroniarze zwrócili Alfredowi dowód osobisty oraz klucz z ostrzeżeniem, że każdy podejrzany z jego strony ruch skończy się dla niego źle.

Pracownika banku w najmniejszym stopniu nie zdziwił fakt, że klient żąda dostępu do skrytki w towarzystwie dwóch osób. Po dopełnieniu wymaganych formalności zszedł z mężczyznanami do podziemi, równoległe z Alfredem otworzył skrytkę i wyszedł. Alfred przeniósł kasetę za kotarę, położył na stole tak, aby niewidoczny był klucz przyklejony za tylną ścianką, odsunął się pod ścianę i obserwował z duszą na ramieniu, jak ochroniarze przekładają jej zawartość do walizki z szyfrowym zamkiem.

* * *

Mózg Alfreda pracował na najwyższych obrotach. Czasu miał coraz mniej, powrotu do psychiatryka bał się bardziej niż śmierci, a tymczasem był bezradny.

Ściskając w ręku klucz do skrytki i dowód osobisty, szedł pomiędzy dwoma uważnymi stróżami przez wielki bankowy hol. „Gdy wywołam awanturę, spowoduję interwencję tutejszych strażników, ale najprawdopodobniej powtórzy się scenka sprawdzona na lotnisku” - pomyślał i dokładnie w tej samej chwili dojrzał dla siebie cień nadziei. Bank był budowlą z początku dwudziestego wieku z ciężkimi, dwuskrzydłowymi drzwiami wyjściowymi. Teraz, z powodu zimy czynne było jedno skrzydło, przez które można było przechodzić pojedynczo. Alfred wsunął dowód i klucz do kieszeni spodni, po czym rozpiął zamek w kurtce. Żaden z eskortujących go goryli nie zareagował. Powoli zbliżyli się do wyjścia. Przystanęli, żeby przepuścić wchodzącą akurat kobietę w ciąży i wtedy Alfred, odchylając ręce do tyłu, z impetem rzucił się do przodu. Kurtka została w rękach osłupiałych ochroniarzy, on zaś, wykorzystując swoją sekundową przewagę, pognął na oślep ulicą. Tuż, tuż za plecami słyszał tupot pościgu, oczyma wyobraźni widział wyciągające się po niego mocarne łapska i chociaż miał wrażenie, że lada moment z wysiłku pęknie mu serce, padnie i wyzionie ducha, mobilizował resztki sił, żeby przyśpieszać.

Prawie nie znał miasta. Rozejrzał się gorączkowo. Poznał wyłaniający się zza kościoła monumentalny pomnik w kształcie laurowego liścia i przypomniał sobie, że tuż obok stoi ogromny gmach Urzędu Wojewódzkiego. Skręcił w prawo i za obszernym parkingiem dojrzał przystanek autobusowy Alfred w ułamku sekundy zmienił decyzję, wykrzesał z siebie resztki energii, przebiegł przez plac i niemalże w ostatniej chwili wskoczył do ruszającego właśnie autobusu. Był tak zmęczony że z trudem łąpał oddech, bolało go w boku, łydki drżały, szumiało mu w uszach, a serce w swoim opętańczym galopie niemalże wyskakiwało z piersi. Dysząc ciężko trzymał się kurczowo uchwyty.

Dobry kwadransjechał przez centrum miasta, później wielkomiejski krajobraz zaczął powoli zmieniać charakter. Miejsce wielkich bloków, sklepów i budynków użyteczności publicznej zajęło osiedle domków jednorodzinnych. Coraz bardziej pustoszejący autobus wreszcie dotarł do końcowej pętli. Kierowca, mimo mrozu, wyszedł na papierosa. Alfred wstał i chyłkiem przemknął do ostatniego rzędu. Do jego psychiki znów wrócił strach. Brakowało mu pomysłu, co dalej. Nie mógł tak jeździć w nieskończoność. Nie mógł też wysiąść, żeby bez kurtki i pieniędzy błąkać się po obcym mieście, w którym nikogo nie znał. Zresztą, cokolwiek by postanowił, wiedział, że w każdej chwili śledzą go najmniej dwadzieścia cztery satelity, a pluskwa w jego plecach nieustannie wysyła w przestrzeń sygnał: Tu jestem!

Autobus ruszył w trasę powrotną. Pasażerów wciąż przybywało, Alfred znów bezpiecznie przejechał przez rozpoznawalne centrum i dotarł do przeciwległego przedmieścia. Wtem przez okno ujrzał mężczyznę ciągnącego chodnikiem wózek ze złomem. Jego zaniedbanie świadczyło, że z całą pewnością jest to bezdomny i ten widok podsunął mu zbawienną myśl: noclegownia. „Przynajmniej uniknę zamarznięcia i może znajdę kogoś, kto wydlubie mi z pleców tego cholernego chipa” - postanowił. Gdy wysiadł na najbliższym przystanku, ogarnął go niemalże arktyczny ziąb. Przytupując czekał, aż mężczyzna z wózkiem się zbliży

- Przepraszam pana, szukam schroniska dla bezdomnych.

Osobnik, tak okutany w brudne szmaty, że widać mu było tylko oczy, przystanął, dłonią w dziurawej rękawiczce odsłonił usta i powiedział najgłębszym basem, jaki kiedykolwiek dane było Alfredowi słyszeć:

- Panie, he he he, toś się pan wybrał nie w tę stronę.

- Jak tam trafić?

- Janek, mój wspólnik w interesach, dzisiaj zasłabował. Pomóż mi, facet, dopchać ten majdan do Mitki, to cię potem podprowadzę. Heniek jestem.

- Alfred.

Sklecony z najróżniejszych części niewiadomego pochodzenia dwukołowy pojazd wypełniony był ponad miarę wszelkiego rodzaju złomowym dobrem. Rury pocięte blachy, stare garnki, porzewiałe siatki, druty, żeliwne żeberka i jeden Bóg raczy wiedzieć co jeszcze przy rozchybotanych kółkach wózka stanowiły wyjątkowo niestabilny ładunek. Raz po raz coś spadało na ziemię, a powstający przy tym łoskot był dla Heńka sygnałem, że trzeba się zatrzymać, aby pomocnikowi dać czas na pozбиieranie towaru.

Skup Złomu Metali Żelaznych i Nieżelaznych znajdował się na obszernym placu otoczonym betonowym murem. Trzy wysokie hałdy żelastwa, zgniatarka, dźwig samojezdny i traktor z przyczepą świadczyły, że interes kwitnie. Z baraku wyszedł wyjątkowo wysoki i chudy blondyn z profesorską bródką, ubrany w kozuch, uszankę i walonki.

- Co to, Heniu, czyżbyś pogonił Janka? - zawołał i drobnym truchtem ruszył w kierunku blaszanej hali z wagami.

- Janek czymś się zatrzał, panie Mitka. A ten tutaj to nowy, szuka azyła - wskazał na przemarzniętego do szpiku kości Alfreda.

- Masz dzisiaj kolorowe?

- Niestety

- No to biegusiem, biegusiem.

Alfred pomógł Heńkowi wpełznąć wózek na platformę wagi, potem ręcznie wyładować złom. Kiedy skończyli, poszli do kantorku po należność. Mitka siedział za starym biurkiem w wiekowym fotelu i oglądał mecz na ekranie starego telewizorka stojącego na równie starej szafie. Blaszany piecyk typu koza buchał rajskim gorącym, na nim kusząco pogwizdywał czajnik.

- Twoja należność - przesunął w kierunku Henia dwie dwudziestozłotówki. Masz szczęście, jutro sylwester, więc policzyłem ci po osiemdziesiąt groszy za kilogram. Fundnij swojej Misi szampana i życz jej ode mnie wszystkiego najlepszego z okazji Nowego Roku.

- Dziękuję serdecznie, panie Mitka. Misia będzie happy A możemy się ogrzać ździebko? - spytał Heniek i zdjawszy dziurawe rękawice, wyciągnął zgrabiałe ręce w kierunku piecyka.

- Jasne. Siadajcie. Poczęstuję was nawet czymś na rozgrzewkę. - Gdzieś spod biurka wyjął plastikową cukierniczkę i dwa porcelitowe kubki, które napełnił herbatą z czajnika. - Słodzić możecie do woli.

- Dziękuję. - Alfred uświadomił sobie, że w dotychczasowym życiu żaden, nawet ekskluzywnej marki napój nie sprawił mu większej radości. Pił mikroskopijnymi łyżkami,

żeby jak najdalej odsunąć od siebie chwilę, gdy trzeba będzie wyjść na mróz, a tymczasem ciepło wraz z krwią rozchodziło się po jego zdrętwiałych członkach. Wreszcie w kubkach pojawiło się dno.

- Dzięki, szefie. Na nas już czas. - Heniek otarł usta wierzchem dłoni i wstał.

- Heniu, idź sam, ja tego tu odwożę do jakiegoś przytuliska. - Kiedy zostali sami, pan Mitka rzucił w kierunku Alfreda: - No, gadaj, co jest grane?

- Szukam schroniska, jestem bezdomny

- Przestań ściemniać. Bezdomny to jest Henio i jemu podobni. Mój nos mi mówi, że facet, który nosi buty przynajmniej za osiem stów, zegarek za dwa baksy, markowe ciuchy i ma zadbane dłonie to żaden włóczęga, tylko gruba ryba, która wpadła w tarapaty Zgadłem?

- Rzeczywiście - przytaknął zaskoczony Alfred.

- Ściga pana ktoś wyjątkowo bezwzględny, skoro szuka pan schronienia wśród włóczęgów u Brata Alberta.

- Jestem wręcz zakłopotany pańską przenikliwością.

- Liznęło się w życiu tego i owego - powiedział Mitka skromnie, ale widać było, że podziw słuchacza sprawił mu satysfakcję. - Jest pan biznesmenem albo prawnikiem, prawda?

- Prawnikiem.

- I pewnie za dużo pan wie?

Alfred milcząco przytaknął.

- Tak myślałem. I?

- Porwali mnie, ale udało mi się uciec.

- A niech to dunder świśnie! - Mitka z całej siły uderzył otwartą ręką w blat. - Byłem przekonany, że usłyszę dokładnie te słowa. Sam dopowiem resztę. Wskoczył pan oknem.

- Z czego pan to wnioskuje?

- Z braku wierzchniego okrycia, to raz,- kancelarie prawnicze bywają najczęściej na parterach, to dwa. Przecież nie skakałby pan z dziesiątego piętra.

- Jestem naprawdę pod wrażeniem. Byłby pan świetnym detektywem, albo nawet autorem kryminałów.

- Myślałem o tym, a tymczasem spłacam podatek od głupoty Tutaj pana nie znajdują.

- Nie jestem takim optymistą. Zabezpieczyli się. Wszczepili mi pluskwę. Z tyłu, żebym sam nie mógł jej wyjąć.

Mitka aż gwizdnął z wrażenia.

- No to rzeczywiście masz pan przesrane.

- Jedyna dla mnie nadzieja, że pan ze mnie to świństwo wyciągnie - Alfred uznał, że oto ma doskonałą okazję, żeby pozbyć się kłopotliwego urządzenia. Zdjął sweter i koszulę, po czym odwrócił się plecami do Mitki. - Widzi pan? Pod prawą łopatką.

- O krucyfik. Chyba wdało się zakażenie. Czerwone, zapuchnięte i podeszło ropą.

- Tym bardziej trzeba to wyjąć.

- Niby tak, ale jestem wrażliwy na krew. Mdleję.

- Dam panu zegarek. To Patek Philippe, najlepsza marka.

- Nie dam rady

- Dołożę buty

- Nie mój rozmiar.

- Przrzekam, gdy wyjdę cało z tej opresji, godziwie pana wynagrodzę.

- Spróbować mogę, ale nie na trzeźwo. Na szczęście mam w barku pół litra żytniej. Pan też sobie golnij dla znieczulenia. - Mitka wyjął z biurka butelkę wódki i dwie musztardówki, które napełnił prawie do połowy - No to zdrówko.

Wypili i zaczęli wspólnie rozważać, co mogłoby im zastąpić chirurgiczne narzędzia. Nie licząc kilkuset ton żelastwa na placu, wewnątrz mieli do dyspozycji nożyczki, dwa kuchenne noże, cztery łyżki, trzy łyżeczki, pięć widelców, nóż, temperówkę z żyłką i pudełko spinaczy różnej wielkości. W nieużywanej od lat apteczce znaleźli jeszcze rolkę przylepca lekarskiego i poźółkły ze starości bandaże. Po burzliwej dyskusji ustalili, że po uprzedniej dezynfekcji alkoholem żyłka spełni rolę lancetu, a nożyczki pincety. Z bandaża i plastra zrobi się całkiem fachowy opatrunek.

- Golniemy jeszcze po jednym i wyskakuj pan z zegarka. Robota czeka.

Alfred położył zegarek na biurku, wypił jednym haustem kolejną porcję alkoholu i zacisnął ręce na oparciu krzesła. Mitka przystąpił do zabiegu. Ból rozrywający plecy był tak nagły tak przejmujący, tak silny, że z gardła Alfreda, mimo zaciśniętych zębów, wyrwał się krzyk, a potem ogarnęła go ciemność.

* * *

Alfred otworzył oczy i zobaczył tuż przy twarzy brudne deski podłogi i walonki. Od gorących pleców promieniował we wszystkich kierunkach rwący ból.

- Aleś mi pan napędził strachu! - zawołał Mitka i pomógł mu usiąść z powrotem na krześle. - Na szczęście mamy już to za sobą. Popatrz pan - wskazał na mrę leżącą na biurku.

- To chyba nie moja pluskwa.

- Coś pan. Jestem inteligentny człowiek. Pluskwę wsadziłem do ołowianej rury Teraz porywacze łamią sobie głowę, gdzie pan zniknął. Pewnie zakładają, że pod ziemią - zachichotał. - Jak samopoczucie?

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

- Co pan teraz myśli robić? Bo wie pan, człowiek bogaty ma przyjaciół, człowiekowi w nieszczęściu pozostają tylko towarzysze niedoli. Wiem coś o tym.

Alfredowi te słowa uświadomiły, że jego sytuacja jest nadal beznadziejna. Mógł teraz wydostać ze skrytki paszport i pieniądze, mógł całkowicie zmienić ubiór, żeby się pozbyć ewentualnych urządzeń naprowadzających, o których nie wie, ale nie bardzo wiedział, dokąd mógłby pójść. Wszystkie adresy członków rodziny z założenia odpadały, po maturze zbyt długo przebywał w Paryżu, więc stracił kontakt z ludźmi z czasów szkolnych, Anna zginęła, Paul umarł... Dalila? Gdzie ona teraz jest? Wszystkie te przejścia zachwiały jego wiarę w ludzką bezinteresowność, a rozsądek podpowiadał, żeby nie ufał Mitce. Nawet gdyby okazał się on przyzwoitym człowiekiem, Alfred powinien opuścić to miejsce, gdyż tropiący go ochroniarze najprawdopodobniej przyjadą sprawdzić, dlaczego tutaj właśnie urywa się ślad. Wszystko to Alfred wiedział, lecz żał mu było opuszczać ciepłe pomieszczenie, tym bardziej, że po „operacji” wstrząsały nim dreszcze, a powieki same opadały. Czekał, co postanowi Mitka, a ten po głębokim namyśle, drapiąc się po głowie, powiedział:

- Trochę źle, że dzisiaj sylwester, a jutro Nowy Rok. Wątpię, czy w noclegowni będą wolne miejsca, a w altance czy w kanale nie przetrwasz pan. Najbezpieczniej byłoby w moim domu, ale stara z jobami, jakich świat nie słyszał, wywaliłaby nas obu na zbity pysk. Pozostaje tylko zamknąć pana tutaj. Telewizor jest, kibełek jest, woda jest, nawet materac i śpiwór jest, bo ja sam często tutaj sypiam. Wystarczy tylko skitrać coś na ząb. Co pan na to?

- Nie wiem, jak panu dziękować.

- Wszystko we właściwym czasie... mecenasie. Wrócę za jakieś pół godziny - powiedział, z wyraźną przyjemnością spoglądając na wytworny Patek na swojej lewej ręce.

Po wyjściu Mitki Alfred przysunął krzesło bliżej piecyka, a mimo to nadal drżał z zimna. Bieg wypadków od momentu, gdy w poczekalni odlotowej w Jasionce wyznał Dalili swoje zamiary przypominał sen wariata. Najtrudniej było mu pojąć, jak to możliwe, że w demokratycznym państwie istnieje firma w zbrodniczy sposób drenująca mózgi uczonych różnych narodowości; firma, której pracownicy nie tylko udają funkcjonariuszy służb państwowych, lecz posługują się bezkarnie fałszywymi legitymacjami i odznakami; firma, która prowadzi szpital psychiatryczny stosujący średniowieczne tortury Alfred przyznawał

rację Jaremie: tylko Watykan miał w Polsce na tyle silną pozycję, żeby pozwolić sobie na takie poczynania. Wrócił Mitka z zakupami.

- Nie mam tutaj lodówki, ale wystarczy reklamówkę z wędliną powiesić na gwoździu w wiatrołapie. Spuszczę na noc pieski, które odgryzą tyłek każdemu, kto postawi nogę na moim placu. Herbata, cukier i kubki są w biurku, materac i śpiwór w szafie. Nie powinno się nic dziać, ale na wszelki wypadek zostawię numer mojej komórki. Aha, nie musisz pan, mecenasie, siedzieć w ciemności, bo światła w tym oknie nie widać z ulicy

Mitka przyniósł naręcze drzewa i wiadro węgla, kazał się Alfredowi zamknąć od środka i wyszedł. Wychodząc zabrał ze sobą ołowianą rurę z chipem.

* * *

Kiedy najedzony do przesyty Alfred usiłował nadmuchać materac, okazało się, że wzmógłony wysiłek płuc powoduje nieznośne rwanie pleców. Również sen na twardej podłodze nie przyniósł ukojenia, gdyż do bólu dołączyły niespokojne myśli powodujące w jego psychice nieopisany zamęt. Wracało wspomnienie Dalili. Niechętnie oswajał się z myślą, że zawiodła go kolejna kobieta. Z jednej strony bardzo chciał wierzyć, że źle zinterpretował jej zachowanie, że padła ofiarą jakiegoś spisku, z drugiej zarzucał sobie ewidentną ślepotę na oczywiste dowody hipokryzji i aktorstwa. „Nawet gra godna filmowego Oscara nie powinna mnie przekonać, że kobieta tej klasy bezinteresownie traci głowę dla takiego cieniasa jak ja” - szarpał w bezsilnej rozpaczycie włosy, a jego rozgorączkowana wyobraźnia raz podsuwała mu wizję dawnej Dalili spoglądającej mu w oczy z miłością i oddaniem, by chwilę później wyprzeć ten obraz Dalilą liczącą pieniądze za jego zdradę.

Po nocy pełnej burzliwych rozmyślań i koszmarnych snów Alfred wstał zmęczony i rozbity chociaż ból w plecach mocno osłabł. Podrzucił do piecyka szufelkę węgla, włączył telewizor i przygotował sobie śniadanie. Jedząc zastanawiał się, jak dalej pokierować swoim losem. Pierwszoplanową powinnością było nie dać się złapać; drugą - opublikować badania Denisa, Jaremy i swoje,- trzecią, spróbować zainteresować firmą „Folicum” dziennikarzy śledczych. Na razie postanowił, pod pozorem składania życzeń noworocznych, zadzwonić do tych dawnych znajomych, których telefonów nigdy nie zapisał w swoim notesie. Pierwszą osobą, jaka mu przyszła do głowy, była Ada Wiśniowska, jego wielka miłość z czasów zabaw na przybłokowym zieleńcu, akrobacji na podwórkowych trzepakach, gonitw w labiryntach piwnic i papierosów popalanych ukradkiem za śmietnikiem przy garażach. Z Adą mieszkali na tym samym piętrze. Nazywała go żartobliwie Einsteinem i pozwalała odrabiać za siebie zadania domowe z matematyki i chemii. Potem ich drogi się rozeszły. Po maturze ona

wyjechała do Warszawy, on do Paryża, a dwa lata później jego rodzice wyprowadzili się do wymarzonego własnego domu na przedmieściu.

Zadzwoił do biura numerów i z ulgą stwierdził, że Wiśniowscy nadal mieszkają pod starym adresem, a ich telefon nie jest zastrzeżony.

Odebrała pani Wiśniowska.

- Dzień dobry, z tej strony Alfred Mortus, pamięta mnie pani?

- Alfredek? Jakże by nie? Oczywiście, że cię pamiętam. Co u ciebie słychać, chłopcze?

- W porządku. Mieszkam i pracuję w Paryżu. A u państwa?

- U nas? Jak to u emerytów. Dziękować Bogu, że nie jest gorzej.

- Czy zastałem Adę?

- O nie, Ada przeprowadziła się do Dzierżoniowa na Dolnym Śląsku.

- Co u niej?

- Różnie. Skończyła medycynę, wyszła za mąż, rozwiodła się...

- Przepraszam, że zapytam, czy chodzi o Artura?

- Popatrz, niby taka wielka miłość ze szkolnej ławy a tak się źle skończyło.

W ciągu dalszej rozmowy Alfred bez trudu otrzymał numer telefonu do Ady i informację, że wróciła do swojego panieńskiego nazwiska, po czym złożył Wiśniowskiemu życzenia noworoczne i odłożył słuchawkę. Nie wierzył, że poszło tak łatwo.

ROZDZIAŁ XXIX

Tego dnia na wizytę u doktor Adrianny Wiśniowskiej czekała pełna poczekalnia ludzi. Zmienna pogoda powodowała liczne przeziębienia, a okres karnawału epidemię zatruc i kaca. Nawet Marysię, jej pielęgniarkę, zmoła choroba. Ludzie wchodzili do gabinetu, opowiadali o swoich dreszczach, katarach, kaszlach, bólach głowy, owrzodzonych migdałkach, kolkach, strzykaniach... a pani doktor z powtarzalnością automatu mierzyła temperaturę, ciśnienie, sprawdzała stan gardła lub reakcję na ucisk brzucha, potem wypełniała kartę choroby wypisywała receptę, druk L-4 i wołała „następny proszę”.

Gdy już zbadala ostatniego pacjenta i przystąpiła do porządkowania teczek, ktoś zapukał do drzwi. Absolutną regułą bez wyjątków był niezarejestrowany, pilnie potrzebujący lekarskiej pomocy maruder, który to przekonywająco apelował do jej serca, to do obowiązku niesienia pomocy wynikającego z zawodowej etyki, to powoływał się na bliższych lub dalszych znajomych. Praktyka uczyła, że mniej czasu zajmuje wysłuchanie i przebadanie spóźnialskiego niż odmowa i wyproszenie za drzwi. Tego dnia miała jednak ochotę wejść pod stół, wyskoczyć przez okno lub zamknąć się w szafie, ale na zasadzie odruchu Pawłowa powiedziała: „proszę”.

Wszedł szczupły mężczyzna mniej więcej w wieku trzydziestu lat. Spomiędzy szpary utworzonej przez głęboko na czoło nasuniętą czapkę i wysoki golf kurtki spoglądały na nią brązowe oczy błyszczące niewątpliwą gorączką.

- Przepraszam, już skończyłam przyjmować.
- Wiem, Ada, to ja, Alfred. Alfred Mortus.
- Rany! Skąd się tu wziąłeś?
- Potrzebuję pomocy
- Jesteś chory?
- Nie. Szukam lokum na dwa, trzy dni. Nie mogę iść do hotelu. Jestem ścigany.

Adę rozpoznał od razu, chociaż kiedy ostatni raz ją widział, była podlotkiem. Nadal miała to samo trochę melancholijne spojrzenie i lekko wystające siekacze, które nadawały jej uśmiechowi dziecięcego wdzięku.

- Jezus, powtórz jeszcze raz, bo mam wrażenie, że z przeciążenia dostałam halucynacji. No, siadaj i mów.

- Wpadłem w kłopoty i potrzebuję schronienia na kilka dni.

- Nie możesz być tym Alfredem, którego znałam, ponieważ on nigdy, przenigdy nie wpadłby w żadne kłopoty. Najwyżej pod rower.

- Nie żartuj sobie. Ścigają mnie.

- Byłbyś bardziej wiarygodny, gdybyś powiedział, że ktoś cię zgubił - Ada parsknęła śmiechem.

- Więc mi nie pomożesz?

- Przysięgam sobie: żadnych prywatnych układów z osobnikami w spodniach, ale zbadać cię mogę. No, obnażaj się.

Alfred, który od dwóch tygodni nie miał kontaktu z wodą, rozebrał się do pasa, ale tylko dlatego, że rana pod łopatką dokuczała mu coraz bardziej i miał nadzieję, że interwencja lekarza przyniesie mu ulgę. I rzeczywiście.

- Na litość boską, przecież ty masz na plecach otwartą ranę z ropnym wyciekami. Najprawdopodobniej wdało się zakażenie *Staphylococcus aureus*. - Włożyła mu do ucha elektroniczny termometr. - No i do tego 39 stopni gorączki. Zrobię wymaz i dam do badania mikrobiologicznego.

- Tylko nie to. Żadnych badań.

- Wpiszę nazwisko innego pacjenta.

- To bez sensu. Nie wiem, gdzie będę jutro czy pojutrze.

- Tego naprawdę nie można lekceważyć, grozi ci sepsa. Musisz wziąć antybiotyki.

- Jeśli można, w tabletkach. Sam nie potrafię sobie aplikować zastrzyków. Załóż mi jałowy opatrunek, wypisz receptę i już znikam.

Alfred, jako terrorysta i niebezpieczny uciekinier ze szpitala psychiatrycznego wiedział, że każdy hotelowy meldunek, każda operacja na bankowym koncie, każda rejestracja w szpitalu stanowi zdradzający go trop. Tak wiele obiecywał sobie po Adzie, że teraz jej postawę odczuł jako cios, który niemalże zwał go z nóg. Młodzieńcza przyjaźń okazała się kiepską kartą przetargową, a był już u kresu wytrzymałości. Mimo obolałych pleców i trawiącej go gorączki miał za sobą długą tułaczkę po schroniskach dla bezdomnych, zanim odważył się wyjąć pieniądze i paszport ze skrytki bankowej. Potem dwa dni spędził w pociągu na trasie Rzeszów-Dzierżoniów przez Warszawę i Szczecin. Teraz, gdy otrzymał pomoc medyczną, postanowił poszukać jakiegoś niewielkiego hoteliku, gdzie być może zameldują go pod fałszywym nazwiskiem.

- Daj spokój, nie mogę pozwolić ci odejść w takim stanie. Pojedziemy do mnie. Po rozwodzie z Arturem, za forszę z podziału majątku kupiłam niewielki budynek. Wyremontowałam parter i w jednym skrzydle urządzałam prywatny gabinet. Jest jeszcze do

zagospodarowania poddasze, ale na razie są to plany na bliżej nieokreśloną przyszłość. W każdym razie jakiś kąt dla ciebie wygospodaruję.

* * *

Ciepły, jasny dom, gorący prysznic i miękki szlafrok Ady zupełnie rozkleiły Alfreda. Nie miał nawet siły zjeść kolacji, połknął jedynie i popił wodą garść tabletek. Ada pościeliła mu wersalkę w narożnym pokoju, którego okna wychodziły na mały ogródek pogrążony teraz w zimowym śnie.

- Rano nie będę cię budzić. Radź sobie beze mnie. Wrócę z pracy o tej samej porze co dzisiaj. Śpij. - Opuściła jeszcze rolety i wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi.

Zasnął niemalże natychmiast. Kiedy nazajutrz koło południa otworzył oczy wokół panowała cisza, tylko zza okna dobiegał daleki warkot przejeżdżających z rzadka samochodów. Obok łóżka leżało poskładane w akuratną kostkę jego ubranie. Z pewnym zażenowaniem stwierdził, że koszula, skarpetki i bielizna są świeżo uprane, wysuszone i uprasowane.

Alfred czuł, że niczego nie przełknie zanim nie rzuci okiem na materiały, które otrzymał od Jaremy. W małym pokoju znalazł laptopa, drżąc z emocji uruchomił go i przystąpił do przeglądania materiału zapisanego na PenDrivie. Pierwsza część nosiła tytuł: METODA OTRZYMYWANIA SZTUCZNYCH BIAŁEK IDENTYCZNYCH Z NATURALNYMI i zawierała notatki, które znał jeszcze z Moczarzyska, tylko starannie posegregowane. Pośpiesznie przeszedł do części drugiej zawierającej opis doświadczenia. Tu Denis rozpisывał poszczególne reakcje, podawał parametry i warunki, jakie należy spełniać przy każdym etapie polikondensacji zarówno łańcucha głównego, jak i łańcuchów bocznych, lecz w miejscu, gdzie powinien znajdować się rozrysowany wzór katalizatora powodującego translację⁴⁶, widniał odsyłacz do załącznika numer jeden. Alfred nerwowo przewiął tekst do końca, ale załącznika nie znalazł. Wrócił do miejsca, w którym przerwał czytanie i ze zdumieniem stwierdził, że dalej zawiera on materiał z dziedziny Jaremy

Jarema rozpoczął opis stwierdzeniem, że konstruowanie robocika, który przenosiłby pojedyncze atomy mija się z celem, gdyż żeby osiągnąć widoczne efekty, potrzeba by użyć ich biliony. Uznał jednak za kuszącą próbę stworzenia minimalnego genomu, żeby sprawdzić, czy tak poskładany twór będzie żył i się rozmnażał. Skopiował więc najprostszy samodzielny żywy organizm, wyposażony w zaledwie 470 genów, z czego 330 było niezbędnych do życia. Dalej opisał sposób składania atomów w nić DNA i zakończył lakoniczną informacją, że umieścił tę nić w mieszance tłuszczu i enzymów sporządzonej według załącznika numer dwa. Wyniki eksperymentu miał zawierać załącznik numer trzy. Żadnego z nich nie było na płycie.

Alfred nie wiedział, czy opisane doświadczenie Jaremy stanowiło uzupełnienie badań Denisa, czy też oddzielną metodę. Był też ciekaw, czy ten jednokomórkowy Frankenstein ożył i się rozmnażał, czy tylko trwał. Ponadto Jarema nieco nonsensownie z jednej strony twierdził, że aby nanoroboty były efektywne, potrzeba ich biliony, z drugiej zbudował sztucznie pojedynczego wirusa. „Dlaczego nie chciał, aby tę wiedzę posiadał Watykan?” - Alfred wstał i w zamyśleniu zaczął krążyć po pokoju, próbując wczuć się w sposób rozumowania fizyka. Wreszcie postanowił rozważyć wszystkie „za” i „przeciw”.

46 Translacja - w biosyntezie proces doprowadzający do powstawania funkcjonalnych cząsteczek białek.

Najpierw zaczął rozmyślać nad pozytywami. Jeżeli Jarema położył podwaliny pod inżynierię genetyczną, dzięki której można by likwidować w zarodku guzy nowotworowe, zatory tętnicze czy bakterie chorobotwórcze, dla medycyny byłby to ogromny krok naprzód, a dla firmy farmaceutycznej - żyła złota. Niestety, negatywy przerażały Metoda pozwalala dla celów militarnych tworzyć złośliwe mutanty drobnoustrojów zdolnych atakować wszystko: ludzi, rośliny, zwierzęta, budowle, maszyny... Taka broń w rękach terrorystów byłaby czymś stokroć gorszym niż bomba atomowa. Gdyby takie rekombinowane nanotwory wymknęły się spod kontroli, mogłyby w sposób chaotyczny przekształcić napotkaną materię w proszek, pumeks albo galarete.

„Jeżeli badania w Moczarysku rzeczywiście finansuje Watykan, to którą z opcji wykorzystałby do swoich celów?” - Alfred aż się wzdrygnął, że w ogóle taka myśl przyszła mu do głowy. Bo chociaż skłaniał się ku ateizmowi, gdzieś w głębi duszy był przekonany, że religia, mimo dogmatów będących ewidentnie w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem, daje prostym ludziom więcej dobra niż zła. Przynajmniej oficjalnie.

Druga część zapisu zamiast tytułu miała szlaczek z iksów i poświęcona była w całości nanomechanice. Na wstępie Jarema polemizował z „fizyczną mechanosyntezą” fizyka Richarda Feynmana⁴⁷, potem szczegółowo opisał manipulator zbudowany z nanorurek i kulistych form fulerenowych⁴⁸. Przy rozważaniach na temat metody pułapkowania atomów studni potencjału i budowania bramek kwantowych Alfred spasował. Coraz mniej rozumiał naszpikowany wzorami i odsyłaczami do badań innych uczonych wątek. Przewinął tekst, żeby zapoznać się z końcowymi wnioskami i znów natrafił na formułkę: Efekty eksperymentu w załączniku numer cztery. W załączniku, którego rzecz jasna nie było, przynajmniej na tej pamięci.

47Richard Feynman (1918-1988) - amerykański fizyk teoretyk, jeden z głównych twórców elektrodynamiki kwantowej, laureat Nagrody Nobla z 1965 r.

48Fuleren - odmiana alotropowa węgla (atomy węgla tworzą cząstki zamkniętych, pustych w środku brył).

Dochodziła czternasta. Alfred poszedł do kuchni coś przekąsić. Dom Ady miał być zaledwie przystankiem w drodze do celu, tymczasem starannie opracowany plan zaczynał się zacinać. Dopiero teraz zrozumiał, co znaczyły słowa Jaremy, że nie ufa nikomu, nawet jemu. „Komu powierzył resztę badań swoich i Denisa? Czy ten ktoś o mnie wie? Czy ja mam go odszukać? Jeżeli tak, to jakim sposobem?” - łamał sobie głowę.

Zjadł kanapkę z serem, popił mlekiem z kartonu i wrócił do komputera, żeby zacząć opracowywać swoje notatki. Zamierzał precyzyjnie, a przy tym logicznie i zwięźle przedstawić środowisku naukowemu swoją teorię oraz wyniki przeprowadzonych badań. Do wzmocnienia zainteresowania recenzentów miała posłużyć krótka informacja w odsyłaczu, że całość eksperymentu zostanie opublikowana w książce: Pierwiastek zero, przyczynek do Tablicy Mendelejewa. Chciał dołożyć starań, aby i książka, i artykuł ukazały się jednocześnie.

Alfred oderwał się od klawiatury laptopa, gdy usłyszał, że wróciła Ada.

- W jakiej jesteś dziś formie? Widzę, że dobrej. Jak rana? - spytała, rozbierając się w przedpokoju.

- W ogóle o niej zapomniałem. Pozwoliłem sobie skorzystać z twojego laptopa.

- Nie ma sprawy. Kupiłam po drodze pizzę. Chodź, zjemy dopóki jest gorąca.

Przeszli do kuchni, Ada sprawnie nakryła do stołu.

- Wiesz, Alfredzie, chciałabym wiedzieć, w co się naprawdę wplątałeś. Najlepiej zacznij od tego, co robiłeś od czasu wyjazdu z Polski.

- Studiowałem chemię na Université VI Pierre et Marie Curie⁴⁹. Później dostałem pracę w Instytucie Chemii Organicznej w Paryżu, potem... - Alfred zawiesił głos zastanawiając się, czy wspominać o Moczarysku.

- Potem?

- Potem lekkomyślnie podpisałem umowę o pracę z pewną firmą, która...

- Mam rozumieć, że wdałeś się w jakąś podejrzaną produkcję?

- Można tak powiedzieć.

- Narkotyki?

- Ależ skądże!

- Broń chemiczna?

- Nie!

49 VI Uniwersytet Piotra i Marii Curie w Paryżu, jeden z trzynastu autonomicznych uniwersytetów wchodzących w skład Sorbony

- Podróbki leków?

- Na litość boską, za kogo ty mnie uważasz, Ado!

- Za cholernie zdolnego i niebywale naiwnego naukowca. Nie wierzę, że byłbyś zdolny do przestępstwa, ale jestem pewna, że można cię łatwo wykorzystać do niecznych celów. Więc?

Alfred z wrażenia zapomniał o jedzeniu. Ada nie znając szczegółów jego historii trafiła w sedno.

- Masz rację, mimo stopnia naukowego nadal jestem oferumą i łamagą. Nadepnałem na odcisk pewnej organizacji o bardzo długich rękach, ale zostawmy ten wątek. - Z bolesnym ukłuciem w sercu pomyślał o losie Anny i Paula. - Wieczorem wyjadę.

- Daj spokój. Powiedz tylko, na czym ma polegać moja pomoc. Wczoraj zrozumiałam, że masz już plan wykaraskania się z kłopotów.

- Tak, muszę tylko ogłosić drukiem pewien elaborat. Będę bezpieczny po ujawnieniu wyników swoich doświadczeń. Potrzebuję dachu nad głową i dostępu do komputera. Pieniądze na pokrycie wszelkich kosztów mam.

- No dobrze. Możesz u mnie mieszkać tak długo, jak zechcesz, albo aż się rozmyślę - dodała z uśmiechem. - A teraz chodź, zmienię ci opatrunek.

ROZDZIAŁ XXX

Alfred pogrążył się w tytanicznej pracy i po dwóch miesiącach miał już wszystkie materiały przygotowane do wydania. Teraz poszukiwał w Internecie wydawnictwa, które zajęłoby się drukiem i dystrybucją jego książki. Każde, nawet najwyższej klasy arcydzieło bez czytelnika nie jest warte nawet papieru, na którym je wydrukowano. Zdecydował się na wrocławskie Wydawnictwo Naukowe „Maksimus”, które oferowało kompleksowe usługi edytorskie, kolportaż egzemplarzy do hurtowni i księgarni, ponadto, na życzenie klienta, do wskazanych przez niego bibliotek i ośrodków naukowych. Z dyrektorem Wydawnictwa, doktorem Michałem Dredą, umówił się telefonicznie na najbliższy piątek.

Marzec tego roku wciąż ciążył ku zimie, lecz mimo niskich temperatur i zalegającego wszędzie śniegu w powietrzu już czuło się pierwsze oznaki wiosny. Dzień był wyraźnie dłuższy, w ogródku pojawiły się śnieżyczki oraz pierwsze niepozorne kwiatki drobnych chwastów, nabrzmiewały pączki drzew i krzewów. Przed wschodem słońca pięknym, fletowym głosem rozpoczynał swój koncert kos, potem dołączało do niego ćwierkanie wróbli, gruchanie gołębi i skrzeczenie srok. Alfred codziennie rano pijąc kawę spoglądał przez

298 okno, słuchał ptasiego koncertu i myślał o Moczaryzysku i o Dalili. Niczego bardziej na świecie nie pragnął niż jej samej. Gdyby przyszła i powiedziała „przepraszam”, natychmiast puściłby w niepamięć wszystko, co zrobiła nie tak. Więcej, byłby szczęśliwy mogąc dowieść siły swojej miłości, której nie zachwiała nawet największa zdrada.

Wyszedł z domu razem z Adą, która postanowiła podrzucić go samochodem na dworzec PKS. Poczucie anonimowości dawało mu pewność bezpieczeństwa. Był tylko przeciętnym pasażerem w przeciętnym autobusie.

* * *

Wydawnictwo „Maksimus” mieściło się na Przedmieściu Odrzańskim w nowo wybudowanym biurowcu dostosowanym architektonicznie do otoczenia. Piękna długowłosa i długonoga sekretarka natychmiast zaanonsowała go dyrektorowi. Michał Dreda okazał się niewiele starszym od Alfreda szatynem w swetrze i dżinsach. Jego gabinet, jakby żywcem wyjęty z katalogu poświęconego wystrojowi biur, stanowił jednocześnie salon reklamowy W oszklonych szafkach, okładkami w kierunku widza, stały wydane przez firmę książki, na niskim stoliku leżały kolorowe foldery, a na ścianach wisiały dyplomy uznania oraz fotografie z organizowanych przez Wydawnictwo imprez.

- Jak zrozumiałem, chce pan u nas wydać swoją książkę - spytał dyrektor Dreda po wstępnych powitaniach.

- Tak. Wydać i rozprowadzić.

- A konkretnie, na jakie usługi pan reflektuje? Mamy w ofercie skład, łamanie, redakcję, korektę, projekty graficzne, tłumaczenia, montaż elektroniczny, druk offsetowy wielokolorowy, oprawę szytą, klejoną, twardą, laminowanie... Zapewniam, że dbamy, aby nasze książki były wydawane na najwyższym poziomie edytorskim i merytorycznym.

- Zamówię skład, łamanie i oprawę klejoną. Nie interesuje mnie technologia, ale zależy mi na sprawnej dystrybucji. No i oczywiście terminie. Pokrywam wszystkie koszty. Ewentualnymi zyskami ze sprzedaży podzielimy się po połowie. Przygotowałem tekst na nośniku elektronicznym.

- Rozumiem. Zaraz przygotuję umowę. Kawy herbaty?

- Dziękuję, już piłem.

Dyrektor Dreda wydał przez interkom stosowne polecenie i chwilę później piękna długonoga i długowłosa sekretarka przyniosła wzorcowy formularz umowy

- Panie Mortus, proszę się zapoznać z treścią i zaproponować ewentualne uwagi - powiedziała z uśmiechem i usiadła tak blisko Alfreda, że ten poczuł jej drażniący zmysły zapach, który przywołał wspomnienie Dalili.

Umowa nie wzbudzała żadnych kontrowersji, więc sprawnie dobito targu. Dwa tysiące egzemplarzy za trzy tygodnie miało trafić na półki księgarskie, do zbiorów bibliotecznych oraz ośrodków naukowych według wspólnie uzgodnionego rozdzielnika.

Alfred miał poczucie, że wreszcie osiągnął cel: jego teoria dotycząca pierwiastka zero czynnie włączyła się w naukowy nurt obiegu informacji. Teraz mógł spokojnie pomyśleć, jak wypełnić obietnicę złożoną Jaremi. Na razie ruszył na poszukiwanie odpowiedniego banku, żeby przelać na konto wydawnictwa uzgodnioną zaliczkę. W drodze na dworzec PKS wstąpił na pocztę i wysłał pięć egzemplarzy artykułu, przetłumaczonych na język angielski, do pięciu najpoważniejszych czasopism naukowych. Szósty po drobnych poprawkach, miał wysłać emailem do internetowego czasopisma naukowego Interchemia. Później wybrał się na zakupy.

Siedzieli w wygodnych fotelach i słuchali w skupieniu wirtuozowsko zwiewnych smyczków andante cantabile Mozartowskiej Symfonii jowiszowej. Oboje kochali muzykę klasyczną, chociaż Alfred mocno zaniedbywał tę miłość. Teraz, jako sublokator melomanki nadrabiał muzyczne zaległości. Nie było dnia, żeby w tle nie rozbrzmiewały perły klasyki,

których szlachetne dźwięki wypełniając skromną przestrzeń domu tworzyły jednocześnie bezpieczny azyl.

- Dokąd się teraz wybierasz, Alfredku? - spytała Ada, gdy już wybrzmiała ostatnia nuta symfonii.

- Nie wiem. Liczę na propozycję pracy z kilku poważnych instytutów.

- Czy teraz możesz zdradzić mi tajemnicę, nad czym pracowałeś?

- Odkryłem nowy pierwiastek, który wchodzi w skład organizmów żywych.

- Spytam jako lekarz, czy oznacza to, że aplikując ten pierwiastek w formie lekarstwa, można odwrócić proces umierania albo nawet przywracać zmarłych do życia?

- Sądzę, że tak, chociaż do tej pory nie wiem, jak tego dokonać.

- Ktoś, kto posiadałby taką wiedzę, zdobyłby niewyobrażalną władzę. Byłby nowym Chrystusem, tylko na nieporównywalnie większą skalę.

- Taka opcja nie przyszła mi w ogóle do głowy.

- Dziwne. Gdybym była chemikiem, zapewne myślałabym, że świat pełen jest mutantów bardzo skomplikowanej energetycznomaterialnej molekuly. Nazwijmy ją Jan Kowalski. Otóż ten Kowalski, jak wszystko inne w przyrodzie, podlega przemianom, nieustannie coś się w nim psuje, rozpada, rozkleja, wreszcie cały ulega przekształceniu zwanemu tradycyjnie śmiercią. Lecz mniejsza o nazwę, on tej ostatecznej przemiany nie tylko nie akceptuje, ale i boi się jej najbardziej na świecie. I teraz, wyobraź sobie, przychodzi do niego ktoś, kto mu mówi: przysłała mnie Bóg z mocą uczynienia cię, Janie Kowalski, nieśmiertelnym. Możesz sobie umierać, a ja cię wskreszę jak Chrystus Łazarza. Musisz jedynie wiernie służyć Bogu i pamiętać, że wyłącznie moje pośrednictwo zapewni ci dostęp do Jego łask. Nigdy nic takiego nie pomyślałeś?

Wtem Alfred doznał olśnienia. Wszystkie rozrzucone bezładnie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Tej klasy cuda mogłyby być użyte przez Watykan jako świadectwo samego Boga, że jedynie wyznanie rzymskokatolickie jest prawdziwe. Oczyma wyobraźni zobaczył niezliczone rzesze muzułmanów, Żydów, buddystów, a nawet agnostyków i ateistów, jak porzucając fałszywe religie oraz zbrodnicze sekty, kornie dają się chrzcic. Jak zmywszy dotychczasowe grzechy, wiernie służą Najwyższemu Stwórcy pod oświeconym przewodnictwem Jego Ziemskich Namiestników. Tylko gdzieś w podziemiu przetrwałaby otoczona powszechną pogardą grupka najbardziej zatwardziałych uczonychniedowiarków, skupionych wokół wyklętego ze wszystkich ambon Richarda Dawkinsa⁵⁰.

50 Richard Dawkins (ur. 1941) - brytyjski zoolog, etolog, ewolucjonista i publicysta; profesor Uniwersytetu Oksfordzkiego.

„Przepraszam cię, Jarema. Miałem uszy i nie słyszałem, miałem oczy i nie widziałem” - pomyślał Alfred, lecz głośno powiedział:

- Nigdy nic takiego nie przyszło mi do głowy

- Więc niech ci przyjdzie. Nie dziel się z nikim swoim odkryciem. Sam je wykorzystaj. Jestem gotowa zostać twoją asystentką - rzuciła poważnie, a widząc osłupienie na twarzy Alfreda, dodała: - Nie, teraz nie odmawiaj, poczekam, aż przegrasz na wszystkich frontach.

- Już nie przegram. Wracam do Francji. Mam nadzieję, że któryś z instytutów naukowych zainteresuje się moim artykułem i da mi pracę.

- Życzę ci szczęścia, ale gdyby jednak coś poszło nie tak, wróć. Moja wcześniejsza propozycja jest poważna. Czego chcesz posłuchać? Może suity ze Śpiącej królewny Czajkowskiego?

- Może być.

* * *

Na razie Alfred był dobrej myśli. Miał już zabukowane miejsce w samolocie do Paryża, teraz czekał tylko na informację od dyrektora Dredy. Zamierzał jeden z autorskich egzemplarzy Pierwiastka zero, przyczynku do Tablicy Mendelejewa podarować z piękną dedykacją Adzie. Wierzył, że gdy otrzyma już Nagrodę Nobla, ta książka będzie dla niej źródłem dumy

Zadzwoiła jego komórka.

- Dzień dobry, panie Mortus. Michał Dreda z tej strony.

- Dzień dobry

- Mam dla pana doskonałą wiadomość. Cały nakład pańskiej książki został wykupiony ze tak powiem, na pniu.

Alfred poczuł, jak mięknię mu kolana.

- Nie wywiązał się pan z umowy panie dyrektorze. W umowie zastrzegłem sobie, że wydawnictwo na mój koszt wyposaży zbiory biblioteczne oraz ośrodki naukowe.

- Panie Mortus, rezygnacja z tak szybkich pieniędzy byłaby grzechem. Każdy wydawca marzy, by spieniężać książki, gdy jeszcze ciepłe zejdą z drukarskiej prasy To wielki sukces. Zarobił pan kupę forsy a zapewniam pana, że tego typu literatura sprzedaje się raczej kiepsko.

- Kto to kupił?

- Nie uwierz pan, jakaś firma farmaceutyczna. Chyba „Folicum”. Jeszcze dzisiaj przelejemy panu na konto pieniądze.

- Z tym proszę się wstrzymać, dopóki do pana nie zadzwonię.

Alfred wyłączył komórkę i ciężko usiadł w fotelu. „Ależ ze mnie ciężki kretyń” - pacnął się w dłoń w czoło. „Przecież w takim kraju jak Polska dla ludzi Watykanu nie ma spraw niemożliwych!”. Fakt, że wystarczyła jedna jedyna operacja bankowa, żeby bezbłędnie zostać zlokalizowanym, z jednej strony rodził w nim poczucie wściekłej bezsilności, z drugiej złość na samego siebie, że tego nie przewidział. Przecież uciekając z rąk ochroniarzy szpitala psychiatrycznego, cierpiąc głód i chłód jak ognia unikał wszelkich banków, by zacierać za sobą tropy „Zachowałem się, jakby odebrało mi rozum. Zapomniałem, że przeciwnik jest cholernie inteligentny i przebiegły” - karmił się w myślach.

Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Musiał uporządkować myśli i opracować nowy, sensowny plan. Nagle przemknęła mu przez głowę straszna myśl, że być może jego prześladowcy dotarli również do redakcji tych pism naukowych, którym wysłał artykuł o pierwiastku zero. Drżąc z przejęcia wystukał numer do „Wiedzy i Świata”. Po trzech sygnałach zgłosił się sekretariat czasopisma. Alfred przedstawił się i poprosił o połączenie z redaktorem naczelnym.

- Niestety, redaktor naczelny jest obecnie na sympozjum naukowym. W czym mogę panu pomóc?

- Jakiś czas temu złożyłem u państwa swój artykuł na temat pierwiastka zero.

- Ach tak, pan Mortus. Z przykrością muszę zakomunikować, że peer review⁵¹ wypadł dla pana negatywnie. Trzech niezależnych recenzentów nie zaakceptowało pańskiego artykułu, co jednoznacznie wyklucza jego rozpowszechnianie w naszym miesięczniku. Przykro mi, panie Mortus. Proszę podać adres zwrotny, odeślemy panu wszystkie materiały

- Szkoda kosztów. Proszę je wyrzucić do kosza.

Alfred poczuł, jakby zaciskała się wokół niego pętla. Wiedział, że w pozostałych czterech czasopismach usłyszy podobną odpowiedź. Wiedział również, że naraża na niebezpieczeństwo Adę. Instynkt podpowiadał mu, że powinien uciekać. I to jak najprędzej. W pośpiechu spakował torbę i z telefonu stacjonarnego wezwał taksówkę.

51 Peer review - recenzja utworu naukowego, której celem jest ocena jego naukowej zawartości.

* * *

Pod drzwiami doktor Wiśniowskiej ogonek pacjentów zdawał się nie mieć końca. Alfred miał świadomość, że zostanie zlinczowany, próbując poza kolejką wejść do gabinetu, jednak zaryzykował.

- Przepraszam państwa, jestem tutejszym konserwatorem, muszę pani doktor dostarczyć klucze - powiedział i na dowód swojej prawdomówności zadzwonił pękiem kluczy. Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, już był w gabinecie.

Ada osłuchiwała akurat młodego pacjenta.

- Alfredzie, ty tutaj? Poczekaj chwileczkę. - Skończyła badanie, postawiła diagnozę, wypisała receptę i znów zwróciła się do Alfreda. - Co tym razem?

- Muszę z tobą zamienić parę słów na osobności.

Zajmie to najwyżej trzy minuty.

- Pani doktor, wyjdę do rejestracji po kolejne karty - pośpieszyła z propozycją pielęgniarka i ruszyła w kierunku drzwi w ślad za wychodzącym pacjentem.

- Posłuchaj, Ado, byłem zbytnim optymistą wierząc, że uniknąłem kłopotów. Znów jestem w niebezpieczeństwie. Muszę uciekać. Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Pamiętaj, nigdy mnie nie widziałas, a jeżeli kiedykolwiek znałaś, to już dawno o tym zapomniałaś. To ważne. Oni są bardzo niebezpieczni. Odezwę się jeszcze. Oddaję ci klucze od domu. Dziękuję.

- Poczekaj, aż skończę pracę...

- Nie trzeba. Życz mi szczęścia.

- W takim razie powodzenia.

Alfred wrócił do taksówki.

- Do Wrocławia proszę.

Dwie godziny później Alfred kazał taksówkarzowi podwieźć się pod bank. Nie zamierzał kapitulować. Postanowił ponownie zlecić druk następnej partii książki, jednak tym razem bez żadnych operacji bankowych. Zapłaci gotówką. Kiedy podał panience w okienku swój paszport i blankiet ze zleceniem wypłaty mu trzydziestu tysięcy, ta po wprowadzeniu do komputera jego danych spytała podejrzliwie:

- Czy na pewno chce pan zrealizować operację wypłaty tej kwoty?

- Oczywiście. Czy coś nie tak?

- Pana konto jest... puste.

- Jak?

- Stan pańskiego konta wynosi zero.

Alfred poczuł, jak cała krew odplywa mu w pięty.

- Przepraszam, muszę to wyjaśnić.

Odetchnął z ulgą, gdy kasjerka przesunęła w jego stronę dokument razem z bezużytecznym zleceniem wypłaty Jego fortuna znikła jak kamfora i wiedział, że jej już nie odzyska. Przynajmniej na razie. Wrócił do taksówki i pojechał na Przedmieście Odrzańskie. Teraz tantiemy za Pierwiastek zero, przyczynek do Tablicy Mendelejewa były prawie całym jego majątkiem.

ROZDZIAŁ XXXI

- Problem polega na tym, że nie wiemy, w którym miejscu zrobiliśmy błąd. Na szczęście przegrana bitwa nie oznacza przegranej wojny - mówił Wielki Mistrz ze smutkiem, a jego piękne białe dłonie spoczywały bezwładnie na blacie stołu.

- Wielkie umysły nie tak łatwo ujarzmić - westchnął Drugi Zastępca Mistrza. - Wobec Mortusa, obok standardowej kontroli, zastosowaliśmy środki ostrożności najwyższej klasy. Nasza najlepsza agentka pilnowała go całą dobę, a wypełniała swoje obowiązki bez zarzutu. Niestety, gdy już stało się oczywiste, że jego serce przeżarte jest zdradą, że zamierza uciec, przejęła go kolejna sekcja, która pokpiła sprawę. Tego nie można puścić płazem.

- Postąpiłem zgodnie z najlepszymi, wielokrotnie sprawdzonymi metodami. Z jednej strony odpowiednio go przestraszyłem, z drugiej zostawiłem furtkę do dalszej współpracy. Po wypadku z fizykiem taka metoda wydawała się najskuteczniejsza - wyjaśnił zimno Pierwszy Zastępca.

- Praktyka wykazała, że była błędna.

- Nie osądzajmy się nawzajem, bracia. Bulla Unam sanctam⁵² mówi jednoznacznie: jeśli nawet zbłądzimy, podlegamy tylko sądowi niebieskiemu. - Mistrz zrobił krótką przerwę, żeby zebrać myśli i dodał: - Nasza mądrość pochodzi od Boga, więc nie obrażajmy Go zwątpieniem w słuszność naszych poczynań. Dopiero czas pokaże, czy to, co dziś uważamy za błąd, w istocie jest błędem.

- A tymczasem Mortus nam uciekł i przepadł jak kamień w wodę - zdrowe oko Drugiego Zastępcy zdawało się miotać błyskawice.

- Spokojnie, bracie. Dwa tysiące lat istnienia świętego apostołskiego Kościoła to dwa tysiące lat doświadczenia, które stanowi skuteczniejszy oręż niż każda inna broń. Oręż, któremu nie oprze się żaden, nawet najbardziej przekonany o swoim geniuszu śmiertelnik - Wielki Mistrz lekko podniósł głos. - Nie dopuścimy, aby człowiek obdarzony przez Boga tak hojnie talentem gardził pracą na Bożą chwałę.

⁵² Unam sanctam - bulla papieża Bonifacego VIII z 18 XI 1302 r.

- Prawda, ale również prawdą jest, że nasz chemik za nic ma święte przykazania - wtrącił ponuro Pierwszy Zastępca Mistrza.

- Jesteśmy Kościołem wielkiej cierpliwości i dysponujemy władzą duchową. Na Mortusa tak jak na każdego innego śmiertelnika przyjdzie kiedyś czas wielkiego, egzystencjalnego bólu wynikającego ze strachu przed śmiercią. Ten ból jest szczególnie

uciążliwy, gdy śmierć oznacza nicość. A strach przed nicością niejednego zatwardziałego ateistę przywrócił na łono Kościoła, by dostać błogosławieństwo na ostatnią drogę. Poczekamy.

- Ależ Wielki Mistrzu, nieroztropnością jest czekać na refleksyjną starość tego zdrajcy! - zawołał Drugi Zastępca. - Przynależność do Kościoła zobowiązuje. Jeśli nawet zbłąkane owce o tym zapomną, obowiązkiem pasterza jest kijem zawrócić je na właściwą drogę. Błądzący, czy chcą czy nie, muszą przyjąć do wiadomości, że poza Chrystusowym Kościołem nie ma ani zbawienia, ani odpuszczenia grzechów. Nie wolno nam czekać! Nie wolno bezczynnie patrzeć, jak ochrzczona dusza skazuje się na ogień wieczny!

- A co będzie, jeśli tajemnica pierwiastka zero wpadnie w ręce jakiegoś hochsztaplera? Co pocniemy, jeśli najpierw nauczą się z niego korzystać lekarze?

Pytania Pierwszego Zastępcy wprawiły pozostałych mężczyzn w zakłopotanie. Przez długą chwilę w pomieszczeniu panowała ciężka cisza. Wszyscy trzej z brodami na piersiach i złożonymi modlitewnie dłońmi w milczeniu oczekiwali na natchnienie Bożą Mądrością, która pokieruje ich dalszymi krokami. Wreszcie Wielki Mistrz uniósł głowę i powiedział z głęboką powagą:

- Pierwiastek zero zbyt wiele znaczy dla przyszłości naszego Świętego Kościoła. Nie wolno nam zaprzepaścić zesłanej przez Boga wielkiej szansy na nową chrystianizację laicyzującego się świata. Musimy Mortusa odnaleźć i przywrócić chrześcijaństwu.

EPILOG

Nyon, nastrojowe miasteczko położone wśród winnic, na stokach wzgórz okalających Jezioro Genewskie i z pozostałościami rzymskich budowli, stało się w ostatnim roku azylem Alfreda. Udało mu się dostać pracę laboranta w pracowni badającej skład chemiczny słynnych szwajcarskich win. Oznaczanie taniny, sacharynianu sodu, dwutlenku siarki, wodorosiarczynu i innych związków wchodzących w skład tego szlachetnego trunku było dla niego zajęciem poniżej jego możliwości, jednak poczucie bezpieczeństwa, zapierające dech w piersi widoki, powszechny tu protestantyzm oraz atlantyckofrancuska kultura stanowiły dostateczny ekwiwalent dla jego urażonej ambicji.

Był pogodny lipcowy dzień i miasto szykowało się do Paleo Festivalu, jednej z największych imprez muzycznych ściągających do miasta melomanów z całego świata. Alfred nieśpiesznie szedł nadbrzeżną ulicą Route de Promenthoux rozważając, jaką restaurację wybrać, żeby zjeść dobry i tani obiad, gdy minęło go czerwone odkryte ferrari i skręciło w przecznicę prowadzącą do czterogwiazdkowego hotelu La Barcarolle. Uwagę Alfreda przyciągnęła kierująca samochodem smukła kobieta, której pyszne kasztanowe włosy wraz z zielonym, jedwabnym szalem rozwiewał pęd jazdy. Chociaż nie zdążył zauważyć rysów jej twarzy, gdzieś z głębin jego podświadomości jak żywy wyłonił się obraz tej, o której z takim trudem zdołał zapomnieć.

Poznaj inne książki

Ewy Barańskiej:

125x195 mm, 288 s. cena: 29,00 zł

„Żegnaj, Jaśmino”

Jaśmina jest licealistką, którą natura hojnie obdarzyła talentem i urodą. Dom dał jej miłość, zasady moralne i... niezbyt mocne poczucie własnej wartości. Pragnęła być na topie i dobrze się bawić, najlepiej z narkotykowym dopingiem. Była przekonana, że wszystko ma pod kontrolą, tymczasem niepostrzeżenie dla siebie przekroczyła cieką granicę, poza którą nie rozróżnia się już dobra od zła, sumienie traci wrażliwość i gdzie nawet okrutna zbrodnia nie przywołuje do opamiętania...

125x195 mm, 192 s. cena: 27,00 zł

„Z kim płaczą gwiazdy”

Historia wzruszającej miłości dwojga ludzi: Weroniki i Michała, których los poddaje ciężkiej próbie. Michał, skacząc do wody, łamie kręgosłup. Weronika w pierwszym porwywie rozpaczycy podejmuje morderczą walkę o powrót ukochanego do zdrowia. I chociaż szansa na powodzenie jest znikoma, gotowa jest dla Michała zrezygnować z ambitnych życiowych planów. Czy ich miłość ma szansę przetrwać? www.telbit.pl

Wydawnictwo TELBIT

Poznaj inne książki Ewy Barańskiej:

125x195 mm, 200 s. cena: 27,00 zł

Blanka skupia w sobie wielki talent muzyczny i bezprzykładną podłość. Jej sposób bycia cechuje finezja i wyrachowanie. Nade wszystko marzy o zrobieniu wielkiej kariery, a w dążeniu do osiągnięcia swego celu nie ma żadnych moralnych zahamowań. Czy to wystarczy, żeby szczęśliwie przejść przez życie? Mocna literatura młodzieżowa!

125x 195 mm, 240 s.

Co ma zrobić nastolatka, kiedy nagle odkrywa, że powinna schudnąć? Dokąd zaprowadzi ją chęć zrzucenia wyimaginowanej nadwagi? I czy naprawdę wymarzony chłopak to ten, który widzi tylko opakowanie, a nie jego zawartość? Karla dąży do wymyślonej przez siebie doskonałości, nie zważając na konsekwencje. Odkrycie prawdy o chorobie jest bolesne i trudne do zaakceptowania - zarówno dla Karli, jak i czytelnika. Karla jest anorektyczką...

„Kamila”

125x 195 mm, 160 s. cena: 22,90 zł

Książka nagrodzona w Ogólnopolskim Konkursie Literackim Wydawnictwa TELBIT na powieść dla młodzieży.

Uczniowie dobrego liceum, do którego nie każdy gimnazjalista jest w stanie się dostać, tworzą różnorodną, ale zgraną paczkę. Kamila nosi w sobie tajemnicę, której klasa woli nie zauważać. Zawsze na uboczu, nierozumiana i odsunięta. Powoli jednak otwiera się przed kilkoma koleżankami. Co zrobią dziewczyny z zaufaniem, którym zostały obdarzone?

Patronat: Victor Gimnazjalista, Polski Portal Edukacyjny Edu.info.pl

Szukaj w księgarniach! salonach EMPIK. # wydawnictwo TELBIT

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową: (022) 331 03 05, 331 88 70, WWW.telbit.pl

Pierwiastek zero to fascynująca powieść o niepokojąco prawdopodobnej fabule, przenosząca Czytelnika w świat genialnego umysłu, który swoją wielkością prowokuje do intryg, w tym także miłosnej...

EWA BARAŃSKA jest znaną autorką powieści, opowiadań, a także słuchowisk radiowych. Wartka, wielowątkowa i osadzona we współczesnych realiach, fabuła tych utworów kryje wnikliwą analizę problemów młodzieży, szkoły i rodziny, a przy tym dyskretnie eksponuje podstawowe wartości jako drogowskazy życia.

W dotychczasowym dorobku Autorki znajdują się m.in. powieści: Kamila, Karła M., Ja, Blanka, Z kim płacę gwiazdy oraz Żegnaj, Jaśmino.

WIĘCEJ informacji o Autorce na stronie: www.ewabaranska.pl